

**Arkadij Strugacki**  
**Borys Strugacki**

**Sprawa Zabójstwa**  
(*Otiel „U Pogibszego Alpinista”*)

*Przełożyła Irena Lewandowska*

*Jak donoszą agencje prasowe, w departamencie Vaingi, w pobliżu miasta Muir wylądował aparat latający, z którego wysiadły żółto-zielone stworzonki, każdy miał po trzy nogi i ośmioro oczu. Łasa na sensacje bulwarowa prasa pospiesznie obwołała ich przybyszami z Kosmosu...*

*(z gazet)*

## Rozdział I

Zatrzymałem samochód, wysiadłem i zdjąłem ciemne szkła. Wszystko wyglądało tak, jak opowiadał Segut. Hotel był jednopiętrowy, żółtawozielony, a nad wejściem pięknie prezentował się szyld-nekrolog „Pod Poległym Alpinistą”. W wysokich, gąbczastych zaspach po obu stronach werandy sterczały różnokolorowe narty – naliczyłem siedem sztuk, w jednej siedział but. Z dachu zwisały faliste, zmętniałe sople grubości ręki. Z ostatniego okna po prawej stronie parteru wyjrzała czyjaś pobladła twarz, jednocześnie otworzyły się frontowe drzwi i na werandzie pojawił się krępy, łysy człowiek. Podszedł ciężkim, powolnym krokiem i zatrzymał się przede mną. Miał grubo ciosaną twarz i kark zapaśnika wagi ciężkiej. Nie patrzył na mnie. Jego melancholijne spojrzenie wypełnione dostojnym smutkiem błędziło gdzieś poza mną. Niewątpliwie był to sam Alec Cenevert, właściciel hotelu i Doliny Wilczej Gardzieli.

– Tam... – powiedział nienaturalnie niskim i głuchym głosem. – Tam właśnie to wszystko się stało. – Wskazując wyciągnął dłoń. W dłoni dzierżył korkociąg. – Na tej grani...

Odwrociłem się i mrużąc oczy spojrzałem na siwą, przerażającą i prawie pionową skałę zamykającą dolinę od zachodu, na białawe języki śniegu, na grzebieniastą turnię, wyraźną, jakby wyciosaną na soczystoniebieskiej powierzchni nieba.

– Pękł karabinek – wciąż tym samym głuchym głosem ciągnął właściciel – dwieście metrów w linii prostopadłej spadał w dół, w śmierć, i nie miał się o co zaczepić na gładkiej skale. Być może krzyczał. Nie słyszał go nikt. Być może modlił się. Słyszał go tylko Bóg i ziemia zadrżała, kiedy runął na nią wraz z czterdziestoma dwoma tysiącami ton krystalicznego śniegu...

– Pozdrowienia od inspektora Seguta – powiedziałem i właściciel natychmiast z ochotą przerwał opowieść.

– To zacności człowiek – powiedział zadziwiająco normalnym głosem. – Jak widzę, nie zapomniał naszych wieczorów przy kominku.

– O niczym innym nie mówi – powiedziałem i chciałem zawrócić do samochodu, ale Cenevert złapał mnie za rękę.

– Ani kroku w tył! – oświadczył surowo. – Tym zajmie się Kaisa. Kaisa! – zagrzmiał niczym trąba.

Na werandę wybiegł pies – wspaniały bernardyn wielkości cielaka, biały w żółte łaty. Jak już wiedziałem skądinąd, pies ten był wszystkim, co pozostało po Poległym Alpinistcie, jeżeli nie liczyć niektórych drobiazgów eksponowanych w pokoju-muzeum. Nie byłem od tego, żeby sobie obejrzeć, jak ten pies o damskim imieniu będzie wyładowywał mój bagaż, ale właściciel mocarną dłonią popchnął mnie w kierunku domu.

Przeszliśmy przez mroczny hali, w którym trwał jeszcze ciepły zapach zagasłego kominka i słabo lśniły lakierem modne niskie stoliki, skręciliśmy korytarzem na lewo i Cenevert pchnął ramieniem drzwi z napisem „Biuro”. Zostałem posadzony w wygodnym fotelu, a właściciel otworzył leżącą na biurku ogromną księgę.

– Przede wszystkim pozwoli pan, że się przedstawię – powiedział, w skupieniu oczyszczając stalówkę wiecznego pióra. – Jestem Alec Cenevert, właściciel hotelu i mechanik z zawodu. Zauważył pan oczywiście wiatraczki przy wyjeździe z Wilczej Gardzieli?

– Ach, więc to były wiatraczki?

– Tak. Silniki napędzane wiatrem. Sam je skonstruowałem i sam zbudowałem. Tymi oto

rękoma.

– Gdzie mam to zanieść? – zapytał za moimi plecami przeraźliwie cienki kobiecy głos.

Odrzuciłem się. W drzwiach, z moją walizką w ręku, stała pulchniutka, różowiotka baryłeczka, mniej więcej dwudziestopięcioletnia.

– To jest Kaisa – oznajmił właściciel.

Kaisa natychmiast zarumieniła się i zasłoniła twarz dłonią.

– T-tak... Zatem umieszczę pana pod numerem czwartym. To najlepszy pokój w całym hotelu. Kaisa, zanieś walizkę pana m-mm...

– Glebsky – powiedziałem.

– Zanieś walizkę pana Glebsky'ego pod czwórkę... Wyjątkowa idiotka – zawiadomił mnie nawet z niejaką dumą, kiedy pulpecik zniknął. – Swego rodzaju fenomen... A więc, panie Glebsky? – spojrzał na mnie wyczekująco.

– Peter Glebsky – podyktowałem. – Inspektor policji. Urlop. Dwutygodniowy. Sam.

Właściciel starannie notował te wszystkie informacje ogromnymi, koślawymi literami. W czasie kiedy pisał, do biura stukając pazurami po linoleum wszedł bernardyn. Spojrzał na mnie, mrugnął jednym okiem i nagle z hałasem, jaki wydaje rzucona na podłogę wiązka drzewa, klapnął koło sejfu i położył pysk na łapie.

– To Lelle – zakręcając pióro powiedział właściciel. – Sapiens. Wszystko rozumie, w trzech językach europejskich. Pcheł nie ma, ale linieje.

Lelle westchnął i przeniósł pysk na drugą łapę.

– Chodźmy – powiedział właściciel wstając. – Zaprowadzę pana do pokoju.

Weszliśmy na pierwsze piętro i z korytarza skręciliśmy na lewo. Od razu przy pierwszych drzwiach Cenevert zatrzymał się.

– To tu – powiedział dawnym, głuchym głosem. – Proszę.

Otworzył przede mną drzwi, wszedłem do środka.

– Od tego właśnie pamiętnego i straszego dnia... – zaczął i nagle zamilkł.

Pokój był przyzwoity, chociaż może nieco ciemny. Story zaciągnięte, na łóżku nie wiadomo dlaczego – ciupaga. Pachniało świeżym dymem tytoniowym. Na oparciu krzesła, stojącego pośrodku pokoju, wisiała czyjaś brezentowa kurtka, a na podłodze obok krzesła leżała gazeta.

– Hm... – powiedziałem nieco zaskoczony. – Wydaje mi się, że ktoś tu już mieszka.

Właściciel milczał. Jego uwagę przykuł stół. Na stole nie było niczego szczególnego, stała na nim tylko popielniczka z brązu, a w popielniczce leżała fajka z prostym ustnikiem. Chyba Dunhil. Z fajki unosił się dymek.

– Mieszka... – odezwał się wreszcie właściciel. – Czy naprawdę mieszka?...

Do głowy nie przychodziła mi żadna odpowiedź, czekałem, co będzie dalej. Mojej walizki nigdzie nie było widać, ale za to w kącie stał kraciasty sakwojaż z nalepkami niezliczonych hoteli. Nie mój sakwojaż.

– Tutaj – głos właściciela ponownie nabrał mocy – przez sześć lat od tego pamiętnego i straszego dnia, wszystko zostało tak, jak on to pozostawił wyruszając na swą ostatnią wspinaczkę...

Z powątpiewaniem spojrzałem na dymiącą fajkę.

– Tak! – powiedział właściciel z wyzwaniem. – To jego fajka. Jego kurtka. Jego ciupaga...

– A to jest jego gazeta – powiedziałem. Widziałem wyraźnie, że to była przedwczorajsza „Muir Gazette”.

– Nie – powiedział Cenevert.” – Gazeta oczywiście nie jest jego.

– Też odnoszę takie wrażenie – przyznałem.

– To oczywiście nie jest jego gazeta – powtórzył. – I fajkę naturalnie palił tu nie on, ale ktoś inny.

Wymruczałem coś na temat niedostatecznego poszanowania pamięci zmarłych.

– Nie – w zamyśleniu zaprzeczył właściciel. – To znacznie bardziej skomplikowane, panie Glebsky. Ale o tym porozmawiamy innym razem. Teraz pójdziemy do pańskiego pokoju.

Jednakże zanim wyszliśmy, Cenevert zajrzał do łazienki, otworzył i zamknął szafę, a następnie podszedł do okna i uderzył dłonią w portiery. Według mnie miał ogromną ochotę zajrzeć również pod łóżko, ale się opanował. Wyszliśmy na korytarz i właściciel otworzył przede mną drzwi pokoju numer cztery.

Pokój spodobał mi się od razu. Wszystko w nim lśniło od czystości, powietrze było świeże, na stole ani pyłka, za wymyтым oknem śnieżna równina i liliowe góry. W sypialni gospodarowała Kaisa. Moja walizka była otwarta, rzeczy starannie poukładane i porozwieszane. Kaisa właśnie wzbijała poduszki.

– No to jest pan w domu – powiedział właściciel. – Proszę się rozlokować, odpoczywać i w ogóle robić to, na co ma pan ochotę. Narty, sprzęt – wszystko jest do pańskiej dyspozycji, na dole. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę się zwracać bezpośrednio do mnie. Obiad jest o szóstej, a jeśli ma pan ochotę teraz coś przegryźć albo się nieco pokrzącić – mam na myśli alkohol – proszę powiedzieć Kaisie. Życzę dobrego wypoczynku.

I wyszedł.

Kaisa ciągle jeszcze ścieliła łóżko doprowadzając je do niespotykanej doskonałości, ja zaś wyjąłem z paczki papierosa, zapaliłem go i podszedłem do okna. Byłem sam. Dzięki niebiosom i Wszechmogącemu nareszcie byłem sam! Wiem, że to nieładnie tak mówić i nawet myśleć, ale jak okropnie trudno w naszych czasach urządzić się tak, żeby chociaż tydzień, chociaż jedną dobę, chociaż parę godzin spędzić w samotności! Mój syn gdzieś wyczytał, że podstawowym nieszczęściem współczesnego człowieka jest osamotnienie i niemożność porozumienia się z innymi ludźmi. Nie wiem, nie wiem. Albo wszystko to wymysły poetów, albo ja po prostu mam pecha. W każdym razie w moim przypadku dwa tygodnie samotności – to właśnie to, czego mi potrzeba. I jakie to Wspaniałe, że mi jest dobrze samemu z sobą, z moim ciałem, jeszcze stosunkowo młodym, jeszcze silnym. Że będę mógł pomknąć na nartach po skrzypiącym śniegu tam, przez całą równinę, aż pod liliowe zbocza gór. Wtedy będzie już zupełnie cudownie...

– Czy coś przynieść? – zapytała Kaisa. – Pan sobie życzy?...

Spojrzałem na nią i Kaisa znowu zasłoniła twarz dłonią. Miała na sobie obcisłą pstrokatą sukienkę i malutki koronkowy fartuszek. Jej obnażone ramiona były białe i pełne, a szyję otaczał sznur drewnianych koralików.

– Kto tu u was teraz mieszka? – zapytałem.

– Gdzie?

– U was. W hotelu.

– W hotelu? W naszym? Mieszkają tu różni.

– Konkretnie – kto?

– Kto? Mieszkają pan Moses z żoną. W jedyńce i w dwójce. I w trójce też. Tylko że w trójce nie mieszkają. A może to córka. Kto ich tam wie. Taka piękna, ciągle tylko patrzy tymi swoimi oczami...

– Tak, tak – powiedziałem, żeby ją zachęcić.

– Jeszcze pan Simonet mieszkają... Tu, naprzeciwno. Ciągłe grają w bilard i łążą po ścianach. Figlarz, tylko że jakby smętny. Na tle psychicznym – Kaisa, znowu się zaczerwieniła.

– A kto jeszcze? – zapytałem.

– Pan du Barnstockre. Hipnotyzer z cyrku...

– Barnstockre? Ten sam?

– Nie wiem. Może i ten sam. Hipnotyzer... I Brune.

– Co za Brune?

– A ten z motocyklem. W spodniach.

– Tak – powiedziałem. – To już wszyscy?

– Jeszcze jedni mieszkają. Ale oni to nie tak jak wszyscy. Nie śpią, nie jedzą, tylko pokój zajmują...

– Nie rozumiem – przyznałem szczerze.

– A tego to nikt nie rozumie. Zajmują pokój i już. Gazety czytają. Niedawno ukradli pantofle pana du Barnstockre’a... Siady zostawiają... Mokra...

– Dobrze – powiedziałem z westchnieniem. – Nie rozumiem ciebie, Kaisa. Może to i lepiej. Pójdę, pojeżdżę sobie na nartach.

Zgniotłem niedopałek w dziewiczo czystej popielniczce i poszedłem do sypialni, żeby się przebrać.

## Rozdział II

Tuż obok hotelu widać było ślady nart. Ale dalej śnieżna pokrywa była czysta i nietknięta jak świeżo wykrochmalone prześcieradło.

Poskakałem przez chwilę w miejscu, wypróbowałem wiązania, wydałem z siebie radosny okrzyk i popędziłem na spotkanie słońca, bezustannie zwiększając tempo, mrużąc oczy od blasku i rozkoszy, z każdym wydechem wyrzucając z siebie nudę zadymionych gabinetów, zbutwiałych dokumentów, beznadziejność płaczliwych przestępców i zrządzających zwierzchników, smętek politycznych sporów i brodatych dowcipów, monotonną krzątanie żony i naskoki dorastających dzieci... posępne zabłocone ulice, śmierdzące lakiem korytarze, puste paszce kas pancernych, ponurych jak martwe czołgi, niebieściutkie wypłowiałe tapety w jadalni, różowiutki wypłowiałe tapety w sypialni i pochłapane atramentem żółciutkie tapety w pokoju dzieciennym...

Z każdym wydechem wyzwalałem się od samego siebie, urzędowego, przerażająco moralnego, do obłędu posłusznego prawu człowieka w mundurze z błyszczącymi guzikami, troskliwego męża i przykładowego ojca, gościnnego kolegi i serdecznego krewniaka, ciesząc się, że wszystko to opuszcza mnie i ludząc się nadzieją, że opuszcza bezpowrotnie, że od tej chwili życie będzie lekkie i czyste jak kryształ, będzie biegło w młodym, wesołym, szalonym tempie. O, jak to wspaniale, że tu przyjechałem!... Niech żyje Segut, brawo, Segut, dzięki ci Segut, chociaż walisz swoich kasiarzy po mordach... Ach, jaki ja jeszcze jestem lekki, zwinny, silny, mogę długo pędzić właśnie tak, po idealnej prostej, a mogę i tak – ostro w prawo, ostro w lewo, odrzucając nartami tony śniegu. A przecież już od trzech lat nie jeździłem na nartach, od czasu kiedy kupiliśmy ten przeklęty nowy dom... A do diabła z domem i ze wszystkim, nie chcę o tym teraz myśleć, do diabła ze starością, do diabła z domem i do diabła z tobą Peter, Peter Glebsky, urzędniku miłujący prawo, niechaj cię Pan Bóg ma w swojej opiece...

Kiedy fala początkowego entuzjazmu opadła, stwierdziłem, że stoję przy drodze, mokry, zadyszany, od stóp do głów oblepiony śniegiem. Zdjąłem rękawiczkę, wytarłem twarz i nagle usłyszałem hałaśliwy warkot, jak gdyby tuż przy mnie zamierzał wylądować sportowy samolot. Ledwie zdążyłem przetrzeć okulary, kiedy śmignął obok mnie nie samolot, rzecz jasna, tylko olbrzymi motocykl, należący do gatunku tych właśnie, które przebijają na wylot mury i mają na swoim koncie więcej śmiertelnych ofiar niż wszyscy mordercy, bandyci i gangsterzy razem wzięci. Motocykl obsypał mnie fontanną śniegu, okulary znowu mi zalepiło i ledwie zdołałem zauważyć chudą, przygiętą sylwetkę, rozwiane czarne włosy i sterczący jak deska koniec czerwonego szala...

Kiedy podjechałem do hotelu, motocykl stygł przed werandą. Obok na śniegu poniewierały się olbrzymie skórzane rękawice z rozcięciami na boku. Wbiłem narty w zaspę, otrzepałem się i ponownie spojrzałem na motocykl. Jaka to złowieszczą maszyna! Nieodparcie nasuwa człowiekowi myśl, że w przyszłym sezonie hotel będzie się nazywał „Pod Poległym Motocyklistą”. Właściciel weźmie nowo przybyłego gościa za rękę i powie, wskazując na dziurę w murze: „W tym miejscu. Właśnie w tym miejscu wpadł na ścianę z szybkością stu dwudziestu mil na godzinę i przebił budynek na wylot. Ziemia zadrżała, kiedy wpadł do kuchni tocząc przed sobą czterdzieści dwie cegły...”

W samym środku hallu stał nieopisanie długi i bardzo przygarbiony człowiek w czarnym fraku. Ręce trzymał za plecami i surowo prawił coś chudemu, zwinnemu stworzeniu nieokreślonej płci, wykwinnie rozpartemu w głębokim fotelu. Stworzenie miało drobną bladą buzię do połowy zasłoniętą wielkimi ciemnymi okularami, masę czarnych

skudłanych włosów i puszysty czerwony szal.

Kiedy zamknąłem za sobą drzwi, długi człowiek zamilkł i odwrócił się w moją stronę. Okazało się, że ma czarną muszkę i wyjątkowo szlachetne rysy twarzy ukoronowane artystycznym nosem. Przez sekundę wpatrywał się we mnie, złożył wargi w ciup i wyciągając wąską białą dłoń ruszył mi na spotkanie.

– Du Barnstockre – oznajmił śpiewnie. – Do pańskich usług.

– Czyżby ten słynny du Barnstockre? – zapytałem ściskając jego rękę z niekłamanym szacunkiem.

– Ten, właśnie ten – odpowiedział. – Z kim mam honor?

Przedstawiłem się i wtedy du Barnstockre złapał mnie nagle za klapy.

– Jakie to śliczne! Inspektorze! Gdzie pan to znalazł?

W palcach trzymał fiołek. I zapachniało fiołkiem. Zmusiłem się do okazania podziwu, chociaż nie lubię takich sztuczek. Stworzenie w fotelu ziewnęło na całą szerokość maleńkich ust i przerzuciło jedną nogę przez poręcz fotela.

– Z rękawa – oznajmiło ochryplym basem. – Chałtura, wujku.

– Z rękawa! – smutno powtórzył du Barnstockre. – Nie, Brune, to byłoby zbyt prymitywne. To rzeczywiście byłaby chałtura.

Położył fiołek na otwartej dłoni, popatrzył nań, uniósł brwi i fiołek znikł.

– Pan po mistrzowsku jeździ na nartach, panie Glebsky – mówił dalej du Barnstockre. – Obserwowałem pana przez okno. I, muszę przyznać, doznałem prawdziwej przyjemności.

– Ależ skądże! – bąknąłem. – Kiedyś jeździłem...

Wujku – odezwało się nagle stworzenie z głębin fotela. – Lepiej byś stworzył papierosa.

Du Barnstockre jakby się opamiętał.

Ach – powiedział – pozwoli pan przedstawić sobie, panie Glebsky – to jest Brune, jedyna latorośl mego ukochanego nieboszczyka brata... Brune, dziecię moje!

Dziecię niechętnie wylazło z fotela i zbliżyło się do nas. Włosy miało bujne, dziewczęce, może zresztą nie dziewczęce, ale jeśli można tak powiedzieć, młodzieżowe. Nogi obciążone elastikiem były chude, chłopięce, a zresztą, być może, zupełnie przeciwnie – zgrabne, dziewczęce. Kurtka zaś była o co najmniej trzy numery za duża. Latorośl obojętnie uśmiechnęła się do mnie delikatnymi różowymi wargami i zainteresowała się ochryple:

– Nieźle żeśmy pana postraszyli, prawda? Tam przy drodze...

– My? – zapytałem.

– No, nie my, oczywiście. Bucefał. On to potrafi...

– W danym przypadku – uprzejmie wyjaśnił du Barnstockre – Bucefał to motocykl, wstrętna i niebezpieczna maszyna, która...

– Papierosa... – przypomniało dziecię.

Du Barnstockre smętnie pokręcił głową i bezradnie rozłożył ręce. Kiedy je znowu złożył, między palcami tkwił zapalony papieros, który został wręczony latorośli. Latorośl zaciągnęła się i kapryśnie burknęła:

– Znowu z filtrem...

Pan zapewne ma ochotę wziąć prysznic po tym wspaniałym suszowaniu – powiedział du Barnstockre. – Niedługo będzie obiad...

– Tak – powiedziałem. – Oczywiście. Proszę mi wybaczyć.

U siebie w pokoju umyłem się, przebrałem, wziąłem papierosa i rozłożyłem się na kanapie. Ogarnęło mnie przyjemne zmęczenie i chyba nawet parę minut podzemałem. Rozbudził mnie czyjś pisk i złowrogi szlochający rechot na korytarzu. Podskoczyłem. W tej

samej chwili zapukano do drzwi i głos Kaisy zamiauczał: „Na obiad proszę!” Odezwałem się w tym sensie, że tak, tak, zaraz zejść, spuściłem nogi z kanapy szukając pantofli. „Na obiad proszę!” – dobiegło z oddali, a potem znowu krótki pisk i potępieńczy rechot. Nawet chyba usłyszałem brzęk zardzewiałego łańcucha.

Uczesałem się przed lustrem, przymierzyłem kilka wyrazów twarzy, a więc: roztargniona uwaga, bardzo męski, zamknięty w sobie specjalista, prostoduszna gotowość do zawarcia wszelkich znajomości i uśmiezek z gatunku „he, he”. Nic nie wydało mi się odpowiednie i dlatego nie trując się więcej włożyłem do kieszeni papierosa dla latorośli i wyszedłem na korytarz. Wyszedłem i osłupiałem.

Drzwi do pokoju naprzeciwko były otwarte. U góry, opierając się stopami o jedną futrynę, a plecami o drugą, zawisł młody człowiek. Jego poza przy całej nienaturalności wydawała się całkowicie niewymuszona. Patrzył na mnie z góry, szczerzył długie, żółte zęby i salutował po wojskowemu.

Dzień dobry – powiedziałem po chwili milczenia. – Pomóc panu?

Wtedy człowiek ten miękko jak kot zeskoczył na podłogę i w dalszym ciągu salutując stanął przede mną na baczność.

Mam zaszczyt, inspektorze – powiedział. – Pan pozwoli, że się przedstawię – porucznik cybernetyki Simon Simonet.

– Spocznij – powiedziałem i uścisnęliśmy sobie dłonie.

Właściwie jestem fizykiem – powiedział Simonet – ale „porucznik cybernetyki” brzmi prawie tak dobrze, jak „porucznik infanterii”. To bardzo śmieszne. – I nieoczekiwanie wybuchnął tym samym okropnym szlochającym rechotem, w którym zwidy wały się wilgotne lochy, niezmywalne plamy krwi i brzęk zardzewiałych łańcuchów na przykutych do skały szkieletach. – Szczerze mówiąc – ciągnął dalej Simonet – przyjechałem tutaj, żeby połączyć po skałach, ale w żaden sposób nie mogę jakoś do nich dotrzeć. Wszędzie śnieg. Więc wspinam się na drzwi, na ściany... – Nagle zamilkł i ujął mnie pod rękę. – Projekt „Midas”, słyszał pan? Ścisłe tajne. Cztery lata bez urlopu. No więc lekarze przepisali mi cykl pozytywnych emocji. – Znowu straszliwie zarechotał, ale już zbliżyliśmy się do jadalni, Simonet porzucił mnie i podążył do stolika, na którym stały zakąski. – Niech pan się trzyma mnie, inspektorze! – ryknął w biegu. – Niech pan się spieszy, inaczej przyjaciele i znajomi Poległego zjedzą cały kawior!

Przy stole siedzieli już du Barnstockre i latorośl jego nieboszczyka brata. Du Barnstockre wytwornie mieszał srebrną łyżeczką bulion w talerzu i z wyrzutem zezował na latorośl, która położywszy na stole łokcie żarłocznie pochłaniała zupę jarzynową.

Na honorowym miejscu królowała nie znana mi jeszcze dama dziwnej i olśniewającej urody. Lat mogła mieć ni to dwadzieścia, ni to czterdzieści, ramiona delikatne, smagłobłękitnawe, szyję łabędzia, ogromne półprzymknięte oczy, długie rzęsy, wysoko upięte włosy, bezcenny diadem – była to niewątpliwie pani Moses, i niewątpliwie ten nieco prostacki table d’hotel nie był dla niej odpowiednim miejscem. Takie kobiety widywałem dotychczas tylko na fotosach w pismach dla wyższych sfer oraz na okładkach bestsellerów.

Właściciel obszedł już stół i właśnie zbliżał się do mnie z tacą w rękę. Na tacce w kryształowym rżniętym kieliszku groźnie błękitniała słynna firmowa nalewka na szarotkach.

– Chrzest bojowy! – oznajmił właściciel, kiedy już znalazł się przy mnie. – Niech pan wybierze sobie coś ostrego na zakąskę.

Usłuchałem. Położyłem na talerzu oliwki i kawior. Potem spojrzałem na właściciela

i dołożyłem jeszcze korniszona – takiego maleńkiego marynowanego ogórka. Potem spojrzałem na nalewkę i wycisnąłem na kawior pół cytryny. Wszyscy patrzyli na mnie. Wzięłem kieliszek, zrobiłem potężny wydech i wlałem nalewkę do gardła. Zatrzęsło mną. Wszyscy patrzyli na mnie, więc zatrzęsło mną tylko wewnętrznie, i odgryzłem połowę korniszona. Właściciel chrząknął. Simonet również chrząknął. Pani Moses powiedziała kryształowym głosem: „O, to prawdziwy mężczyzna”. Uśmiechnąłem się i wsadziłem do ust drugą połowę korniszona, gorzko żalując, że nie jest wielkości dyni. „Ale zasuwa!” – donośnie oświadczyło dziecko.

– Pozwoli pani – powiedział właściciel do pani Moses – że przedstawię pani inspektora Glebsky’ego. – Popielata wieża u szczytu stołu z lekka się zachwiała, uniosły się i opadły zdumiewające, cudowne rzęsy. Skłoniłem głowę. Z przyjemnością zgiałbym się do ziemi, tak mnie paliło w brzuchu, ale pani Moses uśmiechnęła się i od razu poczułem ulgę.

Rozmowę przy stole kierował właściciel. Rozmawiano o zagadkowym i niepoznawalnym, a mówiąc ściśle o tym, że w hotelu ostatnimi dniami dzieją się dziwne rzeczy. Jako nowicjuszowi zreferowano mi szczegóły. Du Barnstockre wyznał, że istotnie dwa dni temu zginęły mu pantofle, które znaleziono dopiero wieczorem w pokoju-muzeum. Simonet z chichotem oznajmił, że ktoś czytuje jego książki – przeważnie literaturę specjalistyczną, i robi na marginesach notatki – przeważnie absolutnie kretyńskie. Właściciel zamierając z zachwytu opowiedział o dzisiejszej historii z dymiącą fajką i gazetą i dodał, że nocami ktoś snuje się po domu. Pani Moses bez przesadnej skromności z ochotą potwierdziła te informacje i dodała, że wczoraj w nocy coś zajrzało do jej pokoju przez okno. Simonet Simonet pochwalił się, że w nocy śpi jak zabity i niczego takiego w ogóle nie słyszał, a dziecko ochryple podało do wiadomości wszystkich obecnych, że ono nie ma specjalnie nic przeciwko tym figlom-miglom, ale zdecydowanie nie znosi, kiedy obcy ludzie wylegują się w jego, dziecięcia, pościeli.

Atmosferę rozkosznej grozy, która zapanowała przy stole, naruszył pan fizyk.

– Pewnego razu przyjechał do nie znanego sobie miasta pewien major – zawiadomił nas. – Zatrzymał się w hotelu i polecił wezwać...

Nagle zamilkł i rozejrzał się dookoła.

– Pardon – powiedział – nie jestem pewien, czy w obecności dam – tu skłonił się w stronę pani Moses – jak również pa... e... e... pacholąt – tu spojrzał na latorośl – e... e...

– A, ten głupawy dowcip – powiedziało dziecko lekceważąco. – „Wszystko pięknie, ale nie dzieli się na pół”. Ten?

– Właśnie! – zawołał Simonet i wybuchnął śmiechem.

– Dzieli się na pół? – zapytała pani Moses z uśmiechem.

– Nie dzieli się! – gniewnie sprostowało dziecko.

– Ach, nie dzieli się? – zdumiała się pani Moses – A co się właściwie nie dzieli?

Dziecię otworzyło już usta, ale du Barnstockre wykonał niedostrzegalny gest i usta zostały zatkanie wielkim rumianym jabłkiem. Dziecię natychmiast ze smakiem odgryzło wielki kęs.

– Ostatecznie dziwne rzeczy dzieją się nie tylko u nas w hotelu – powiedział du Barnstockre. – Wystarczy na przykład wymienić nie zidentyfikowane obiekty latające...

Dziecię z łoskotem odsunęło krzesło i nadal z chrzęstem gryząc jabłko skierowało się do wyjścia. Ciągle jeszcze zastanawiałem się, od kogo by tu się dowiedzieć, czy to chłopiec czy dziewczyna, a du Barnstockre w dalszym ciągu szemrał:

– Giordano Bruno został spalony nie na darmo. Kosmos niewątpliwie zamieszkały jest

nie tylko przez nas. Zagadnienie polega wyłącznie na gęstości rozmieszczenia istot rozumnych we wszechświecie. Gdybym był matematykiem, proszę państwa, spróbowałbym obliczyć prawdopodobieństwo tego chociażby, czy nasza Ziemia może stanowić obiekt czyichkolwiek naukowych obserwacji...

„Samego du Barnstockre’a zapytać, jakoś niezręcznie – myślałem. – Kaisa to idiotka. Zapytać Simoneta, to znaczy narazić się na nową powódź upiornej wesołości... Zresztą o czym ja właściwie myślę? Co mnie to obchodzi? Może by zjeść jeszcze trochę pieczeni?”

– ...Zgodzicie się – szemrał du Barnstockre – iż sama myśl o tym, że czyjeś oczy starannie i uważnie studiują naszą staruszkę Ziemię poprzez kosmiczny ocean...

– Obliczyłem – powiedział Simonet. – Jeżeli oni umieją odróżniać systemy zaludnione od nie zaludnionych, będzie to jedność minus „e” do potęgi minus jeden.

– Naprawdę tak właśnie będzie? – przeraziła się pani Moses nagradzając Simoneta zachwycającym uśmiechem.

Simonet zaśmiał się szczekliwie. Nawet podskoczył na krześle. Oczy mu zwilgotniały.

– A ile to wyniesie konkretnie? – zainteresował się du Barnstockre, przeczekawszy ową akustyczną lawinę.

– W przybliżeniu dwie trzecie – odpowiedział Simonet wycierając oczy.

– Ale to przecież ogromne prawdopodobieństwo! – z żarem oświadczył du Barnstockre, ale w tym momencie drzwi do jadalni za moimi plecami załomotały i zadygotały, jakby je ktoś z wielką siłą próbował wyważyć. Odwróciłem głowę. W progu ukazała się zdumiewająca postać. Był to masywnie zbudowany niemłody mężczyzna o twarzy niewątpliwego buldoga, przyodziany w niesłychany strój przypominający średniowieczną kamizelę w kolorze łososiowym.

– Zupa! – zaryczał spoglądając przed siebie zmętniałymi oczami. Jedną rękę trzymał za plecami, w drugiej zaś dzierżył smukły metalowy kubek. Powstało krótkie zamieszanie. Pani Moses z jakimś ubliżającym jej pośpiechem podbiegła do stolika z zupami, właściciel oderwał się od bufetu i zaczął wykonywać rękoma gesty oznaczające gotowość do wszelkich usług, a pan Moses, ponieważ niewątpliwie był to właśnie on – uroczyście podrygując policzkami zaniósł swój kubek na miejsce vis a vis pani Moses i tam spoczął – cudem tylko nie chybił i nie usiadł obok krzesła.

Co do pogody, proszę państwa, to dzisiaj pada – oznajmił. Pani Moses postawiła przed nim zupę. Pan Moses surowym wzrokiem zajrzał do talerza i łyknął z kubka. – O czym mowa? – zasięgnął informacji.

– Pan Simonet obliczył nam prawdopodobieństwo... – zaczął du Barnstockre.

– Bzdura – powiedział pan Moses. – Matematyka to nie nauka, panie Barns... Barnl... du! Kto to jest? – zapytał wytrzeszczając na mnie prawe oko. Mętne jakieś takie oko, niesympatyczne.

– Panowie pozwolą – pospiesznie powiedział właściciel. – Pan Moses – inspektor Glebsky.

– Inspektor – zawarczał Moses. – Fałszywe pokwitowania... podrobione paszporty... – Znowu surowo spojrzął na talerz i pociągnął z kubka. – Dobra dziś zupa – oznajmił. – Olga, sprzątnij to i daj jakiegoś mięsa. No i dlaczego milczycie? Mówcie, mówcie, słucham was.

– A propos mięsa – natychmiast zgłosił się Simonet. – Pewien smakosz zamówił w restauracji filet...

– Filet. Tak! – z aprobatą powiedział pan Moses próbując przekroić pieczeń jedną ręką, Z drugiej nie wypuszczał kubka.

– Kelner przyjmuje zamówienie, a smakosz oczekując na ulubioną potrawę, przygląda się dziewczętom na estradzie...

– Śmieszne – powiedział pan Moses. – Na razie bardzo śmieszne. Za mało soli. Olga, podaj no mi sól. No i co?

Simonet zawahał się.

– Pardon – powiedział niezdecydowanie. – Nabrałem poważnej obawy...

– Tak. Obawy – z zadowoleniem powtórzył pan Moses. – A co dalej?

– To już wszystko – smętnie powiedział Simonet i opadł na oparcie krzesła.

Moses wznosił oczy na Simoneta.

– Jak to wszystko? – zapytał z oburzeniem. – Czy mu przynieśli filet?

– M-m... Właściwie... właściwie to nie – powiedział Simonet.

– To bezczelność – oświadczył Moses. – Należało wezwać maitre d’hotela – z obrzydzeniem odsunął od siebie talerz. – Wyjątkowo ohydną historię opowiedział nam pan, panie Simonet. Historia jak historia – odparł z bladym uśmiechem Simonet.

Moses pociągnął z kubka i zwrócił się do właściciela.

– Cenevert – powiedział. – Czy znalazł pan tego drania, co kradnie pantofle? Inspektorze! I tak pan tu zbija bąki. Jakiś łobuz kradnie pantofle i zagląda w okna. Co pan myśli o tych kradzieżach?

– Myślę, że to żarty kogoś z obecnych.

– Dziwne stanowisko – z dezaprobatą powiedział Moses.

Bynajmniej – zaprotestowałem. – Po pierwsze: we wszystkich tych działaniach nie widać innego celu poza mistyfikacją. Po drugie: pies zachowuje się tak, jakby w domu byli tylko swoi.

– O tak! – oznajmił właściciel głuchym głosem. – Oczywiście w domu są sami swoi. Ale on był dla Lelle nie tylko „swoim” człowiekiem. On był dla niego bogiem, proszę państwa!

Moses wytrzeszczył oczy na właściciela.

– Jaki on? – zapytał srogo.

– On. Poległy.

– Niech pan mi nie zawraca głowy – powiedział Moses. – A jeżeli pan wie, kto tu się zabawia w taki sposób, to niech mu pan poradzi – poważnie poradzi! – żeby przestał. Pan mnie dobrze rozumie? – Potoczył po nas przekrwionym okiem. – Inaczej ja też zacznę żartować – zaryczał.

Zapadło milczenie. Moim zdaniem wszyscy próbowali sobie wyobrazić, czym się to skończy, jeżeli Moses też zacznie żartować.

Potem pani Moses odstawiła talerz, przytknęła serwetkę do cudownych warg i wznosząc oczy do sufitu oświadczyła:

– Ach, jak ja kocham piękne zachody słońca! Ta feeria barw!

Natychmiast poczułem potężny pociąg do samotności. Wstałem i powiedziałem stanowczo:

– Było mi niezwykle miło. Spotkamy się przy kolacji.

## Rozdział III

– Pojęcia nie mam, kto to jest – powiedział Cenevert oglądając szklanekę pod światło. – Zapisał się w mojej księdze jako handlowiec podróżujący prywatnie. Ale to nie handlowiec.

Siedzieliśmy w salonie przed kominkiem. Czerwono żarzyły się węgle, fotele były autentycznie staroświeckie, wzbudzające zaufanie. Portwein był gorący, aromatyczny i z cytryną. Półmrok był przytulny, czerwonawy, swojski. Na dworze zaczęła się zamieć, w kominie pogwisdywało. W domu panowała cisza, tylko czasami z oddali, jak z cmentarza, dobiegały wybuchy szlochającego rechotu i ostre jak wystrzał kłaśniecia udanych karamboli. W kuchni Kaisa podzwaniała garnkami.

– Handlowcy są przeważnie skąpi – mówił dalej właściciel w zadumie – a pan Moses nie jest skąpy, o nie! „Czy nie byłby pan łaskaw poinformować mnie, czym rekomendacją zawdzięczam ten zaszczyt, że raczył pan wybrać mój hotel?” – Zamiast odpowiedzi wyciągnął z portfela stukoronowy banknot, zapalił go zapalniczką, przypalił od niego cygaro, dym wydmuchnął mi w twarz i odpowiedział: „Jestem Moses, mój panie, Albert Moses! Mosesowi niepotrzebne są rekomendacje. Moses zawsze i wszędzie jest u siebie”. Co pan na to? Podróżuje prywatnie... Po mojej dolinie się nie podróżuje. Tu się przyjeżdża na narty albo na wspinaczkę. To ślepa dolina. Stąd nie ma drogi donikąd.

Nieomal leżałem w fotelu krzyżując wyciągnięte nogi. Sprawiało mi niezwykłą przyjemność leżenie w takiej pozycji i rozważanie w najzupełniej poważnym tonie, kim też może być pan Moses.

– No, dobrze – powiedziałem – dolina bez wyjścia. A co robi w tej dolinie bez wyjścia sławny pan du Barnstockre?

– O, pan du Barnstockre to zupełnie inna sprawa. Pan du Barnstockre przyjeżdża do mnie rokrocznie, już trzynasty raz z rzędu. Ma bzika na punkcie mojej nalewki. A pan Moses, ośmielę się zauważyć, stale jest na lekkiej bani, a tymczasem nie zamówił jeszcze ani razu żadnego alkoholu.

Chrząknąłem znacząco i pociągnąłem niezły łyk.

– Wynalazca – stanowczo powiedział właściciel – wynalazca albo czarownik.

– Wierzy pan w czarowników, panie Cenevert?

– Alec, gdyby pan był tak łaskaw. Po prostu Alec. Uniosłem szklanekę i wypilem jeszcze jeden spory łyk za zdrowie Aleca.

– W takim razie proszę do mnie mówić po prostu Peter.

Właściciel uroczyście skinął głową i wypił spory łyk za zdrowie Petera.

– Czy wierzę w czarnoksiężników? – zapytał. – Widziałeś moje perpetuum mobile?

– Nie. Czy one pracują?

– Czasami. Muszę je często zatrzymywać. Zbyt szybko zużywają się części... Kaisa! – wrzasnął nagle tak głośno, że aż się wzdrygnąłem. – Jeszcze jeden portwein dla pana inspektora!

Zjawiła się Kaisa, bardzo zarumieniona i z lekka rozczochrana. Podała mi szklanekę portweinu, dygnęła, zachichotała i zniknęła.

– Pulpecik – zamruczałem machinalnie. Bądź co bądź to już była trzecia szklanka. Alec zaśmiał się dobroduszenie.

– Nie sposób się jej oprzeć. Nawet pan du Barnstockre nie wytrzymał i uszczypnął ją wczoraj w podbródek. A to, co się dzieje z naszym fizykiem...

– Według mnie fizyk ma raczej ochotę na panią Moses.

– Pani Moses – w zamyśleniu powiedział właściciel. – A wiesz, Peter, mam dość poważne podstawy do przypuszczeń, że to nie pani i nie Moses...

Nie zaprzeczyłem. Też coś...

– Zauważyłeś już zapewne – mówił dalej Alec – że ona jest znacznie głupsza od Kaisy. A oprócz tego... – zniżył głos. – Moim zdaniem Moses ją bije.

Wstrząsnąłem się.

– Jak to „bije”?

– Moim zdaniem pejczem. Moses ma pejcz. Rodzaj dyscypliny. Jak tylko ją zobaczyłem, zadałem sobie pytanie – po co panu Mosesowi dyscyplina? Czy możesz mi na to odpowiedzieć?

– No wiesz, Alec – powiedziałem.

– Nie będę się upierał – mówił właściciel – w żadnym wypadku nie będę się upierał. Ale chciałem Jeszcze dodać... – przerwał i zaczął nadśluchować.

– Samochód – powiedział. – Słyszysz?

Wstał złapał futrzaną kamizelkę i poszedł do drzwi. Ruszyłem za nim.

Na dworze szalała prawdziwa zamieć. Przed werandą stał wielki, czarny samochód, obok, w blasku reflektorów jacyś ludzie wymachiwali rękoma i przeklinali.

– Dwadzieścia koron! – piszczełi falsetem. – Dwadzieścia koron i ani grosza mniej! Co, nie widzieliście, jaka to była droga?

– Za dwadzieścia koron mogę kupić ciebie razem z twoim pudłem – wydzierali się w odpowiedzi.

Właściciel chyżo zbiegł z werandy.

– Panowie – zahuczał jego potężny głos. – To przecież błahostka!

– Dla pięciu koron gotów się powiesić! A ja muszę jeszcze dojechać z powrotem!

– Piętnaście i ani grosza więcej! Rzezimieszek!

Zrobiło mi się zimno, więc wróciłem do kominka, wziąłem szklanekę i poszedłem do bufetu. W hallu przystanąłem. Drzwi się rozwarły i w progu stanął ogromny ośnieżony mężczyzna z walizką w rękę. Powiedział „br-r-r”, otrząsnął się gwałtownie i okazał się jasnowłosym wikingiem. Jego rumiana twarz była mokra, a rzęsy białe od śniegu. Kiedy mnie zauważył, uśmiechnął się błyskawicznym uśmiechem, ukazując równe białe zęby, i powiedział miłym barytonem:

– Olaf Andvarafors. Albo zwyczajnie – Olaf. Wymieniłem i ja swoje nazwisko. Drzwi znowu zgrzytnęły, pojawił się Cenevert z dwiema torbami podróżnymi, a za nim maleńki, zakutany po same oczy człowieczek, również cały oblepiony śniegiem i bardzo niezadowolony.

– Przekłęci złodzieje! – mówił histerycznym głosem. – Umówiliśmy się na piętnaście. Chyba to jasne dla każdego – po siedem i pół od łebka...

– Panowie, panowie!... – zagadywał właściciel. – To przecież błahostka... Proszę tutaj, na lewo... Panowie!...

Maleńki człowieczek, dalej krzyżąc coś o waleniu po mordzie i o policji, dał się zaciągnąć do biura, a wiking Olaf powiedział basem: „Skapiradło...” – i zaczął się rozglądać z takim wyrazem twarzy, jakby oczekiwał, że go tu powitają rozentuzjzmowane tłumy.

– Kto to? – zapytałem.

– Nie wiem. Wzięliśmy jedną taksówkę. Innej nie było.

Zamilkł patrząc ponad moim ramieniem. Odwróciłem się. Nic specjalnego nie zauważyłem. Tylko leciutko poruszała się portiera oddzielająca wejście do korytarza

prowadzącego do salonu i do pokoi Mosesów. Zapewne z powodu przeciągu.

## Rozdział IV

Rano zamieć ucichła. Wstałem o świcie, kiedy wszyscy w hotelu jeszcze spali, wybiegłem w samych slipach na werandę i wydając gromkie, dziarskie okrzyki natarłem się świeżym puszystym śniegiem, żeby zneutralizować ostatnie skutki trzech szklanek portweinu. Słońce zaledwie odrobinę wychynęło spoza grzbietów górskich i długi, granatowy cień hotelu leżał w dolinie. Zauważyłem, że trzecie okno po prawej stronie na piętrze jest szeroko otwarte. Widocznie ktoś nie chciał nawet w nocy rezygnować z uzdrawiającego górskiego powietrza.

Wróciłem do pokoju, ubrałem się, zamknąłem drzwi na klucz i zbiegłem do bufetu. Kaisa, czerwona i zgrzana, już się krzątała przy rozpalonej kuchni. Dała mi filiżankę kakao i kanapkę, a ja unicestwiłem jedno i drugie, stojąc przy bufecie i nasłuchując kątem ucha, jak właściciel nuci sobie jakąś piosenkę w swoim warsztacie. Żeby tylko nikogo nie spotkać – myślałem. Ranek jest zbyt cudowny, żeby go z kimś dzielić. Myśląc o tym poranku, o tym jasnym niebie, o złotym słońcu, o pustej puszystej dolinie czułem się takim samym skąpcem, jak wczorajszy zakutany po same brwi człowieczek, który urządził skandal z powodu pięciu koron. (Hincus, kurator do spraw nieletnich, na urlopie z powodu choroby). I nikogo nie spotkałem, jeśli nie liczyć bernardyna Lelle, który z życzliwą obojętnością obserwował, jak zapinam wiązania. I cały ten poranek, i jasne niebo, i puszysta biała dolina – wszystko to przypadło w udziale mnie jednemu.

Kiedy powróciłem do hotelu, żeby coś przegryźć po dziesięciomilowej przejażdżce, wszyscy byli już na nogach.

W bufecie nie bez pewnego trudu dowiedziałem się od Kaisy, że jedyny czynny prysznic mieści się na piętrze. Szybko udałem się więc po czystą bieliznę i ręcznik. Ale chociaż spieszyłem się bardzo, jednak przyszedłem za późno. Łazienka była już zajęta, zza drzwi dobiegał plusk wody i niewyraźny śpiew. Pod drzwiami stał Simonet, również z ręcznikiem przewieszonym przez ramię... Stałem za nim, a za mną natychmiast zajął miejsce pan du Barnstockre. Zapaliliśmy. Simonet dusząc się ze śmiechu i spoglądając na boki zaczął opowiadać dowcip o kawalerze, który zamieszkał u wdowy z trzema córkami. Z pierwszą córką szybko się uporał, a losy pozostałych na szczęście pozostały nam nie znane, ponieważ w hallu objawiła się pani Moses, która zapytała nas, czy nie przechodził tędy pan Moses, jej mąż i władca. Pan du Barnstockre z galanterią odpowiedział, że niestety, nie. Simonet oblizal się i wpił się w panią Moses łakomym spojrzeniem, a ja przysłuchiwałem się głosowi dobiegającemu z łazienki i wyraziłem przypuszczenie, że pan Moses znajduje się właśnie tam. Pani Moses odniosła się do tej hipotezy z jawnym niedowierzaniem. Uśmiechnęła się, pokręciła głową i zwierzyła się nam, że w na rue de Chanel mają dwie łazienki – jedną ze złota drugą z platyny. A kiedy nikt z nas nie znalazł godnej odpowiedzi, oznajmiła, że pójdzie poszukać pana Mosesa gdzie indziej. Simonet przełknął ślinę i natychmiast zaproponował jej swoją pomoc, a my z du Barnstockre'em zostaliśmy sami. Nie na długo jednak, ponieważ zaraz przyłączył się do nas Hincus kurator, który niezwłocznie zaczął się pieklić w tym sensie, że pieniądze to wyciągają podwójnie, ale prysznic działa tylko jeden. Pan du Barnstockre uspokoił go – wydobył z jego ręcznika dwa lizaki w kształcie kogucików. Hincus błyskawicznie zamilkł i nawet, biedactwo, zmienił się na twarzy. Koguciki przyjął, włożył je do ust i zapatrzył się na wielkiego prestidigitatora ze zgrozą i z niedowierzaniem. Zaś pan du Barnstockre bardzo zadowolony z efektu, jaki osiągnął, zaczął nas zabawiać dzieleniem i mnożeniem w pamięci wielocyfrowych liczb.

A w łazience wciąż szumiała woda, tylko śpiew umilkł, za to rozległy się niewyraźnie wypowiedane słowa. Z piętra ciężkim krokiem zeszli ramię przy ramieniu pan Moses i jasnowłose wiking Olaf. Kiedy zeszli ze schodów, rozstali się. Pan Moses popijając poniósł swój kubek do siebie za portierę, a wiking nie mówiąc ani słowa stanął z nami we wspólnym szeregu. Spojrzałem na zegarek. Czekaliśmy już ponad dziesięć minut.

Trzasnęły drzwi wejściowe. Obok nas nie zatrzymując się przemknęło niedosłyszalnymi susami dziecko, zostawiając po sobie zapach benzyny, potu i perfum.

I wtedy do mojej świadomości dotarło, że z kuchni słychać głosy Ceneverta i Kaisy, i jakieś dziwaczne podejrzenie olśniło mnie po raz pierwszy. Niezdecydowanie spojrzałem na drzwi łazienki. Hincus nagle coś niezrozumiale wybełkotał, potrącił Olafa ramieniem i ruszył do hallu.

– Słuchajcie – powiedziałem. – Czy dziś rano ktoś przyjechał?

– Tylko ci panowie – odparł du Barnstoekre. – Pan Andvarafors i pan... e-e... ten niewysoki pan, który odszedł.

– My przyjechaliśmy wczoraj wieczorem – sprostował Olaf.

Sam wiedziałem, kiedy przyjechali. Na sekundę w mojej wyobraźni pojawił się obraz kościotrupa nucącego piosenki pod strumieniem gorącej wody i namydlającego piszczele. Ogarnęła mnie złość i pchnąłem drzwi. W łazience nikogo nie było. Szumiała odkręcona na cały regulator gorąca woda, pełno było pary, na haczyku wisiała znajoma brezentowa kurtka Poległego Alpinisty, a pod nią, na dębowej ławie mrucał poświsując stary tranzystorowy odbiornik.

– Quelle diable! – wykrzyknął du Barnstockre. – Panie Cenevert!

Powstało zamieszanie. Łomocąc ciężkimi buciorami przybiegł właściciel. Jak spod ziemi wyskoczył skądś Simonet. Przechyliło się przez poręcz dziecko z niedopałkiem papierosa przyklejonym do dolnej wargi. Z hallu lękliwie wyjrzał Hincus.

– To niesłychane! – mówił wzburzony du Barnstoekre – Stoimy tu i czekamy co najmniej od piętnastu minut!...

– A na moim łóżku znowu ktoś się wylegiwał – oświadczyło dziecko. – I ręcznik jest mokry.

W oczach Simoneta jarzyła się szatańska radość.

– Panowie, panowie... – powtarzał właściciel wykonując uspokajające gesty. Zajrzał do łazienki i przede wszystkim zakręcił wodę. Następnie zdjął z haczyka kurtkę, zabrał radio i odwrócił się do nas. Twarz jego miała wyraz nader uroczysty. – Panowie! – oświadczył głuchym głosem. – Mogę tylko stwierdzić następujące fakty. To jest JEGO radio. I JEGO kurtka...

W milczeniu odsunąłem właściciela na bok, wszedłem do łazienki i zamknąłem za sobą drzwi. Już kiedy zdarłem z siebie ubranie, przyszło mi do głowy, że właściwie teraz była nie moja kolejka, tylko Simoneta, ale żadnych wyrzutów sumienia nie odczuwałem. Na pewno on to wszystko zaaranżował, pomyślałem ze złością. Niech sobie teraz poczeka. Tyle wody niepotrzebnie się zmarnowało...

Kiedy wyszedłem z łazienki, zgromadzeni w hallu nadal rozprawiali o dziwnym wydarzeniu. Niczego nowego zresztą nie usłyszałem, więc poszedłem sobie. Na schodach minąłem dziecko nadal zwisające z poręczy. „Zwariowany dom!.. – oświadczyło mi wyzywająco. Pomiąłem to milczeniem i udałem się prosto do swojego pokoju.

Pod wpływem prysznicy i miłego zmęczenia złość mi przeszła całkowicie. Przysunąłem sobie fotel do okna, wybrałem najgrubszą i najpoważniejszą książkę i usiadłem opierając nogi

o blat stołu. Przy pierwszej stronie zdrzemnąłem się i obudziłem prawdopodobnie po półtorej godzinie – słońce przesunęło się bardzo znacznie i cień hotelu leżał teraz pod moim oknem. Sądząc po cieniu, na dachu siedział człowiek, a ponieważ byłem zaspany, pomyślałem, że to prawdopodobnie smętny figlarz Simonet skacze z komina na komin i rechocze. Znowu usnąłem, potem książka spadła na podłogę, drgnąłem i obudziłem się na dobre. Teraz na dachu widać było wyraźnie cienie dwóch ludzi – jeden widocznie siedział, drugi stał. Opalają się, pomyślałem, i poszedłem się myć. Kiedy się myłem, przyszło mi do głowy, że nieźle byłoby wypić filiżankę kawy dla dodania sobie sił. Zapaliłem i wyszedłem na korytarz. Było około trzeciej.

Na podeście schodów spotkałem Hincusa. Schodził ze strychu na dół i wyglądał jakoś bardzo dziwnie. Był nagi do pasa, straszliwie spocony, a twarz miał tak bladą, że aż zielonkawą. Oczy jego były nieruchome i obiema rękami przyciskał do piersi zmięte ubranie. Kiedy mnie zobaczył, wzdrygnął się i przystanął.

– Opala się pan? – zapytałem grzecznościowo. – Niech pan uważa, żeby się nie poparzyć. Źle pan wygląda.

Przejawiwszy w ten sposób troskę o bliźniego, nie czekając na odpowiedź poszedłem na dół. Hincus maszerował w ślad za mną.

– Pić mi się zachciało – powiedział ochryple.

– Może jednak się pan ubierze – poradziłem mu. – Bo jeżeli tam jest pani Moses...

– Tak – odpowiedział Hincus. – Naturalnie. Zupełnie zapomniałem.

Przystanął i zaczął pospiesznie naciągać koszulę i kurtkę, a ja poszedłem do bufetu i otrzymałem od Kaisy talerz z zimnym rostbefem, chleb i kawę. Hincus, już ubrany i już mniej zielony, przyłączył się do mnie i zażądał czegoś mocniejszego.

– Simonet też jest tam? – zapytałem. Przyszło mi do głowy, że można by pograć w bilard.

– Gdzie? – gwałtownie zapytał Hincus, ostrożnie podnosząc do ust kieliszek.

– Na dachu.

Ręka Hincusa drgnęła, brandy popłynęła po palcach. Spiesznie wypił, wciągnął nosem powietrze i wycierając usta dłonią powiedział:

– Nie. Na dachu nie ma nikogo.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem. Wargi miał zaciśnięte i nalewał sobie następny kieliszek.

– To dziwne – powiedziałem. – Nie wiem czemu wydawało mi się, że Simonet jest na dachu.

– Niech się pan przeżegna, to się panu przestanie wydawać – ordynarnie odpowiedział kurator do spraw, wypił i znowu sobie nalał.

– Co się z panem dzieje? – zapytałem.

Przez chwilę w milczeniu patrzył na nalany kieliszek.

– Tak – odpowiedział w końcu – nieprzyjemności. Czy człowiek może mieć nieprzyjemności?

Było w nim coś żalosego, zdjęła mnie litość.

– Tak, oczywiście. Przepraszam pana.

Golnął sobie trzeci kieliszek i nagle powiedział:

– Czy nie miałby pan ochoty popalać się na dachu?

– Nie, dziękuję – odpowiedziałem. – Nie chcę się poparzyć. Mam wrażliwą skórę.

Hincus pomyślał, wziął butelkę i zakorkował ją.

– Tam jest wspaniałe powietrze – powiedział. – Piękne widoki. Cała dolina jak na dłoni... Góry...

– Chodźmy zagrać w bilard – zaproponowałem. – Gra pan?

Po raz pierwszy spojrział mi prosto w twarz swoimi maleńkimi chorymi oczami.

– Nie – odmówił. – Lepiej pójdę na – powietrze. Następnie znowu otworzył butelkę i nalał sobie czwarty kieliszek. Skończyłem jeść rostbef, wypilem kawę i zamierzałem odejść. Hincus tępo wpatrywał się w swoją butelkę brandy.

– Niech pan uważa, żeby nie spaść z dachu – powiedziałem na odchodnym.

Uśmiechnął się krzywo i nic nie odpowiedział. Znowu wszedłem na pierwsze piętro. Nie słyszałem stukotu bilardowych kul, więc zapukałem do pokoju Simoneta. Nikt się nie odezwał. Zza drzwi obok dobiegały niewyraźne głosy, więc zapukałem. Simoneta nie było tam również. Przy stole siedzieli du Barnstockre z Olafem i grali w karty. Byli niesłychanie przejęci.

Przeprosiłem i zamknąłem drzwi. Trudno, zagram sam ze sobą. Szczerze mówiąc nie robi mi to żadnej różnicy. Skierowałem się w stronę sali bilardowej i po drodze przeżyłem niewielki szok. Po schodach ze strychu, podtrzymując dwoma palcami wytworną suknię, schodziła pani Moses. Kiedy mnie zobaczyła, uśmiechnęła się niezwykle czarująco.

– Pani również się opalała? – palnąłem speszony.

– Opalałam się? Cóż za dziwaczny pomysł! – pani Moses zbliżyła się do mnie. – Jakie zdumiewające przypuszczenia przychodzą panu do głowy, inspektorze!

– Niech mnie pani nie nazywa inspektorem – poprosiłem. – Tak mi już to obrzydło...

– U-wiel-biam policję – oznajmiła pani Moses wznosząc do góry przepiękne oczy. – Uwielbiam tych śmiałków, tych bohaterów. Pan wszak jest śmiałkiem, nieprawdaż?

I wyszło tak jakoś, samo przez się, że zaproponowałem jej ramię i razem poszliśmy do sali bilardowej. Ramię pani Moses było białe, twarde i zdumiewająco zimne.

– Droga pani – powiedziałem – przecież pani strasznie zmarzła.

– Ani troszeczkę, inspektorze – odpowiedziała i nagle przypomniała sobie: – Pan wybacz, ale jak mam w takim razie pana nazywać?

– A może Peter? – zaproponowałem.

– To byłoby cudowne. Miałam kiedyś przyjaciela, był to baron Peter von Gottesknecht. Pan go nie zna? Jednakże w takim razie będzie pan musiał mówić do mnie: Olga. A co będzie, jeżeli usłyszysz Moses?

Przeszliśmy przez jadalnię i znaleźliśmy się w sali bilardowej. Odkryliśmy tam Simoneta. Nie wiadomo dlaczego leżał na podłodze w płytkiej, ale szerokiej niszy. Włosy miał potargane, a twarz nabiegła mu krwią.

– Simon! – zawołała pani Moses i przyłożyła dłonie do policzków. – Co się z panem dzieje?

Simonet zaklekotał w odpowiedzi i wpierając się rękami i nogami w brzegi niszy powędrował w górę do sufitu.

– Boże, pan się zabije! – krzyknęła pani Moses.

– Doprawdy, Simonet – powiedziałem z irytacją. – Skręci pan sobie kark.

Jednakże figlarz nie zamierzał ani zabijać się, ani skręcać karku. Dotarł do sufitu, powisiał tam przez chwilę czerwieniejąc coraz gwałtowniej, potem miękko zeskoczył na podłogę i zasalutował. Pani Moses zaklaskała w dłonie.

– Pan jest cudowny, Simon – powiedziała. – Zupełnie jak mucha.

– No cóż, inspektorze – powiedział lekko zadyszany Simonet – zmierzmy się na cześć

pięknej damy? – Porwał kij i zrobił wypad posługując się kijem jak szpadą. – Wyzywam pana, inspektorze Glebsky!

Z tymi słowami odwrócił się do stołu bilardowego i z takim stukotem zasadził ósemkę w róg przez cały stół, że mi w oczach pociemniało. Jednakże nie sposób było się cofnąć. Ponuro wzięłem kij.

– Walczcie, panowie, walczcie – powiedziała pani Moses. – Piękna dama zostawia nagrodę dla zwycięzcy. – Rzuciła na środek stołu koronkową chusteczkę. – A ja zmuszona jestem pożegnać panów. – Posłała nam pocałunek i wyszła.

– Diabelnie pociągająca kobieta – oświadczył Simonet. – Można oszaleć – zaczepił kijem chusteczkę, *zanurzył* nos w koronki i wzniosł oczy do nieba. – Cudo! Pan również nie ma do zanotowania żadnych sukcesów, inspektorze?

– Niech mi się pan bardziej płacze pod nogami – powiedziałem posepnie, zbierając bile w piramidkę. – Kto pana prosił, żeby pan tu sterczał?

– A dlaczego pan, kapuściana głowo, przyprowadził ją do sali bilardowej? – nie bez racji zapytał Simonet rozbijając piramidkę.

– Nie mogłem przecież prowadzić jej do bufetu... – burknąłem i ruszyłem wzdłuż stołu szukając jakiejś łatwej bili.

– Niech no pan spojrzy – powiedział Simonet. Stał przy oknie i spoglądał gdzieś w bok. – Jakiś kretyn siedzi na dachu... Pardon! Dwóch kretynów! Jeden stoi i w pierwszej chwili zdawało mi się, że to komin.

– To Hincus – burknąłem przymierzając się do uderzenia.

– Hincus to taki malutki facet, który bez przerwy zrzedzi – powiedział Simonet. – Nieprzyjemna postać. Olaf to co innego. Prawdziwy potomek starodawnych konungów, oświadczam to panu, inspektorze Glebsky.

Wreszcie uderzyłem. I chybiłem. To było bardzo łatwe, a ja chybiłem. Obejrzałem koniec kija, pomacałem kapkę. Kapka była w porządku.

– Niech pan się tak nie przygląda – podchodząc do stołu powiedział Simonet. – Nic pana nie usprawiedliwia.

Uderzył. Potem jeszcze raz. Ostro, z trzaskiem i stukotem. Jęknąłem i podszedłem do okna, żeby na to nie patrzeć. Simonet uderzył jeszcze raz i powiedział:

– Pardon. Do czynu, inspektorze.

Cień siedzącego człowieka odchylił głowę do tyłu i uniosł rękę z butelką. Zrozumiałem, że to Hincus. Teraz zdrowo pociągnie i poda butelkę temu, który stoi. A właściwie kto to jest, ten stojący?

– Gra pan czy nie? – zapytał Simonet. – Co się tam dzieje?

– Hincus się zaprawia – powiedziałem. – Och, spadnie nam dzisiaj z dachu...

Hincus zdrowo sobie golnął, następnie powrócił do poprzedniej pozycji. Nie poczęstował stojącego. Kto to może być? E, pewnie latorośl... Wróciłem do stołu, wybrałem łatwą kombinację i znowu chybiłem.

– Czytał pan pamiętniki Koriolisa o grze w bilard? – zapytał Simonet.

– Nie – odpowiedziałem posepnie – i nie zamierzam.

– A ja czytałem – powiedział Simonet. Dwoma uderzeniami skończył partię, a na zakończenie wybuchnął swoim okropnym śmiechem. Położyłem kij w poprzek stołu..

Został pan bez partnera, Simonet – powiedziałem mściwie. – Może pan teraz w całkowitej samotności wycierać nos w swoją nagrodę.

Simonet wziął chusteczkę i uroczyście wetknął ją do kieszeni marynarki.

– Znakomicie – powiedział. – Co teraz będziemy robić?

Pomyślałem przez chwilę.

– Chyba pójdę się ogolić. Niedługo obiad.

Wyszliśmy na korytarz i od razu wpadliśmy na dziecię ukochanego nieboszczyka brata pana du Barnstockre'a. Dziecię zastąpiło nam drogę i bezczelnie połyskując wybaluszonymi szklami ciemnych okularów zażądało papierosa.

– Jak tam Hincus? – zapytałem wyciągając papierosy. – Dobrze się zaprawił?

– Hincus? Ach, ten... – Dziecię zapaliło i złożony wargi wypuściło kóleczek dymu. – Zaprawić to się jeszcze nie zaprawił, ale jest na niezłej bani, a zabrał jeszcze jedną butelkę ze sobą.

– A co, razem żeście pili? – zapytał Simonet z ciekawością.

Dziecię lekceważąco parsknęło.

– Jeszcze czego! On mnie nawet nie zauważył. Przecież tam była Kaisa.

W tym momencie przyszło mi do głowy, że najwyższy czas wyjaśnić, czy to chłopiec, czy dziewczyna, więc zastawiłem wnyki.

– To znaczy, że byliście razem z Hincusem w bufecie? – zapytałem chytrze.

– Tak. A bo co? Policja zabrania?

– Policja chce wiedzieć, co się tam działo.

– I świat nauki również – dodał Simonet. Zdaje się, że mu przyszła do głowy ta sama myśl.

– Pić kawę policja zezwala? – zainteresowało się dziecię.

– Tak – odpowiedziałem. – A co było poza kawą?

Teraz... Przecież nie może ono powiedzieć „Jadłom”...

– Ano nic – z zimną krwią odpowiedziało dziecię. – Kawa i ciastka z kremem. To moje wszystkie czynności w barze.

– Słodyczne przed obiadem są niezdrowe – z wyrzutem powiedział Simonet. Był wyraźnie rozczarowany. Ja również.

– No, dobrze – burknąłem. Pójdę się ogolić.

– Może panowie chcą jeszcze o coś zapytać? – zapytało dziecię.

– Ależ nie, na Boga! – powiedziałem. Trzasnęły drzwi, dziecię udało się do siebie.

– Zejdę na dół i coś przegryzę – powiedział Simonet zatrzymując się przy podeście. – Niech pan idzie ze mną, inspektorze, do obiadu jeszcze ponad godzinę.

Odmówiłem i rozstaliśmy się. Simonet załomotał butami po schodach, a ja poszedłem do swego pokoju. W momencie kiedy przechodziłem obok pokoju-muzeum, usłyszałem w środku jakieś trzaski, łoskot, dźwięk rozbitego szkła, a potem wściekłe sapanie.

Zajrzałem do pokoju i stwierdziłem tam obecność pana Mosesa. Pan Moses jedną ręką wysoko unosił róg dywanu, w drugiej dzierżył swój nieodłączny kubek i z „brzydzeniem kontemplował przewróconą nocną szafkę i kawałki rozbitej wazy.

– Przekłeta melina! – zachrypiał na mój widok. – parszywa buda!

– Co pan tu robi? – zapytałem.

Pan Moses niezwłocznie wpadł we wściekłość.

– Co ja tu robię? – zaryczał i z całej siły pociągnął na siebie dywan, przewrócił fotel i omal nie stracił równowagi. – Szukam drania, który włóczy się po hotelu, okrada porządnych ludzi, hałasuje po nocach na korytarzach i zagląda w okna mojej żony! Po jakiego diabła muszę się tym zajmować, kiedy w domu sterczy policjant?

Odrzucił dywan i zwrócił się ku mnie. Aż się cofnąłem.

– Może mam wyznaczyć nagrodę? – dalej ryczał, rozwścieczając się coraz bardziej. – Proszę, wyznaczam. Ile pan chce, inspektorze? Pięćset? Tysiąc? Półtora tysiąca koron dla tego, kto znajdzie mój złoty zegarek! Dam dwa tysiące koron!

– Zginął panu zegarek? – zapytałem zaszępiiony. Złoty zegarek to nie ranne pantofle i nie zajęta łazienka.

– Tak!

– Kiedy widział go pan po raz ostatni?

– Dziś, wczesnie rano. Leżał na stole. Zamyśliłem się przez chwilę.

– Radzę panu – powiedziałem wreszcie – napisać formalne oświadczenie. Wtedy wezwę policję.

Pan Moses wybałuszył na mnie oczy i przez jakiś czas milczeliśmy obaj. Potem pan Moses pociągnął łyk z kubka i powiedział:

– Po jakiego diabła potrzebne panu oświadczenie i policja? Wcale nie mam ochoty, żeby moje nazwisko szargały po gazetach śmierdzące pismaki. Dlaczego pan nie może sam się tym zająć? Wyznaczyłem przecież nagrodę. Chce pan zadatek?

– Jest mi niezręcznie mieszać się w tę sprawę – oświadczyłem. – Nie jestem prywatnym detektywem, tylko urzędnikiem – państwowym.

– Dobrze – powiedział nagle pan Moses. – Jeszcze się zastanowię. – Na moment zamilkł. – Może zegarek sam się odnajdzie. Chciałbym mieć nadzieję, że to kolejny głupi dowcip. Ale jeżeli nie znajdzie się do jutra, rano napiszę oświadczenie.

Na tym stanęło. Moses poszedł do swojego pokoju, a ja do swojego.

Nie wiem, co nowego znalazł Moses w swoim pokoju, bo u mnie nowości było pełno. Po pierwsze na drzwiach ukośnie wisiał transparent: „Kiedy słyszę słowo «kultura»-, wzywam moją policję”. Transparent oczywiście zerwałem, ale to był dopiero początek. Mój stół był dokładnie zalany zastygłą już gumą arabską... Polewano prosto z butelki, butelka też leżała na stole, a w samym środku zakrzepłej kałuży tkwił kawałek papieru. List. Zupełnie idiotyczny list. Koślawymi literami ktoś napisał: „Zawiadamia się pana inspektora Glebsky’ego, że obecnie w hotelu zamieszkuje pod nazwiskiem Hincus niebezpieczny gangster, maniak i sadysta, znany w kołach przestępczych jako Puchacz. Jest uzbrojony i grozi śmiercią jednemu z mieszkańców hotelu. Uprasza się pana inspektora Glebsky’ego o przedsięwzięcie środków zaradczych”.

Byłem do tego stopnia wściekły i zaskoczony, że przeczytałem kartkę dwa razy, zanim cokolwiek zrozumiałem. Potem zapaliłem papierosa i obejrzałem pokój. Żadnych śladów oczywiście nie zauważyłem. Wyprostowałem zgnieciony transparent i porównałem go z kartką. Litery na transparencie były również koślawe i również drukowane, ale ołówkiem. Zresztą z transparentem i tak wszystko było jasne – robota latorośli. Zwykły żart. Jedno z tych głupich haseł, które francuscy studenci pisali na murach Sorbony. Sprawa z kartką wyglądała znacznie gorzej. Mistyfikator mógł wsunąć list pod drzwi, wsadzić go w dziurkę od klucza, po prostu położyć go na stole i przycisnąć na przykład popielniczką. Trzeba było być kretynem albo pełnym wandalą, żeby dla głupiego żartu zapaskudzić taki dobry stół. Kretynów jest tu pełno, to prawda... ale przecież nie do tego stopnia! Przeczytałem kartkę jeszcze raz, zaciągnąłem się głęboko i podszedłem do okna. Oto twój urlop – pomyślałem. – Oto twoja długo oczekiwana wolność...

Słońce było już zupełnie nisko, cień hotelu wydłużył się na dobre sto metrów. Na dachu, z głową odrzuconą do tyłu, przyssany do butelki, w dalszym ciągu tkwił niebezpieczny gangster, maniak i sadysta, pan Hincus. Był już sam.



## Rozdział V

Stałem przed numerem Hincusa i ostrożnie rozejrzałem się dookoła. Korytarz jak zawsze był pusty. Z sali bilardowej dobiegał stukot kul – tam był Simonet. Du Barnstockre i Olaf siedzieli w pokoju Olafa. Dziecię grzebało w motocyklu. Mosesowie byli u siebie. Hincus siedział na dachu. Pięć minut temu zszedł do bufetu, wziął następną butelkę, po drodze wstąpił do swego pokoju, włożył futro i teraz prawdopodobnie zamierzał oddychać świeżym powietrzem co najmniej do obiadu. A ja stałem przed jego drzwiami i próbowałem otworzyć zamek którymś z kluczy ściągniętych z biurka właściciela hotelu, dokonując tym samym przestępstwa.

Piąty czy szósty klucz miękko szcęknał, wśliznąłem się do pokoju. Zrobiłem to tak, jak robią to zwykle bohaterowie szpiegowskich powieści – innych sposobów nie znałem. Słońce już się prawie skryło za grzbietami gór, ale w środku było dosyć widno. Pokój wyglądał jak nie zamieszkanym, pościel nie zgnieciona, popielniczka pusta i czysta, a obie torby leżały na samym środku na podłodze.

Zawartość pierwszej, cięższej torby od razu wzbudziła we mnie podejrzenia. Był to typowy fałszywy bagaż: jakieś szmaty, podarte prześcieradła i powłoczki, paczka książek dobranych najgłupiej w świecie. Prawdziwy bagaż znajdował się w drugiej torbie. Były tam trzy zmiany bielizny, piżama, neseser, komplet wiecznych piór, pakiet banknotów – solidny pakiet, solidniejszy od mojego, i dwa tuziny chusteczek do nosa. Była tam także srebrna karafka – pusta, futerał z ciemnymi okularami i butelka z zagraniczną etykietą – pełna. A na samym dnie torby, pod bielizną, znalazłem masywny złoty zegarek i malutki damski browning.

Usiadłem na podłodze i zacząłem nasłuchiwać. Na razie wszędzie było cicho, ale czasu na rozmyślenia zostało mi bardzo niewiele. Obejrzałem zegarek. Na kopercie miał wygrawerowany jakiś skomplikowany monogram, złoto było prawdziwe, dukatowe, z czerwonym połyskiem, a na cyferblacie widniały znaki zodiaku. Ponad wszelką wątpliwość był to zaginiony zegarek pana Mosesa. Potem obejrzałem pistolet. Niklowana zabaweczka z rękojeścią z masy perłowej, właściwie nie można było tego uznać za broń... Bzdura, wszystko to bzdura... Gangsterzy nie zwracają sobie głowy takimi głupstwami. I jeżeli już o tym mowa, gangsterzy nie kradną zegarków, nawet takich ciężkich i masywnych. Autentyczni gangsterzy z nazwiskiem i solidną reputacją.

Tak-, tak-, tak... A nuże, prędko podsumujmy to, co mamy. Żadnych dowodów, że Hincus to niebezpieczny gangster, maniak i sadysta. Za to ile tylko dusza zamarzy dowodów, że komuś bardzo zależy, aby Hincusa uważano za gangstera. Co prawda fałszywy bagaż...

Znowu zacząłem nasłuchiwać. W jadalni pobrzękiwały talerze – Kaisa już nakrywała do stołu. Ktoś przeszedł korytarzem. Głos Simoneta zapytał donośnie: „A gdzie inspektor? Gdzie nasz bohater?” Przerażliwie zapiszczała Kaisa i krew mrozący w żyłach chichot wstrząsnął całym piętrem. Czas zwiewać. Pospiesznie rozładowałem magazynek, naboje wsadziłem do kieszeni, a pistolet i zegarek z powrotem wepchnąłem na dno torby. Ledwie zdążyłem wysliznąć się i przekręcić klucz, kiedy w drugim końcu korytarza ukazał się du Barnstockre.

– Drogi inspektorze! – zawołał. – Zwycięstwo, sława, bogactwo. Takie jest odwieczne hasło wszystkich du Barnstockre’ów.

Poszedłem mu naprzeciw i spotkaliśmy się pod drzwiami jego numeru.

– Ograł pan Olafa? – zapytałem.

– Proszę sobie wyobrazić, że tak! – powiedział du Barnstockre ze szczęśliwym uśmiechem. – Nasz drogi Olaf jest trochę zbyt metodyczny. Gra jak maszyna, bez żadnej fantazji. To nawet nudne... Ale a propos, kochany inspektorze, wie pan, jaki nowy kawał zrobił nasz drogi nieboszczyk? Wstąpmy na chwileczkę do mnie...

Wciągnął mnie do środka, usadził w fotelu i zaproponował cygaro.

– Gdzie ona może być? – mruzczał uderzając się po kieszeniach. – Aha! Pan będzie łaskaw zobaczyć, co dzisiaj otrzymałem. – I wręczył mi zmięty kawałek papieru.

To był znowu list. Koślawymi drukowanymi literami, z błędami ortograficznymi, ktoś napisał: „Znaleźliśmy cię. Trzymam cię na muszce. Nie próbuj uciec i nie rób głupstw. Będę strzelać bez ostrzeżenia. P.” Zacisnąwszy w zębach papierosa, przeczytałem ten apel dwukrotnie, trzykrotnie.

– To urocze, nieprawdaż? – zapytał du Barnstockre, poprawiając toaletę przed lustrem.

– Jak to do pana trafiło?

– Podrzuciono to do pokoju Olafa, kiedy graliśmy. Olaf poszedł od bufetu przynieść coś do picia, a ja siedziałem i paliłem cygaro. Rozległo się pukanie do drzwi, powiedziałem: „Proszę!” – ale nikt nie wszedł. Zdziwiłem się i nagle zobaczyłem, że przy drzwiach leży ta kartka. Prawdopodobnie wsunęto ją pod drzwi.

– Oczywiście wyjrzał pan na korytarz i oczywiście nikogo pan nie zobaczył – powiedziałem.

– No, dosyć długo wygrzebywałem się z fotela – powiedział du Barnstockre. – Pójdziemy? Szczerze mówiąc jestem dosyć głodny.

Włożyłem kartkę do kieszeni i udaliśmy się do jadalni zabierając po drodze dziecię.

Zdaje się, że wszyscy byli już na miejscu. Pani Moses obsługiwała pana Mosesa, Simonet i Olaf kręcili się koło stołu z zakąskami, właściciel rozlewał nalewkę. Du Barnstockre i latorośl poszli na swoje – miejsca, a ja dołączyłem do mężczyzn. Simonet złowieszczym szeptem opowiadał Olafowi o działaniu nalewki szarotkowej na wewnętrzne organy człowieka. Olaf jadł kawior podśmiewając się dobrodusznie. W tym momencie weszła Kaisa i zatrajkotała zwracając się do właściciela:

– Oni wcale nie chcą iść, oni powiedzieli, że nie wszyscy jeszcze przyszli, to i oni nie przyjdą. A kiedy wszyscy przyjdą, to i oni przyjdą. Tak powiedzieli... I dwie butelki są puste...

– To idź i powiedz, że wszyscy już są w jadalni – przykazał właściciel.

– Oni mi nie wierzą, ja powiedziałam, że wszyscy już są, a oni do mnie...

– O kim mowa? – ostro zapytał pan Moses.

– Mowa o panu Hincusie – odpowiedział właściciel. – Pan Hincus wciąż jeszcze przebywa na dachu, a ja...

– Na jakim dachu? – ochrypłym basem wtrąciło się dziecię. – Przecież to jest Hincus! – I wskazało widelcem na Olafa.

– Dziecko moje, jesteś w błędzie – łagodnie powiedział du Barnstockre, a Olaf dobrodusznie wyszczerzył zęby i zahuczał:

– Olaf Andvarafors, dziecinko. Albo zwyczajnie – Olaf.

– Co u diabła, Cenevert?! – powiedział Moses. – Nie chce iść, niech sterczy na mrozie.

– Szanowny panie Moses – przemówił z godnością właściciel. – Właśnie teraz byłoby niezmiernie pożądane, żeby wszyscy byli w komplecie. Mam honor oznajmić moim szanownym gościom nader przyjemną nowinę... Kaisa, szybko!

– Ale oni nie chcą... Odstawiłem na stolik talerz z zakąską.

– Proszę poczekać – powiedziałem. – Zaraz go przyprowadzę.

Wychodząc z jadalni usłyszałem, jak Simonet powiedział: „Słusznie! Niech policja robi, co do niej należy”. Po czym zaniósł się trumiennym śmiechem, który towarzyszył mi do samych schodów prowadzących na strych.

Wszedłem na górę, pchnąłem grubo ciosane drzwi i znalazłem się w okrągłym, całkowicie przeszklonym pawiloniku. Pod ścianami stały wąskie ławeczki – dla wypoczynku. Panował tu chłód, tajemniczo pachniało śniegiem i kurzem, leżaki, zwalone na jeden stos, leżały na podłodze. *Drzwi z dykty*, prowadzące na dach, były uchylone.

Płaski dach pokrywała gruba warstwa śniegu, ale wokół pawiloniku śnieg był udeptany. W kierunku przekrzywionej anteny prowadziła ścieżka, a na końcu tej ścieżki nieruchomo siedział na leżaku opatulony Hincus. Lewą ręką przytrzymał na kolanie butelkę, a prawą schował za pazuchą – było zimno. Twarzy Hincusa prawie nie było widać, zasłaniał ją kołnierz futra i daszek futrzanej czapki, tylko czujne oczy połyskiwały w szparze, niczym tarantula wyglądająca z nory.

– Chodźmy – powiedziałem do Hincusa. – Wszyscy już są na dole. Czekamy na pana.

– Wszyscy? – zapytał ochryple.

Skinąłem i rozejrzałem się dookoła. Słońce skryło się za górami, śnieg w dolinie wydawał się liliowy, na ciemniejące niebo wychodził błydy księżyc. Kątem oka zauważyłem, że Hincus uważnie mnie obserwuje.

– Czemu czekacie na mnie? – zapytał. – Zaczynajcie...

– Właściciel hotelu przygotował dla nas jakąś niespodziankę.

– Niespodziankę – powiedział Hincus i zakasłał. – Mam gruźlicę – oznajmił mi nagle. – Lekarze mówią, że bez przerwy muszę być na świeżym powietrzu... i jeszcze mięso z czarnej kury.

Ogarnęła mnie litość.

– Do diabła – powiedziałem szczerze. – Współczuję panu. Ale obiady jednak powinien pan jadać...

– Powiniennem, oczywiście – zgodził się Hincus i wstał. – Zjem obiad i znowu tu wrócę.

– Wstawił butelkę w śnieg. – Jak pan myśli: to lipa czy nie, z tym świeżym powietrzem?

– No, no, panie Hincus – powiedziałem. – Gruźlicę się teraz leczy. To nie dziewiętnasty wiek.

– Tak, z pewnością – przytaknął obojętnie. Skręciliśmy w korytarz. W jadalni dźwięczały talerze, szumiały głosy. – Niech pan idzie, ja tylko zdejmę futro – powiedział Hincus i zatrzymał się przy swoich drzwiach.

Kiwnąłem głową i poszedłem do jadalni.

– A gdzie aresztowany? – grzmiąco zapytał Simonet.

– Wszystko w porządku – zapewniłem go. – Zaraz przyjdzie.

Du Barnstockre opowiadał coś o magii liczb. Pani Moses wydawała zdumione okrzyki. Simonet akompaniował urywanym chichotem. „Niech pan przestanie, parł.– Du... – huczał Moses. – To średniowieczne brednie”. Nalałem sobie solidną porcję zupy i w tym momencie pojawił się Hincus. Wargi mu drżały i znowu był jakiś taki zielonkawy. Powitał go wybuch entuzjazmu, ale on pospiesznie omiół spojrzeniem stół i dziwnie niepewnie skierował się na swoje miejsce między mną a Olafem. W tej chwili właściciel zastukał nożem o brzeg talerza.

– Drodzy państwo! – zaczął uroczyście. – Proszę o chwilę uwagi. Teraz, kiedy wszyscy już się zgromadzili, pozwolę sobie oznajmić państwu miłą nowinę. Wychodząc naprzeciw licznym życzeniom, administracja hotelu podjęła decyzję zorganizowania uroczystego balu Powitania Wiosny. Obiad będzie trwał nieskończenie! Tańce, proszę państwa, wino, karty,

wesołe pogawędki!

Simonet z trzaskiem uderzył w kościste dłonie. Pani Moses również zaklaskała. Wszyscy się ożywili i nawet nieustępliwy pan Moses, dobrodusznie pociągnawszy z kubka, wychrypiał: „No, karty – to jeszcze rozumiem...” A dziecię bębniło widelcem po stole i pokazywało mi język. Taki różowy jęczyczek, zupełnie sympatyczny z wyglądu. I w kulminacyjnym momencie wesołego zamieszania Hincus nagle przysunął się do mnie i zaszeptał mi do ucha.

– Niech pan słucha, inspektorze, mówią, że pan jest policjantem. Co robić? Zaglądam do swojego bagażu... po lekarstwa. Kazano mi pić przed obiadem takie coś...

Miałem... no takie tam... ciepłe ubranie, futrzaną kamizelkę, skarpetki... No i nic z tego nie zostało. Jakieś cudze szmaty, podarta bielizna... i książki...

Ostrożnie położyłem łyżkę na stole i spojrzałem na Hincusa. Jego prawa powieka podrygiwała, oczy miał okrągłe, a w tych oczach był strach. Niebezpieczny gangster. Maniak i sadysta.

– No dobrze – powiedziałem przez zęby. – A czego pan chce ode mnie?

Hincus od razu jakby zmałał i wciągnął głowę w ramiona.

– Nie, nic... niczego... Tylko nie rozumiem, czy to żart, czy coś... Jeżeli kradzież, to przecież pan jest policjantem... A może, oczywiście, jakiś żart, jak pan sądzi?

– Tak – powiedziałem odwracając od niego oczy i znowu zabierając się do zupy. – Tu wszyscy żartują. Niech pan traktuje to jak żart, Hincus.

## Rozdział VI

Ku mojemu niemałemu zdumieniu wieczorynka udała się. Obiad zjedzono szybko i nieuważnie, i nikt nie opuścił jadalni oprócz Hincusa, który mruczając jakieś usprawiedliwienia powlókł się z powrotem na dach, aby przemywać płuca górskim powietrzem. Odprowadziłem go spojrzeniem, odczuwając coś rodzaju wyrzutów sumienia. Machinalnie pomyślni że jak na kuratora do spraw, nawet do spraw nieletnich, Hincus ma wyjątkowo ubogi słownik. Odpędziłem od siebie tę myśl i z maksymalnie dobrą wola zaśmiałem się razem z Simonetem nad jego kolejnym szampańskim dowcipem, którego nie dosłyszałem. Wypiłem duszkiem pół szklanki brandy i nalałem sobie jeszcze. Zaszumiło mi w głowie.

A tymczasem zaczęła się zabawa. Kaisa jeszcze nie zdążyła uprzątnąć naczyń, kiedy pan Moses i du Barnstockre wykonując zapraszające gesty podążyli do pokrytego zielonym sukniem karcianego stolika, który zjawił się nagle w kącie jadalni. Właściciel hotelu włączył ogłuszającą muzykę. Olaf i Simonet jednocześnie znaleźli się przed panią Moses, a ponieważ okazało się, że dama nie jest w stanie wybrać żadnego z kawalerów, więc zatańczyli we troje. Dziecię ponownie pokazało mi język. Słusznie! Jakoś wydostałem się z za stołu i stąpając w miarę możliwości pewnie, zaniósłem tej hultajce... temu hultajowi butelkę i szklankę.

– Zatańczymy, mademoiselle? – zapytałem i opadłem na krzesło obok dziecięcia.

– Ja nie tańczę, droga pani – leniwie odpowiedziało dziecię. – Zamiast się wygłupiać, niech mi pan da lepiej papierosa.

Dałem papierosa, gołnąłem jeszcze brandy i zacząłem tłumaczyć temu stworzeniu, że jego zachowanie – za-cho-wa-nie! – jest głęboko niemoralne i że tak nie wolno! Że je kiedyś spiorę – niech no tylko przyjdzie odpowiednia pora. Albo też, dodałem po chwili namysłu, pociągnę do odpowiedzialności za noszenie niestosownego ubrania w miejscach użyteczności publicznej. Rozwieszanie transparentów, powiedziałem. Bardzo brzydko. Na drzwiach. Szokuje i ekscytuje... Ekscytuje!

Dziecię coś mi tam odpowiadało, dosyć nawet dowcipnie, to schrypniętym chłopięcym basem, to łagodnym dziewczęcym altem. W głowie mi się nieźle kręciło i po niedługim czasie zacząłem odnosić wrażenie, że rozmawiam z dwiema osobami jednocześnie. Jedną z nich był zepsuty podrostek, który zszedł na złą drogę i który przez cały czas żłopał moją brandy i za którego ponosiłem odpowiedzialność jako policjant i w ogóle jako człowiek przewyższający go stanowiskiem służbowym. I jednocześnie była tu czarująca ponętna dziewczyna, która, dzięki Bogu, zupełnie, ale to zupełnie nie była podobna do mojej starej i wobec której moje uczucia stawały się coraz mniej ojcowskie. Usadzając bez przerwy wtrącającego się do rozmowy wyrostka, wyłożyłem dziewczynie swoje poglądy na małżeństwo jako na dobrowolny związek dwojga serc, które przyjęły na siebie określone moralne zobowiązania. I żadnych motorowerów-motocykli, dodałem surowo. To musimy uzgodnić natychmiast. Uzgodniliśmy, ja zaś rozparłem się na krześle i rozejrzałem po sali.

Wszystko szło znakomicie. Ani prawo, ani normy moralne nie były naruszone. Nikt nie wywieszał transparentów, nie pisał listów, nie kradł zegarków. Grzmiała muzyka. Du Barnstockre, Moses i właściciel hotelu rżnęli w trzynastkę, bez ograniczania stawek.

Pani Moses dziarsko tańczyła z Simonetem coś niezmiernie nowoczesnego. Kaisa sprzątała ze stołu. Talerze, widelce i szafy tylko wirowały wokół niej. Cała zastawa stołowa znajdowała się w ruchu – z trudem zdążyłem złapać umykającą butelkę i zalałem sobie spodnie.

To był błąd. Dziewczyna obraziła się i gdzieś przepadła, a wyrostek został i zaczął mi ubliżać. Ale właśnie wtedy podeszła pani Moses i zaprosiła mnie do tańca, więc zgodziłem się z przyjemnością. Już po minucie uzyskałem pewność, że los mój powinienem związać z panią Moses i tylko z nią. Z moją Olgą. Miała bosko miękkie ramiona, ani trochę nie szorstkie od wiatru, i chętnie zezwalała, żebym je całował. Miała też wspaniałe oczy, nie przesłonięte żadną optyką, rozsiewała cudowną woń i nie miała żadnego krewnego ani brata, ordynarnego, źle wychowanego młodzieńca, który nie da nawet słowa powiedzieć. Co prawda nie wiadomo dlaczego przez cały czas w pobliżu kręcił się posępny figlarz Simonet, ale to łatwo można było znieść, ponieważ Simonet nie był krewnym pani Moses. Potem jakoś niespodziewanie wytrzeźwiałem i stwierdziłem, że wraz z panią Moses stoimy za okienną portierą. Obejmowałem ją w talii, a ona skłoniwszy mi głowę na ramię, mówiła:

– Spójrz, jaki cudowny pejzaż!...

To nieoczekiwane przejście na „ty” stropiło mnie nieco i zacząłem tępo wpatrywać się w pejzaż, zastanawiając się jednocześnie, w jaki sposób bezboleśnie wycofać swoją rękę, dopóki nas nie nakryto. Zresztą pejzaż istotnie nie był pozbawiony uroku. Księżyc znajdował się już wysoko, cała dolina wydawała się błękitna w jego świetle, bliskie góry wyglądały jak zawieszane w nieruchomym powietrzu. Zauważyłem też przygnębiony, smętny cień nieszczęsnego, skulonego na dachu Hincusa i mruknąłem:

– Biedny Hincus...

Pani Moses z lekka się odsunęła i ze zdumieniem obejrzała mnie od stóp do głów.

– Biedny? – zapytała. – Dlaczego biedny?

– Jest ciężko chory – wyjaśniłem jej. – Ma gruźlicę i strasznie się boi.

– Tak, tak – podchwyciła pani Moses. – Pan też to zauważył? On ciągle czegoś się boi. To jakiś podejrzany i bardzo nieprzyjemny człowiek. Doprawdy nie z naszej sfery...

Niewesoło pokręciłem głową i westchnąłem.

– I pani tak samo jak inni... – powiedziałem. – Nie ma w nim nic podejznanego. Po prostu samotny, nieszczęśliwy człowiek. Budzący litość. Gdyby pani zobaczyła, jak on co chwila poci się i zielenieje.

Tu portiera z trzaskiem odjechała i przed nami pojawiło się dziecię. Nie patrząc na mnie niezgrabnie szurnęło nogą i ochryple wyrzekło:

– Permettez vous...

– Bitte, mój chłopcze – z czarującym uśmiechem powiedziała pani Moses, ofiarowała mi kolejny olśniewający uśmiech i w ramionach dziecięcia popłynęła na parkiet.

Westchnąłem i otarłem czoło chusteczką. Stół był już uprzątnięty. Trójka karciarzy w kącie nadal przebywała w szponach hazardu. Simonet trzaskał kulami w tali bilardowej. Olaf i Kaisa wyparowali. Muzyka *grzmiała*, nieco ciszej, pani Moses i Brune demonstrowali niespotykane mistrzostwo. Ostrożnie obszedłem ich i udałem się do sali bilardowej.

Simonet oddał mi honory machnięciem kija i nie tracąc ani sekundy bezcennego czasu zaproponował mi pięć bil fory. Zdjąłem marynarkę, zakasałem rękawy i gra się rozpoczęła. Przegrałem mnóstwo partii i za karę musiałem wysłuchać ogromnej ilości dowcipów. Zrobiło mi się cudownie lekko na duszy. Śmiałem się z dowcipów, których prawie nie rozumiałem, ponieważ mowa w nich była o jakichś kwarkach, lewoskrętnych krowach i profesorach o zagranicznych nazwiskach, piłem wodę sodową nie ulegając namowom ani szyderstwom partnera, z jękiem chwytalem się za serce, kiedy chybiałem i wpadałem w niezmierną pychę, ilekroć trafiłem, wymyślałem nowe zasady gry i z zapałem uzasadniałem ich słuszność. Rozbestwiłem się nawet do tego stopnia, że zdjąłem krawat i rozpiąłem kołnierzyk pod szyją.

Moim zdaniem byłem w nadzwyczajnej formie. Simonet też był w formie. Przeprowadzał nieprawdopodobne i teoretycznie niemożliwe kombinacje, biegał po ścianach i zdaje się, że nawet po suficie, w przerwach między opowiadaniem dowcipów wyśpiewywał na całe gardło piosenki o treści matematyczno-fizycznej; bez przerwy mylił się i przechodził na „ty” i mówił przy tym: „Przepraszam, stary! To przez to przekłete demokratyczne wychowanie!”

Przez otwarte drzwi momentami widziałem to Olafa tańczącego z dziećciem, to właściciela hotelu niosącego tacę z napitkami dla swoich partnerów, to zarumienioną Kaisę. Muzyka wciąż grzmiała, karciarze wydawali zapalczywe okrzyki, to meldując piki, to grając kiery, to atutując karami. Od czasu do czasu dobiegało do nas ochryple: „Niech no pan posłucha, Drabi... Barnl... du!” – i oburzony stukot kubkiem o stół i głos Aleca: „Panowie, panowie, pieniądze – to tylko marność...” Rozbrzmiewał kryształowy śmiech pani Moses i jej głosik: „Co ty robisz, mężu, przecież piki już zeszyły...” Potem – *zegar* wybił wpół do którejś, w jadalni zaszurały krzesła i zobaczyłem, jak Moses klepie du Barnstockre’a po ramieniu i usłyszałem huczący głos: „Gra była niezła, Barns... du... Pan jest niebezpiecznym przeciwnikiem. Dobrej nocy, panowie! Chodźmy, moja droga”. Potem, jeśli dobrze pamiętam, Simonetowi zabrakło, jak się wyraził, materiałów pędnych, więc poszedłem do jadalni po nową butelkę brandy, zdecydowawszy, że dobrze byłoby postarać się o nowy zapas wesołości i beztroski.

W jadalni ciągle jeszcze grała muzyka, ale nikogo już nie było, tylko du Barnstockre siedząc tyłem do mnie przy zielonym stoliku, w zadumie czynił cuda za pomocą dwu talii kart. Płynnymi ruchami wąskich białych dłoni wydobywał karty z powietrza, sprawiał, że znikwały, przerzucał talię z ręki do ręki migotliwą strugą, rozsypywał ją wachlarzem w powietrzu i odsyłał w niebyt. Nie zauważył mnie, a ja nie chciałem mu przeszkadzać. Po prostu wziąłem z bufetu butelkę i na palcach wróciłem do sali bilardowej.

Kiedy w butelce zostało nieco więcej niż połowa, potężnym uderzeniem wysłałem za burtę od razu dwie bile i podarłem sukno na stole bilardowym. To już była pewna przesada.

– Dosyć – powiedziałem i odłożyłem kij. – Pójdę odetchnąć świeżym powietrzem.

Minąłem jadalnię teraz już całkowicie opustoszałą, zszedłem do hallu i wyszedłem na werandę, a następnie przespacerowałem się w tę i z powrotem po oczyszczonej ze śniegu ścieżce przed frontonem hotelu. Żółto świeciło okno w kuchni, różowo okno w sypialni pani Moses, paliło się światło i u du Barnstockre’a i za portierami w jadalni, pozostałe okna były ciemne, tylko okno Olafa było otwarte na oścież, tak jak rano. Na dachu samotnie sterczał opatulony futrem po same uszy nieszczęsny Hincus przygarbiony pod brzemieniem swego strachu.

– Hincus! – zawołałem cichutko, ale kurator nawet nie drgnął. Może drzemał, a może nie usłyszał przez ciepłe nauszники i podniesiony kołnierz.

Zmarzłem i z przyjemnością poczułem, że nastąpił właściwy moment, żeby wypić szklankę gorącego portweinu. Wróciłem do hotelu i podzieliłem się swoją ideą z właścicielem.

– To jest pomysł – powiedział. – Idź do salonu, a ja pójdę wydać odpowiednie polecenia.

Przyjąłem zaproszenie i usadowiwszy się przed ogniem grzałem zmarznięte ręce. Słyszałem, jak Alec chodzi po hallu, coś przykazuje Kaisie, znowu chodzi po hallu, pstryka kontaktami, potem jego kroki ucichły i w jadalni umilkła muzyka. Usłyszałem jego ciężkie kroki na schodach, następnie w hallu i wreszcie w bufecie.

Zapaliłem papierosa, wrzuciłem zapałkę do kominka i w tym samym momencie lekko

drgnęła podłoga, żałośnie zabrzęczały szyby i do moich uszu dobiegł daleki potężny łoskot. Poderwałem się i machinalnie spojrzałem na zegarek – były dwie minuty po dziesiątej. Czekałem w napięciu. Łoskot nie powtórzył się. Gdzieś na górze z całej siły trzasnęły drzwi, zadźwięczały naczynia w kuchni. Kaisa powiedziała głośno: „O Boże!” Wstałem, ale wtedy znowu usłyszałem czyjeś kroki i do salonu wszedł Alec z dwiema szklankami gorącego portweinu.

– Słyszałeś? – zapytał. – W górach zeszła lawina. I to gdzieś blisko... Poczekaj no, Peter.

Postawił szklanki na gzymsie kominka i wyszedł. Wziąłem szklankę i znowu usiadłem w swoim fotelu. Byłem całkowicie spokojny. Lawin nie bałem się, a portwein z cynamonem i cytryną był ponad wszelkie pochwały. „Dobrze mi!” – pomyślałem i usadowiłem się wygodniej.

Alec wrócił. Wziął swoją szklankę, usiadł obok i przez jakiś czas patrzył w rozżarzone węgle.

– Leżymy martwym bykiem, Peter – głucho i uroczyście oznajmił wreszcie. – Jesteśmy odcięci od świata.

– Zawaliło drogę?

– Tak. Próbowałem połączyć się z Muir. Telefon nie działa. To może oznaczać tylko to, co oznaczało już kilkakrotnie w przeciągu ostatnich dziesięciu lat – lawina zasypała Wilczą Gardziel. Jechałeś tamtędy, to jedyny wjazd do mojej doliny.

Napił się.

– Od razu zrozumiałem, co się stało – mówił dalej. – Lawina zeszła na północ od nas. Teraz pozostaje nam tylko czekać. Zanim sobie o nas przypomną, zanim zorganizują ekipę ratunkową.

– Wody nam wystarczy – powiedziałem w zamyśleniu. – Ale czy nie będziemy skazani na ludożerstwo?

– Nie – odpowiedział właściciel hotelu z wyraźnym żalem. – Chyba że będziecie chcieli urozmaicić sobie jadłospis.

– A co z opałem?

– Zawsze mamy w zapasie moje silniki.

– Hm... – powiedziałem. – Czy są z drewna?

Właściciel spojrzał na mnie z wyrzutem.

– A dlaczego nie pytasz, jak wygląda problem alkoholu?

– A jak wygląda?

– Jeżeli chodzi o alkohol – dumnie oświadczył Alec – sprawy stoją wyjątkowo dobrze. Samej tylko firmowej nalewki mam dwadzieścia butelek.

Przez jakiś czas w milczeniu patrzyliśmy w ogień, spokojnie pociągając ze szklanek. Potem Alec nagle powiedział:

– Jedno tylko martwi mnie, Peter, mówiąc serio. Odnoszę wrażenie, że straciłem dobrych klientów.

– Dlaczego? – zapytałem. – Moim zdaniem sprawy wyglądają odwrotnie. Osiem tłustych much wpadło w twoją pajęczynę. Masz pojęcie, jaka to reklama? Wszyscy będą potem opowiadać, jak omal nie pozjadali się nawzajem...

– To prawda – ze słuszną dumą potwierdził właściciel. – Myślałem już o tym. Ale przecież much mogłoby być Więcej, lada moment powinni byli przyjechać przyjaciele Hincusa...

- Przyjaciele Hincusa? – zdziwiłem się.
- Wyobraź sobie, Hincus dzwonił do Muir na pocztę i podyktował depeszę. – Alec podniósł palec do góry i uroczyście wyrecytował: „Muir, hotel «Pod Poległym Alpinistą». Czekam, pospieszcie się”.
- Nigdy bym nie pomyślał – mruknąłem – że Hincus ma przyjaciół.

## Rozdział VII

Około północy wysuszyliśmy z Alecem dzbanek gorącego portweinu, przedyskutowaliśmy sposób najefektowniejszego zawiadomienia pozostałych gości o tym, że zostali żywcem zamurowani w dolinie, rozwiązaliśmy kilka ogólnoswiatowych problemów, jak na przykład – czy ludzkość jest skazana na wymarcie, (nas jednak już wtedy nie będzie), czy bernardyn Lelle jest istotą rozumną, czy też nie jest (jest, jednakże nie ma żadnego sposobu przekonania o tym bałwanów-uczonych); czy zagraża wszechświatowi tak zwana śmierć cieplna (nie, nie zagraża, ponieważ Alec ma w szopie perpetuum mobile zarówno pierwszego, jak i drugiego rodzaju), jakiej płci jest Brune (tu nie miałem żadnego pomysłu, a Alec wysunął i uzasadnił dziwną hipotezę, jakoby Brune nie posiadało żadnej płci).

Zdaje się, że właśnie w tym momencie Lelle, który drzemał u naszych stóp, zerwał się na nogi i głucho szczechnął. Właściciel wlepił w niego wzrok.

– Nie rozumiem! – powiedział ponuro.

Lelle szczechnął dwukrotnie i skierował się do hallu.

– Aha – powiedział właściciel wstając. – Ktoś do nas przybył.

Poszliśmy za Lelle. Wprost ociekaliśmy gościnnością. Lelle stał przed frontowym wejściem. Zza drzwi dobiegały dziwne, skomlące i skrobiące dźwięki. Złapałem Aleca za rękę.

– Niedźwiedź! – wyszeptałem. – Grizzly! Gdzie dubeltówka? Szybko!

– Obawiam się, że to nie niedźwiedź – głuchym głosem powiedział właściciel. – Obawiam się, że to nareszcie ON. Trzeba otworzyć.

– Nie trzeba! – błagałem.

– Trzeba. On zapłacił za dwa tygodnie, a mieszkał tylko tydzień. Odbiorą mi licencję. Za drzwiami coś chrobotało i skomliło. Lelle zachowywał się dziwnie – stał bokiem do drzwi, patrzył na nie pytająco, co chwila hałaśliwie wciągał nosem powietrze. Właśnie tak powinien postępować pies, który po raz pierwszy zetknął się z upiorem, niemniej właściciel śmiało wyciągnął rękę i odsunął zasuwę.

Drzwi się otworzyły i do naszych nóg powoli opadło oblepione śniegiem ciało. Rzuciliśmy się na nie, wciągnęliśmy je do środka i przewróciliśmy na plecy. Ośnieżony człowiek jęknął i zeszytywniał. Oczy miał zamknięte, długi nos mu zbiełał.

Alec nie tracąc ani sekundy rozwinął niezmiernie ożywioną działalność. Obudził Kaisę, kazał jej grzać wodę, wlał nieznanemu do gardła szklanekę gorącego portweinu, roztarł mu twarz wełnianą rękawicą, a następnie oznajmił, że trzeba go zanieść do łazienki. „Weź go pod pachy, Peter, ja wezmę za nogi” – zarządził. Wypełniłem polecenie i doznałem lekkiego szoku – nieznanomy był kaleką, prawą rękę miał amputowaną przy samym ramieniu. Przenieśliśmy nieszczęśnika do łazienki, położyliśmy go na ławce, następnie przyleciała Kaisa w samej koszuli i Alec oświadczył mi, że dalej sam sobie da radę.

Wróciłem do salonu i dopiłem swój portwein. Miałem zupełnie jasny umysł, byłem w stanie kojarzyć i analizować z niebywałą szybkością. Nieznajomy był ubrany wyjątkowo niestosownie do pory roku. Miał kusą marynarkę, wąskie spodnie i eleganckie pantofle. Tak ubrany mógł być tylko człowiek, który przyjechał samochodem. W tym momencie zrozumiałem – nasz nocny gość jechał samochodem i w Wilczej Gardzieli zasypała go lawina. To był przyjaciel Hincusa, jasne! trzeba obudzić Hincusa...

Wybiegłem z salonu i pobiegłem na pierwsze piętro, światło w korytarzu było zgaszone, dość długo szukałem kontaktu, a potem jeszcze dłużej pukałem do drzwi Hincusa. Hincus nie

odpowiadał. „Przecież on jest jeszcze na dachu!” – przeraziłem się i wbiegłem po schodach na górę. Tak, zgadza się. Hincus siedział w nie zmienionej pozycji, nastroszony, głowę schował w ogromnym kołnierzu, a dłonie w rękawach.

– Hincus! – wrzasnąłem.

Nie poruszył się. Wobec tego podbiegłem do niego i potrząsnąłem go za ramię. Osłupiałem. Hincus nagle jakoś dziwacznie osiadł, miękko uginając się pod moją dłoń.

– Hincus! – powiedziałem stropiony i odruchowo podtrzymałem go.

Futro osunęło się i ze środka wyleciało kilka brył śniegu, futrzana czapka spadła i dopiero teraz zrozumiałem, że to nie Hincus, tylko bałwan śniegowy w futrze Hincusa. W tym właśnie momencie wytrzeźwiałem ostatecznie. Szybko rozejrzałem się dookoła. Wprost nad moją głową wisiał malutki, jasny księżyc, widno było jak w dzień. Na dachu było mnóstwo śladów, ale wszystkie jednakowe, nie wiadomo czyje. Obok leżaka śnieg był zdeptany, zryty i rozrzucony – albo tu ktoś walczył, albo lepił bałwana. Śnieżna dolina jak okiem sięgnąć była pusta i czysta, ciemna wstęga drogi biegła na północ i ginęła w szarobłękitnawej mgiełce przesłaniającej wylot Wilczej Gardzieli.

„Stop!” – powiedziałem sobie, starając się wziąć w garść. Spróbujemy zrozumieć, po co Hincusowi potrzebna była ta maskarada. Niewątpliwie po to, żeby wszyscy myśleli, że siedzi na dachu, a on tymczasem był zupełnie gdzie indziej i załatwiał tam swoje ciemne sprawy... Pseudogruźlik, pseudobiedactwo... Jakie sprawy i gdzie? Znowu uważnie obejrzałem dach, spróbowałem zorientować się w śladach. Nic mi to nie dało. Powoli zszedłem na pierwsze piętro, znowu zapukałem do Hincusa, i znowu nikt się nie odezwał. Na wszelki wypadek nacisnąłem klamkę. Drzwi ustąpiły. Przygotowany na wszelkie niespodzianki, wyciągnąwszy rękę przed siebie, żeby się zabezpieczyć przed niespodzianym atakiem z ciemności, wszedłem do środka, szybko namacałem kontakt, zapaliłem światło. W pokoju z pozoru wszystko było jak poprzednio, torby leżały na poprzednich miejscach, ale obie były otwarte. Hincusa, rzecz jasna, w numerze nie było, zresztą nie liczyłem, że go tu znajdę. Przysiadłem nad torbami i ponownie starannie zbadałem ich zawartość. Nie znalazłem nic nowego poza jednym małym wyjątkiem – znikł zarówno złoty zegarek jak i browning. Gdyby Hincus uciekł, zabrałby ze sobą pieniądze. Taka harmonia forsy...

Jedno było dla mnie jasne – przygotowywano jakieś przestępstwo. Jakiego? Morderstwo? Rabunek? Myśl o morderstwie pospiesznie odpędziłem od siebie. Po prostu nie mogłem sobie wyobrazić, kogo tu można zamordować i po co. Potem przypomniałem sobie kartkę, którą podrzucono du Barnstockre'owi. Zrobiło mi się nieswojo. Zresztą z treści kartki wynikało, że zabijają go tylko w wypadku, gdyby próbował uciekać...

Zgasilem światło, wyszedłem na korytarz i zamknąłem za sobą drzwi. Podeszedłem do drzwi du Barnstockre'a i nacisnąłem klamkę. Zamknięte. Wobec tego zapukałem. Nikt się nie odezwał. Zapukałem powtórnie i przyłożyłem ucho do dziurki od klucza. Niewyraźny, senny głos du Barnstockre'a powiedział: „Jedną sekundę, ja zaraz...” Stary był żywy i stary nie zamierzał uciekać. Nie miałem ochoty wdawać się w wyjaśnienia, umknąłem na podest i przytałem się pod schodami na dach. Po minucie szczerknął klucz, zaskrzypiały drzwi. Głos du Barnstockre'a ze zdumieniem orzekł: „To nader dziwne...” Znowu skrzypnęły drzwi, znów szczerknął klucz. Tu było wszystko w porządku, przynajmniej na razie. „Nie – powiedziałem do siebie stanowczo – morderstwo, to oczywiście bzdura. Ale rabunek? O ile się orientuję, w hotelu mieszkają dwaj bogaci ludzie. Moses i właściciel hotelu. Tak. Znakomicie. Obaj na parterze. Pokoje Mosesa są w południowym skrzydle, a sejf Aleca w północnym. W środku hali. Jeżeli zasadzę się w hallu...” Nagle przypomniałem sobie o jednorękim gościu. Hm...

Być może naprawdę miał wypadek, a może to wszystko komedia, jak ten bałwan na dachu...

Zszedłem na dół. W łazience nie było już nikogo, a na środku hallu stała Kaisa w mokrej nocnej koszuli, z obłędem w oczach. W rękach trzymała mokre i wymięte ubranie nieznajomego. W korytarzu południowego skrzydła paliło się światło, z wolnego pokoju naprzeciw salonu dobiegał przygłuszony bas właściciela hotelu. Nieznajomego najwidoczniej umieszczono właśnie tam i możliwe, że właśnie o to mu chodziło. Sprytne obliczenie – kto będzie taszczył półżywego człowieka na pierwsze piętro...

Kaisa wreszcie oprzytomniała i zamierzała odejść, ale zatrzymałem ją. Zabrałem ubranie nieznajomego i starannie je przeszukałem. Ku mojemu ogromnemu zdumieniu w kieszeniach nie znalazłem nic. Dosłownie nic. Ani pieniędzy, ani dokumentów, ani papierosów, ani chustki do nosa – niczego. Oddałem ubranie Kaisie i poszedłem obejrzeć naszego gościa. Leżał w łóżku otulony kołdrą po samą brodę. Alec poił go z łyżeczki czymś gorącym, pogadując: „Trzeba, drogi panie, trzeba... trzeba się spocić... trzeba się dobrze spocić...” Nieznajomy, mówiąc prawdę, wyglądał przerażająco. Twarz sina, koniuszek ostrego nosa – biały jak śnieg. Jedno oko boleśnie zmrużone, drugie w ogóle zamknięte. Ale kilka pytań musiałem mu zadać. Bez względu na okoliczności.

– Jest pan sam? – zapytałem.

Nieznajomy w milczeniu patrzył na mnie zmrużonym okiem.

– Czy ktoś został w samochodzie – zapytałem z naciskiem – czy też jechał pan sam?

Leżący otworzył usta, kilkakrotnie odetchnął i znowu zacisnął wargi, – Bardzo słaby – powiedział Alec. – Leciał nam przez ręce.

– Do diabła – wymruczałem. – A przecież ktoś będzie musiał teraz pojechać do Wilczej Gardzieli.

– Jasne – zgodził się właściciel. – Może tam ktoś został... Myślę, że dostali się w lawinę.

– Będiesz musiał pojechać – powiedziałem stanowczo. I w tym momencie nieznajomy przemówił.

– Olaf – powiedział bezbarwnym głosem. – Olaf And-va-ra-fors... Zawołajcie.

Był to dla mnie kolejny szok.

– Aha – powiedział właściciel i odstawił na stół filiżankę z płynem. – Zaraz go zawołam.

– Olaf – powtórzył nieznajomy.

Alec wyszedł, a ja usiadłem na jego miejscu. Czułem się jak idiota, a jednocześnie zrobiło mi się lżej na sercu – ponura przy całej swej doskonałości konstrukcja, którą zbudowałem, rozsypała się.

– Pan był sam? – zapytałem.

– Sam... – wyjąkał nieznajomy. – Wypadek... Zawołajcie Olafa... Gdzie jest Olaf Andvarafors?

– Jest, jest – powiedziałem. – Zaraz przyjdzie.

Nieznajomy zamknął oczy i ucichł. Usiadłem wygodniej. No dobrze. Ale gdzie się podział Hincus? I co z sejfem Aleca? W głowie miałem zupełną kaszę.

Wrócił właściciel, brwi miał wysoko uniesione, a wargi zacisnięte. Nachylił się do mojego ucha i wyszeptał.

– Dziwna historia, Peter. Olaf się nie odzywa. Pokój zamknięty, a spod drzwi ciągnie zimnem. I moje zapasowe klucze gdzieś zginęły...

W milczeniu wyjąłem z kieszeni pęczek kluczy, który gwizdnałem w kuchni, i oddałem

Alecowi.

– Aha – powiedział Alec i wziął klucze. – No, to wszystko jedno. Wiesz co, Peter, chodźmy tam razem. Jakoś mi się to wszystko nie podoba.

– Olaf... – jęknął nieznajomy. – Gdzie Olaf?

– Zaraz, zaraz – odpowiedziałem. Czuję, że drga mi policzek. Wyszliśmy z właścicielem na korytarz. Poleciałem mu, żeby zawołał Kaisę. – Niech siedzi przy tym facecie i nie rusza się, póki nie wrócimy.

– Aha – powiedział właściciel hotelu poruszając brwiami. – Tak, znaczy się, wyglądają sprawy... Ja też patrzę...

Truchtem pobiegł do siebie, a ja powoli skierowałem się w stronę schodów. Wszedłem już na kilka stopni, kiedy za moimi plecami Cenevert powiedział surowo:

– Chodź tu, Lelle. Siadł. Siedzieć tu... Nikogo nie wpuszczać. Nikogo nie wpuszczać.

Alec dogonił mnie dopiero w korytarzu pierwszego piętra i razem podeszliśmy do numeru Olafa. Zapukałem i nie czekając na odpowiedź odebrałem właścicielowi klucze.

– Który? – zapytałem.

Alec pokazał. Wsadziłem klucz do dziurki. Diabła tam – drzwi były zamknięte od wewnątrz i w dziurce od drugiej strony jeden klucz już tkwił. Póki mordowałem się, usiłując go wypchnąć, otworzyły się drzwi sąsiedniego numeru i zawiązując pasek szlafroka wyszedł na korytarz du Barnstockre, zaspany, ale pełen życzliwości dla świata.

– Co się dzieje, panowie? – zapytał. – Dlaczego uniemożliwia się gościom zasłużony wypoczynek?

– Tysiącrotnie przepraszam, panie du Barnstockre – powiedział właściciel – ale zaistniały pewne okoliczności zmuszające nas do natychmiastowego działania.

– Ach tak? – zainteresował się du Barnstockre. – Mam nadzieję, że nie będę panom przeszkadzał?

Oswobodziłem wreszcie miejsce dla swojego klucza i wyprostowałem się. Spod drzwi ciągnęło zimnem i byłem całkowicie pewien, że pokój okaże się pusty, podobnie jak pokój Hincusa... Przekręciłem klucz i otworzyłem drzwi. Ogarnęła mnie fala mroźnego powietrza, ale prawie tego nie poczułem. Pokój nie był pusty. Na podłodze leżał człowiek. Światła z korytarza było za mało, żeby go rozpoznać. Widziałem tylko ogromne podeszwy na progu przedpokoju. Wszedłem do środka i zapaliłem światło.

Na podłodze leżał martwy Olaf Andvarafors. Był zdecydowanie i beznadziejnie martwy.

## Rozdział VIII

Starannie zamknąłem okno na wszystkie zasuwki, wziąłem walizkę, ostrożnie przekroczyłem przez ciało i wyszedłem na korytarz. Cenevert już czekał na mnie z klejem i paskami papieru. Du Barnstockre nie odszedł, stał tuż, oparty ramieniem o ścianę, i wyglądał jakby mu przybyło dwadzieścia lat. Jego arystokratyczny nos obwisł i podrygiwał żałośnie.

– Jakie to straszne! – szeptał patrząc na mnie ze zgrozą. – Cóż za koszmar!

Zamknąłem drzwi, zapieczętowałem je pięcioma paskami papieru i dwukrotnie podpisałem się na każdym pasku.

– Jakie to straszne! – nadal szeptał du Barnstockre za moimi plecami. – Żadnej nadziei na rewanz... na nic...

– Niech pan wraca do swojego pokoju – powiedziałem. – Niech pan się zamknie u siebie i czeka, póki pana nie wezwę... Alec, obydwaj klucze Olafa będą miał przy sobie. Więcej kluczy nie ma? Dobrze. Mam do ciebie prośbę, Alec. Na razie nic nie mów temu... jednorękiemu. Zełżyj mu coś, jeżeli bardzo będzie się niepokoić. Sprawdź w garażu, czy wszystkie samochody są na miejscu... I jeszcze jedno... Jeżeli zobaczysz Hincusa, zatrzymaj go, chociażby przyszło użyć siły. To na razie byłoby wszystko. Będę u siebie w pokoju.

Alec skinął głową i bez słowa poszedł na dół.

W swoim pokoju postawiłem walizkę Olafa na zapaskudżonym stole i otworzyłem ją. Tym razem również wszystko było nie tak, jak u ludzi – niewykluczone, że miałem do czynienia z czymś znacznie gorszym niż fałszywy bagaż Hincusa. Tam zresztą znalazłem tylko szmaty i książki. Tu zaś, w płaskiej eleganckiej walizce, wypełniając ją szczelnie, leżał jakiś aparat – czarna metalowa skrzynka o szorstkiej powierzchni, jakieś różnokolorowe guziki, oszlone otwory, niklowane pokrętła... ani śladu bielizny, piżamy czy mydelniczki... Zamknąłem walizkę, opadłem na fotel i zapaliłem papierosa.

A więc: w nocy z drugiego na trzeci marca, o godzicie zero dwadzieścia cztery minuty roku bieżącego – inspektor Glebsky – w obecności dwóch obywateli o nieskazitelnej opinii, a mianowicie Aleca Ceneverta oraz du Barnstockre'a znalazłem zwłoki niejakiego Olafa Andvaraforsa. Zwłoki znajdowały się w numerze wyżej wymienionego Andvaraforsa, który to numer był zamknięty od wewnątrz na klucz, natomiast okno w pokoju było szeroko otwarte. Trup leżał na brzuchu, rozciągnięty na podłodze. Głowa zamordowanego była w bestialski i nienaturalny sposób wykręcona o sto osiemdziesiąt stopni, tak że chociaż ciało leżało na brzuchu, twarz zwrócona była ku sufitowi. Ręce denata były wyciągnięte i niemal dotykały niewielkiej walizki, która to walizka była jedynym bagażem należącym do zmarłego. W prawej dłoni zabity trzymał sznur drewnianych koralii, stanowiący własność, jak to zostało stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, cieszącej się nieskazitelną opinią obywatelki Kaisy. Twarz zabitego wykrzywił grymas, oczy szeroko otwarte, zęby wyszczerzone. W okolicy ust unosił się słaby, ale wyraźny zapach jakiejś substancji chemicznej, może karbolu, może formaliny. Siadów walki brak. Narzuta na zaścielonym łóżku nieco zmięta, drzwi ściennej szafy uchylone, ciężki fotel, który w pokojach tego rodzaju stoi przy stole, wysunięto na środek pokoju. Żadnych śladów na parapecie ani na gzymsie za oknem nie stwierdzono. Siadów na kluczu... (wyjąłem klucz z kieszeni i jeszcze raz uważnie go obejrzałem).” śladów na kluczu przy ekspertyzie wizualnej również nie stwierdzono. Z powodu braku fachowców, narzędzi oraz laboratorium – przeprowadzenie specjalistycznych ekspertyz nie było (i nie jest) możliwe. Na podstawie istniejących danych

można przypuszczać, że śmierć nastąpiła wskutek tego, że ktoś z potworną siłą i okrucieństwem skrzył kark Olafowi Andvaraforsowi.

Niezrozumiały jest dziwny zapach z ust i niezrozumiałe, jak człowiek mógł być tak silny, żeby skrzył kark temu olbrzymowi i to bez długotrwałej, hałaśliwej i pozostawiającej mnóstwo śladów walki. Zresztą dwa minusy, jak wiadomo, czasami dają plus. Można postawić hipotezę, że Olafa najpierw otruto, a kiedy trucizna spowodowała, że utracił przytomność, dopiero Wtedy skrzycono mu kark, co zresztą również wymaga niemałej krzepy...

Nie. W ten sposób nic z tego nie wyjdzie. O Boże, dlaczego to nie jest podrobiony los na loterii albo sfalszowany weksel. Raz-dwa bym to załatwił...

Ktoś zapukał. Wszedł właściciel hotelu niosąc na tacy gorącą kawę i kanapki.

– Wszystkie samochody są na miejscu – oznajmił stawiając przede mną tacę. – Narty również. Hincusa nigdzie nie znalazłem. Na dachu leży jego futro i czapka, ale to na pewno widziałeś.

– Tak, widziałem – mruknąłem popijając kawę. – A jednoręki?

– Śpi – powiedział Alec. Zacisnął wargi i dotknął palcem zakrzepłych zacieków kleju na stole. – N-no tak...

– Dziękuję, Alec – powiedziałem. – Możesz na razie iść i nic nikomu nie mów. Niech wszyscy śpią.

Cenevert pokręcił głową.

– Za późno. Moses już wstał, pali się u niego światło. Dobrze, pójdę. A Kaisę zamknę... chociaż ona jeszcze nic nie wie.

– I niech nie wie – powiedziałem.

Alec wyszedł. Z rozkoszą wypilem kawę, odsunąłem od siebie talerz z kanapkami i znowu zapaliłem. Kiedy widziałem Olafa ostatni raz? Grałem w bilard, a on tańczył z latoroślą... To było jeszcze przed tym, zanim rozeszli się karciarze... A karciarze rozeszli się, kiedy wybiło wpół do którejś. Natychmiast potem Moses oświadczył, że idzie spać. No, tę godzinę nietrudno będzie ustalić. Ale o ile wcześniej przed tym momentem widziałem Olafa? Chyba jednak niewiele wcześniej. No dobrze, jakoś to wyjaśnimy. Teraz tak – korale Kaisy, kartka du Barnstockre'a, czy coś słyszeli sąsiedzi Olafa – du Barnstockre i Simonet...

Ledwie, ledwie zaczął mi się rysować w myśli jaki taki plan śledztwa, kiedy nagle usłyszałem przytłumione i dosyć silne uderzenia w ścianę od strony pokoju-muzeum. Zdaje się, że nawet cichutko zajęczałem z nieprzytomnej wściekłości. Zrzuciłem marynarkę, zakasałem rękawy i na palcach ostrożnie wyszedłem na korytarz. W mordę, pomyślałem, w mordę i w zęby. Ja mu pokażę żarciki...

Otworzyłem drzwi i jak pocisk wpadłem do środka. Było ciemno, więc błyskawicznie zapaliłem światło. Pokój był pusty, stukanie nagle ustało, ale czułem, że ktoś tu jest.

– Wylazić! – wrzasnąłem z furją.

W odpowiedzi rozległo się głuchoe beczenie. Przykucnąłem i zajrzałem pod stół. Tam, wciśnięty pod blat w strasznie niewygodnej pozycji, okręcony sznurkiem, z kneblem w ustach siedział złożony jak scyzoryk niebezpieczny gangster, maniak i sadysta Hincus i w półmroku wytrzeszczał na mnie załzawione i umęczone oczy. Wyciągnąłem go na środek pokoju i wyrwałem knebel z ust.

– Co to znaczy? – zapytałem.

W odpowiedzi Hincus zaniósł się kaszlem. Kaszał długo, zachłystując się i chrypiąc, spluwał na wszystkie strony, jęczał i rzeził. Poszedłem do toalety, wziąłem żyletkę Poległego

Alpinisty i przeciąłem więzy Hincusa. Biedak tak zdętwiał, że nie był w stanie nawet ręki podnieść, żeby wytrzeć fizjonomię. Dałem mu wody. Chciwie wypił i nareszcie dał głos – rzucił wiąchę straszliwych i skomplikowanych przekleństw. Pomogłem mu wstać i posadziłem go w fotelu. Bełkocąc przekleństwa, płacząco wykrzywiając twarz, Hincus zaczął obmacywać sobie boki, szyję i nadgarstki.

– Co się z panem stało? – zapytałem.

– Co się stało... – wymamrotał. – Sam pan widzi, co się stało! Związali mnie jak barana i wsadzili pod stół...

– Kto?

– A skąd mam wiedzieć? – zapytał ponuro i nagle cały się zatrząsł. – O mój Boże – wyjęczał – napiłbym się... Nie ma pan czegoś mocniejszego do wypicia, inspektorze?

– Nie – powiedziałem. – Ale może będę miał. Jak tylko pan odpowie na moje pytania.

Hincus z trudem podniósł lewą rękę i odsunął mankiet.

– O cholera, zegarek mi rozgnietli, dranie... – wychrypiał. – Która teraz godzina, inspektorze?

– Pierwsza w nocy – odpowiedziałem.

– Pierwsza w nocy... – powtórzył. – Pierwsza w nocy! – Oczy mu znieruchomiały. – Nie – powiedział i wstał. – Muszę się czegoś napić. Zejdę do bufetu i coś wypiję.

Lekkim pchnięciem usadziłem go z powrotem w fotelu.

– Nie ma pośpiechu – powiedziałem.

– Kim pan jest, żeby tu się rządzić? – na cały głos histerycznie zaskowyczał Hincus.

– Niech pan się nie wydziera – powiedziałem. – Jestem inspektorem, policji. A pan jest na liście podejrzanych, Hincus.

– Jakich znowu podejrzanych? – zapytał, z miejsca spuszczać z tonu.

– Niech no pan posłucha, Hincus. W hotelu popełniono morderstwo. Więc lepiej niech pan odpowiada na moje pytania.

Przez jakiś czas Hincus wpatrywał się we mnie w milczeniu – usta miał na wpół otwarte.

– Morderstwo – powtórzył jakby z rozczarowaniem. – A to ci historia! Ale co ja mogę mieć z tym wspólnego? Przecież mnie samego o mało nie ukatrupili... Siedziałem sobie na dachu, drzemałem. Nagle czuję – ktoś mnie dusi, wali na ziemię i więcej nic nie pamiętam. Ocknąłem się pod tym parszywym stołem. Mało nie zwariowałem, myślałem, że mnie *żywcem* pogrzebali. Zacząłem stukać. Stukam, stukam – nikt nie idzie. Potem pan przyszedł. I to wszystko.

– Czy może mi pan powiedzieć, kiedy mniej więcej pana napadnięto?

Hincus popadł w zadumę i znowu przez jakiś czas siedział w milczeniu. Potem wytarł usta dłonią, spojrzął na swoje palce, znowu nim wstrząsnęło, i wytarł rękę o spodnie.

– No? – powiedziałem. Podniósł na mnie oczy bez blasku.

– Co?

– Pytam, kiedy mniej więcej pana...

– A... Gdzieś koło dziesiątej. Kiedy ostatni raz patrzyłem na zegarek, była ósma czterdzieści.

– Niech mi pan pokaże swój zegarek – powiedziałem.

Hincus posłusznie odpiął zegarek i podał mi go. Zauważyłem, że jego nadgarstek jest pokryty czerwono-sinymi plamami.

– Zegarek jest rozbity – poinformował mnie Hincus.

Zegarek nie był rozbity, zegarek był zmiażdżony.

Mała wskazówka była odłamana, a duża pokazywała czterdzieści trzy minuty.

– Kto to był? – zapytałem.

– Skąd mam wiedzieć? Przecież mówiłem już, że drzemałem.

– I nie obudził się pan, kiedy na pana napadli?

– Przecież napadli na mnie od tyłu – powiedział posepnie Hincus. – Nie mam oczu w zadku.

– Ano, niech pan podniesie głowę!

Patrzył na mnie ponuro, spode łba, zrozumiałem, że jestem na właściwym tropie. Wziąłem Hincusa dwoma palcami za szczękę i jednym ruchem uniosłem mu podbródek do góry. Jeden Pan Bóg wie, co oznaczały te siniaki i zadrapania na jego chudej, żylastej szyi, ale powiedziałem pewnym siebie głosem:

– Niech pan przestanie kłamać, Hincus. Dusili pana z przodu, i pan widział tego człowieka. Kto to był?

Hincus szarpnął głową i wyrwał mi się.

– Niech pan idzie do diabła – wychrypiał. – Do wszystkich diabłów! Nie pański zas...any interes! Kogokolwiek tutaj wykończyli, ja nie mam z tym nic wspólnego, a resztę mam gdzieś... Ja muszę się czegoś napić! – rozdarł się nagle. – Wszystko mnie boli, rozumiesz to czy nie, przeklęta glino?!

Miał rację. W cokolwiek byłby zamieszany, z morderstwem to się nie wiązało, w każdym razie bezpośrednio.

– Dobrze – powiedziałem i wstałem. – Idziemy.

– Dokąd?

– Po wódkę – odpowiedziałem.

Wyszliśmy na korytarz. Hincus ślaniał się i czepiał mojego rękawa. Byłem ciekaw, jak zareaguje, kiedy zobaczy zaklejone paskami papieru drzwi Olafa, ale Hincus nic nie zauważył, najwyraźniej nie miał do tego głowy. Zaprowadziłem go do sali bilardowej, znalazłem na parapecie pół butelki brandy, która pozostała tu od wieczora, i dałem ją Hincusowi. Porwał ją łapczywie i długo nie odejmował od ust.

Patrzyłem na Hincusa. Można było, rzecz jasna, założyć, że jest on w zмовie z mordercą i że wszystko zostało wymyślone dla zamydlenia oczu, tym bardziej że Hincus przyjechał razem z Olafem. I można było nawet przypuścić, że on właśnie jest mordercą i że współnicy związali go potem, żeby mu zapewnić alibi. Ale czułem, że hipoteza ta jest cokolwiek zbyt skomplikowana, żeby była prawdziwa. To znaczy, oczywiście, z Hincusem wyraźnie nie wszystko było w porządku. Żadnej gruźlicy, rzecz jasna, nie miał, nie był też prawdopodobnie kuratorem do spraw nieletnich. I bez odpowiedzi pozostawało pytanie, w jakim celu właściwie sterczał na dachu... Nagle mnie olśniło. Przypomniałem sobie te wszystkie historie z prysznicem, z fajką, z tajemniczymi listami i przypomniałem sobie, jaki zielony i przerażony był Hincus, kiedy w dzień schodził z dachu.

– Niech pan posłucha, Hincus – powiedziałem łagodnie. – Ten, który napadł na pana... Przecież pan go widział już przedtem w ciągu dnia, prawda?

Hincus dziko spojrział na mnie i znowu przyssał się do butelki.

Tak – powiedziałem. – No to chodźmy. Za – pana w pańskim pokoju. Butelkę może pan za – ze sobą.

– A pan? – ochryple zapytał Hincus.

– Co ja?

– Pan odejdzie?  
– Naturalnie – odpowiedziałem.  
– Niech pan posłucha – powiedział. – Niech mnie pan posłucha, inspektorze... – Oczy mu biegały, nie wiedział, co powiedzieć. – Pan... Może ja pójde z panem? Ja nie ucieknę, i... nic... przysięgam panu...

– Boi się pan sam zostać w pokoju? – zapytałem.  
– Tak – odpowiedział Hincus.  
– Ale przecież ja pana zamknę – uspokajałem go. – I klucz zabiorę ze sobą...  
Jakoś rozpaczliwie machnął ręką.  
– To nie pomoże – wymruczał.  
– No, no, Hincus – powiedziałem surowo. – Niechże pan będzie mężczyzną! Rozkleił się pan jak stara baba!

Hincus nic nie odpowiedział, tylko jeszcze mocniej obiema rękami przytulił butelkę do piersi. Odprowadziłem go do pokoju, jeszcze raz obiecałem, że go odwiedzę i zamknąłem. Klucz rzeczywiście zabrałem i włożyłem do kieszeni. Czuję, że Hincus to nie wyeksploatowana żyła złota i że przyjdzie mi jeszcze nad nim popracować. Oszczędłem nie zaraz. Kilka minut postąłem pod drzwiami przyłożywszy ucho do dziurki od klucza. Słysząc było, jak bulgocze płyn, potem zaskrzypiało łóżko, potem rozległy się częste, przerywane dźwięki. Nie od razu domyśliłem się, co to takiego, ale potem dotarło do mnie. Hincus płakał.

Zostawiłem go sam na sam z jego sumieniem i poszedłem do du Barnstockre'a. Stary otworzył mi natychmiast. Był okropnie wzburzony. Nawet nie zaproponował mi, żebym usiadł. Pokój był pełen dymu z cygar.

– Drogi panie inspektorze! – przemówił natychmiast. – Mój szanowny przyjacielu! Czuję się diabelnie niezręcznie, ale sprawy zaszyły zbyt daleko. Muszę wyznać panu moje niewinne przestępstwa...

– To pan zamordował Olafa Andvaraforsa? – zażartowałem ponuro.  
Du Barnstockre wzdrygnął się i załamał ręce.  
– O Boże! Nie! Nigdy w życiu nikogo nawet palcem nie dotknąłem! Quelle idee! Nie! Chcę tylko szczerze wyznać, że regularnie mistyfikowałem publiczność w naszym hotelu... – Przcisnął ręce do piersi obsypując szlafrok szarym popiołem. – Niech mi pan wierzy, niech mnie pan zrozumie właściwie, to były tylko żarty! To zawodowe przyzwyczajenie! Uwielbiam atmosferę tajemniczości, mistyfikacje, powszechne zdumienie... Bez żadnych złych zamiarów, zapewniam pana! Bezinteresownie...

– Jakże konkretnie żarty ma pan na myśli? – zapytałem sucho.  
– No... wszystkie te zabawne historie z cieniem Poległego Alpinisty. No, te pantofle, które ukradłem sam sobie i schowałem pod jego łóżkiem... Żart z prysznicem...  
– Stół w moim pokoju to też pana robota? – zapytałem.;  
– Stół? – du Barnstockre popatrzył na mnie stropiony, a potem spojrzał na swój własny stół.

– Tak, stół. Zalał pan klejem stół.  
– N-nie – zaprzeczył z przestachem. – Klejem... stół... Nie, nie, to nie ja, przysięgam panu! – znowu przycisnął ręce do piersi. – Niechże pan zrozumie, inspektorze, wszystko, co robiłem, było całkowicie niewinne, nikomu nie sprawiło najmniejszej przykrości... Wydawało mi się nawet, że wszystkim to się ogromnie podoba, a nasz drogi gospodarz tak wspaniale mi podgrywał...

– Był w zмовie z panem?

– Ależ nie, co też pan mówi! – du Barnstockre zamachał rękami. – Chciałem powiedzieć, że on... że mu się to właściwie bardzo podobało...

– Rozumiem – powiedziałem. – A ślady w korytarzu?

Twarz du Barnstockre'a spoważniała.

– Nie, nie – powiedział. – To nie ja. Ale wiem, o czym pan mówi. Raz je widziałem. Było to jeszcze przed pańskim przyjazdem. Mokre ślady bosych stóp zaczynały się na podeście i prowadziły, co było bardzo dziwne, do pokoju-muzeum.

– Dobrze – powiedziałem. – Zostawmy to. Jeszcze jedno pytanie. Kartka, którą panu jakoby podrzucono, to również pański żart, o ile dobrze rozumiem?

– Też nie mój – z godnością odpowiedział du Barnstockre. – Przekazując panu tę kartkę opowiadałem najczystsą prawdę.

– Chwileczkę. To znaczy, że wyglądało to tak: Olaf wyszedł, a pan został. Ktoś zapukał do drzwi, pan się odezwał, potem pan się obejrzał i zobaczył pan kartkę na podłodze przy drzwiach. Tak?

– Tak.

– Chwileczkę – powtórzyłem. Do głowy przysła mi nowa myśl. – A dlaczego właściwie pan, panie du Barnstockre, doszedł do wniosku, że list był przeznaczony dla pana?

– Całkowicie się z panem zgadzam – odparł du Barnstockre. – Ale przecież ten, kto zapukał, słyszał mój głos, to znaczy Wiedział, że jestem w pokoju... Pan mnie rozumie? W każdym razie, kiedy nasz biedny Olaf wrócił, niezwłocznie pokazałem mu kartkę...

– Tak – powiedziałem – i co Olaf?

– Przeczytał, wrzucił ramionami i natychmiast powróciliśmy do gry. Olaf był nadal zupełnie spokojny, flegmatyczny i ani razu nie wspomniał o liście... Pan przypuszcza, że ten list rzeczywiście...

– Wszystko jest możliwe. – Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. – A teraz niech mi pan opowie, co pan robił, poczynając od chwili, kiedy Mosesowie poszli spać.

– Proszę bardzo – powiedział du Barnstockre. – Spodziewałem się tego pytania i specjalnie zrekonstruowałem w pamięci wszystkie moje czynności według następstwa w czasie. Wygląda to tak: kiedy wszyscy się rozeszli, a było to mniej więcej o wpół do dziesiątej...

– Momencik – przerwałem mu. – Niech mi pan najpierw powie coś innego. A mianowicie: kto był w jadalni między wpół do dziewiątej a wpół do dziesiątej?

Du Barnstockre położył na czole dłoń o wąskich, białych palcach...

– M-m-m... – powiedział. – To będzie bardziej skomplikowane. Byłem przecież zajęty kartami... No, naturalnie Moses, właściciel... Od czasu do czasu karty zbierała również pani Moses. To przy naszym stoliku... Brune i Olaf tańczyli, a potem... nie, pardon, jeszcze przedtem... Tańczyła pani Moses i Brune... Ale rozumie pan przecież, drogi inspektorze, że nie jestem w stanie ustalić dokładnie, kiedy to było – o wpół do dziewiątej, o dziewiątej... O! Zegar wybił dziewiątą, i ja, jak sobie przypominam, spojrziałem na salę i pomyślałem, że bardzo mało już zostało osób. Grała muzyka, sala była pusta, tylko Brune i Olaf tańczyli... Wie pan, to chyba jedyny wyraźny obraz, jaki utrwał się w mojej pamięci.

– Tak – powiedziałem. – A czy właściciel i pan Moses choć raz wstawali od stolika?

– Nie – odpowiedział du Barnstockre z przekonaniem. – Obaj okazali się zatwardziałymi hazardzistami.

– Dobrze. Teraz powróćmy do pana. Tak więc kiedy wszyscy się rozeszli, posiedział pan jeszcze jakiś czas przy stoliku, ćwicząc sztuki z kartami.

– Ćwicząc sztuki? A tak, to zupełnie możliwe. Czasem w zamyśleniu nie kontroluję swoich rąk... to dzieje się poza moją świadomością. Tak. Następnie postanowiłem wypalić cygaro i przyszedłem tu, do swojego numeru. Zapaliłem cygaro, usiadłem w fotelu i muszę panu wyznać, że się zdrzemnąłem. Obudziłem się nagle – przypomniałem sobie, że obiecałem o dziesiątej zagrać rewanżową partię z biednym Olafem. Spojrzałem na zegarek, dokładnej godziny nie pamiętam, ale było niewiele po dziesiątej, i z ulgą pomyślałem sobie, że spóźnię się bardzo nieznacznie. W korytarzu, panie inspektorze, było pusto, to pamiętam. Zapukałem do Olafa – nikt się nie odezwał. Zrozumiałem, że pan Olaf sam zapomniał o rewanżu. Uczciwie poczekałem do jedenastej, czytając tę oto książkę, a o jedenastej położyłem się spać. Ale jest jeszcze coś ciekawego, panie inspektorze. Niedługo przedtem, jak pan i właściciel zaczęliście hałasować i pukać w korytarzu, obudziło mnie pukanie do moich drzwi. Otworzyłem, ale nikogo nie było. Położyłem się z powrotem, ale usnąć już nie mogłem.

– Uhm – powiedziałem. – Rozumiem. To znaczy do jedenastej, do chwili, kiedy pan położył się spać, nie zaszło nic ciekawego... nie było żadnego hałasu, żadnego ruchu za drzwiami?

– Nie – powiedział du Barnstockre. – Nic nie słyszałem.

– A gdzie pan był? Tu, czy w sypialni?

– Tu. Siedziałem w tym fotelu.

– Uhm – powiedziałem. – I ostatnie pytanie. Ozy wczoraj przed obiadem nie rozmawiał pan z Hincusem?

– Z Hincusem?... A, to taki maleńki, żaloszny... Sekundę, mój przyjacielu... Ależ tak, oczywiście! Przecież my wszyscy sialiśmy przed drzwiami łazienki, pamięta pan? Pan Hincus był bardzo zirytowany oczekiwaniem, i ja uspokoiłem go jakąś maleńką sztuczką. Ach, tak, landrynki! Pan Hincus wtedy bardzo zabawnie się stropił. Uwielbiam takie mistyfikacje.

– Później już pan z nim nie rozmawiał?

Du Barnstockre w zamyśleniu złożył wargi w trąbkę.

– Nie – powiedział. – O ile pamiętam, to nie.

– I nie wchodził pan na dach?

– Na dach? Nie. Nie, nie. Nie wchodziłem na dach.

– Dziękuję panu, panie du Barnstockre. Okazał pan pomoc śledztwu. Teraz radzę panu zażyć jakiś środek nasenny i położyć się spać.

– Spróbuję – skwapliwie zgodził się du Barnstockre.

Życzyłem mu dobrej nocy i wyszedłem. Zamierzałem obudzić latorośl, kiedy nagle zauważyłem, że na końcu korytarza szybko i bezszelestnie zamknęły się uchylone drzwi Simoneta. Niezwłocznie ruszyłem w tamtą stronę.

Wszedłem bez pukania i od razu stało się dla mnie jasne, że postąpiłem słusznie. Przez otwarte drzwi sypialni zobaczyłem, jak smętny figlarz podskakując na jednej nodze zdziera z siebie spodnie. Było to tym głupsze, że w obu pomieszczeniach paliło się światło.

– Niech pan się nie wysila, Simonet – powiedziałem ponuro. – I tak nie zdąży pan rozwiązać krawata.

Simonet bezsilnie opadł na łóżko. Szczęka mu latała, a oczy miał wielkie jak filiżanki. Wszedłem do sypialni i stanąłem przed Simonetem trzymając ręce w kieszeniach. Przez jakiś czas milczeliśmy obaj. Nie powiedziałem ani słowa więcej, tylko patrzyłem na niego, dając mu czas na zrozumienie, że jest zgubiony. A Simonet pod moim spojrzeniem coraz bardziej

malął, wtulał głowę w ramiona, a jego smętny nos stawał się coraz smętniejszy. Wreszcie nie wytrzymał.

– Będę mówić tylko w obecności mojego adwokata – oświadczył nadpękniętym głosem.

– Niech pan przestanie, Simonet – powiedziałem z obrzydzeniem. – I to ma być fizyk? Skądże ja tu panu wezmę, u diabła, adwokata?

Simonet złapał mnie nagle za połą marynarki i zaglądając mi od dołu w oczy, wychrypiął:

– Niech pan sobie myśli, co pan chce, inspektorze, ale przysięgam – ja jej nie zabiłem.

Teraz na mnie przyszła kolej, żeby usiąść. Poszukałem ręką krzesła, przysunąłem je i usiadłem.

– Niech pan sam pomyśli, dlaczego miałbym to zrobić? – żarliwie przekonywał mnie Simonet. – Przecież trzeba mieć jakiś motyw... Nikt nie zabija ot tak sobie... Tym bardziej takie bestialstwo, taki koszmar... Przysięgam panu! Ona była już zupełnie zimna, kiedy ją objąłem!

Na kilka sekund zamknąłem oczy. Tak. W domu był jeszcze jeden trup. Tym razem trup kobiety.

– Przecież pan świetnie wie – gorącym szeptem kontynuował Simonet – że nie popełnia się przestępstwa ot tak... Trzeba mieć powód... Przecież pan mnie zna, inspektorze! Niech pan spojrzy na mnie! Czy wyglądam na mordercę?

– Stop – powiedziałem. – Niech pan się zamknie na minutę. Proszę się dobrze zastanowić i opowiedzieć mi wszystko po kolei.

Simonet nie zastanowił się.

– Proszę bardzo – powiedział skwapliwie. – Ale musi mi pan uwierzyć, inspektorze. Wszystko, co panu opowiem, to będzie prawda i tylko prawda. To było tak. Ona i przedtem dawała mi do zrozumienia, tylko że jakoś nie mogłem się zdecydować... Ale tym razem, kiedy pan mnie napompuwał brandy, postanowiłem zaryzykować. Gdzieś koło jedenastej, kiedy Wszyscy już się uspokoili, wyszedłem ze swego pokoju i cichutko poszedłem na dół. Pan i właściciel hotelu gadaliście w salonie o jakichś bzdurach, bodaj o ochronie przyrody, normalne zawracanie głowy. U starego światło już się nie paliło, u niej – również. Ciemno choć oko wykol, ale jednak zauważyłem jej sylwetkę. Siedziała na kozetce na wprost drzwi. Zawołałem cichutko, ona nie odpowiedziała. Wobec tego, sam pan rozumie, usiadłem obok niej, i sam pan rozumie, objąłem ją... B-r-r-r! Nawet jej nie zdążyłem pocałować! Ona była zupełnie martwa! I te wyszczerzone zęby... Nie pamiętam, jak stamtąd wybiegłem. Zdaje się, że wszystkie meble połamałem... Przysięgam panu, inspektorze, niech pan uwierzy uczciwemu człowiekowi!...

– Niech pan włoży spodnie – powiedziałem z cichą rozpaczą. – Niech pan doprowadzi się do porządku i idzie ze mną.

– Dokąd? – zapytał Simonet ze zgrozą.

– Do więzienia! – ryknąłem. – Do lochu! Do wieży tortur, idioto!”

– Już idę – powiedział. – Za sekundę. Po prostu w pierwszej chwili nie zrozumiałem pana, inspektorze.

Zeszliśmy do hallu wprost na pytające spojrzenie właściciela hotelu. Alec siedział przy stoliku, na którym leżał ciężki wielostrzałowy winchester. Gestem kazałem mu pozostać na miejscu, a sam z Simonetem skręciłem w stronę apartamentów Mosesów. Lelle, leżący na progu pokoju jednorękiego, nieprzychylnie zawarczał. Simonet dreptał za mną i od czasu do

czasu wzdychał spazmatycznie.

Zdecydowanym ruchem pchnąłem drzwi do pani Moses i osłupiałem. W pokoju płonąła stojąca różowa lampa, a na kanapie, naprzeciw drzwi spoczywała w pozie madame de Recamier pani Moses i czytała książkę. Zobaczywszy mnie, ze zdziwieniem uniosła brwi, zresztą natychmiast mile się uśmiechnęła. Simonet za moimi plecami wydał z siebie dziwaczny dźwięk – coś w rodzaju „a-ap!”

– Najmocniej przepraszam – wydusiłem z siebie, z trudem poruszając skołowaciałym językiem. I tak szybko, jak tylko to było możliwe, wycofałem się. Następnie odwróciłem się do Simoneta i z rozkoszą, bez pośpiechu, ująłem go za krawat.

– Przysięgam! – samymi wargami wyszeptał Simonet. Był bliski utraty przytomności. Puściłem go.

– Pan się omylił, Simonet! – powiedziałem sucho. – Idziemy.

W poprzednim szyku pomaszerowaliśmy do mego pokoju. Kiedy weszliśmy, Simonet rzucił się na fotel, na sekundę zasłonił oczy rękami, a potem zaczął się tłuc pięściami po głowie jak rozweselony szympan.

– Jestem uratowany! – bełkotał z kretyńskim uśmiechem. – Hura! Znowu żyję! Nie mam nic do ukrycia! Hura!

Następnie położył dłonie na brzegu stołu, skierował na mnie spojrzenie okrągłych oczu i powiedział szeptem:

– Ale przecież ona była martwa, inspektorze! Przysięgam panu! Była nieżywa i mało tego...

– Zawracanie głowy – powiedziałem zimno. – Po pijanemu pomylił pan drzwi...

– Nie, nie – zaprzeczył Simonet kręcąc głową. – Byłem pijany – to prawda. Ale to nieczysta sprawa, tu jest coś nie w porządku... Już prędzej mogła to być halucynacja, majaczenie... Przez cały czas nie mogłem oka zmrużyć, to się rozbierałem, to znowu ubierałem.”

– Gdzie pan był przez cały ten czas?

– U siebie. Więcej już nie wychodziłem.

– W którym pokoju, konkretnie, pan siedział?

– To w jednym, to w drugim... Mówiąc szczerze, póki pan przesłuchiwał Olafa, próbowałem podsłuchiwać i siedziałem w sypialni... – Oczy znów mu wylazły z orbit. – Niech pan poczeka – powiedział. – Przecież, jeżeli ona żyje... – Milczał przez chwilę, patrząc na mnie okrągłymi oczami i przygryzając dolną wargę. – Co się stało?

– Zamordowano Olafa – powiedziałem.

– Jak to – zamordowano? Przecież pan dopiero przed chwilą był u niego... Słyszałem, jak pan z nim rozmawiał...

– Rozmawiałem nie z nim... Olaf nie żyje. I dlatego niech się pan postara możliwie precyzyjnie odpowiadać na moje pytania. Kiedy pan wrócił do siebie?

Simonet wytarł pokryte potem czoło. Wyglądał bardzo nieszczęśliwie.

– To jakieś szaleństwo – wymamrotał. – Majaczenia wariata... Najpierw tamto, teraz to...

Zastosowałem stary, wypróbowany chwyt. Przenikliwie patrząc na Simoneta powiedziałem:

– Niech pan przestanie kręcić. Proszę odpowiadać na moje pytania.

Simonet natychmiast poczuł się podejrzanym i wszystkie jego emocje jakby ręką odjął. Przestał myśleć o pani Moses. Przestał myśleć o biednym Olafie. Teraz już myślał wyłącznie

o sobie.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytał niepewnie. – Co to znaczy „przestać kręcić”?

– To znaczy, że czekam na odpowiedź – wyjaśniłem. – O której wrócił pan do siebie?

Simonet, wcielenie ucieleśnionej niewinności, wzruszył ramionami.

– Proszę bardzo – powiedział. – To oczywiście śmieszne i zdumiewające w najwyższym stopniu, ale... proszę – Proszę bardzo. Z sali bilardowej wyszedłem za dziesięć dziesiątą. Z dokładnością do plus-minus jednej minuty. Poszedłem do sypialni, rozebrałem się... – Nagle przerwał: – A wie pan, inspektorze... Wtedy Olaf jeszcze żył. Za ścianą sypialni przesuwano meble. Głosów sobie nie przypominam. Głosów nie było. Ale coś się tam ruszało. Pamiętam, że pokazałem ścianie język i pomyślałem: tak, blond bestio, ty sobie chrapiesz, a ja pójdę do mojej Olgi... Czy coś w tym rodzaju. Jak z tego wynika, było to mniej więcej za pięć dziesiątą. Z dokładnością do trzech minut.

– Tak. Dalej.

– Dalej... Dalej poszedłem do toalety, ogoliłem się, umyłem do pasa... Krótko mówiąc następnym razem spojrzałem na zegarek, kiedy wyszedłem z toalety. Było około wpół do jedenastej.

– Został pan w sypialni?

– Tak, ubierałem się w sypialni. Ale nic już więcej nie słyszałem. A jeżeli nawet słyszałem, to nie zwróciłem uwagi. Kiedy się ubrałem, usiadłem w fotelu i zacząłem czekać. I stwierdzam pod przysięgą, że po wieczorynce nie widziałem Olafa na oczy.

– Wierzę – powiedziałem. – Teraz proszę mi powiedzieć, kiedy pan ostatni raz rozmawiał z Hincusem?

– Hm... Ja z nim chyba w ogóle nigdy nie rozmawiałem. Nie wyobrażam sobie, o czym mógłbym z nim mówić.

– A kiedy pan go widział po raz ostatni?

Simonet zmrużył oczy przypominając sobie.

– Pod łazienką? – powiedział pytająco. – Nie, *co* też ja mówię! Przecież on jadł obiad razem ze wszystkimi, pan go przyprowadził z dachu... A co się stało?

– Nic szczególnego – odparłem niedbale. – Jeszcze jedno pytanie. Kto, pańskim zdaniem, robił te wszystkie sztuczki z łazienką, z ukradzionymi pantoflami...

– Rozumiem – powiedział Simonet. – Moim zdaniem *zaczął* du Barnstockre, a później włączył się w to każdy, kto miał ręce i nogi.

– I pan?

– I ja. To ja zaglądałem w okna pani Moses. Uwielbiam takie numery... – Tu Simonet spróbował zarzeć swoim pozagrobowym śmiechem, ale połapał się i przybrał poważny wyraz twarzy.

– I nic więcej?

– Dlaczego nic? Dzwoniłem na Kaisę z pustych pokoi, urządziłem „odwiedziny topielców”...

– To znaczy...

– To znaczy biegałem boso po korytarzu i zostawiałem mokre ślady...

– A zegarek Mosesa to też pańska robota? – zapytałem.

– Jaki zegarek Mosesa? Taka złota cebula?

Miałem ochotę mu przysunąć.

– Tak – powiedziałem. – Cebula. Pan ją gwizdnał?

– Za kogo mnie pan bierze? – oburzył się Simonet. – Za złodziejaszka?

Nie – odparłem opanowując się. – Pan zabrał zegarek dla żartu. Zainscenizował pan „odwiedziny złodzieja z Bagdadu”.

– Niech pan posłucha, inspektorze – powiedział Simonet bardzo poważnie. – Widzę, że z tym zegarkiem coś się stało. Więc oświadczam panu, że go nie ruszałem. Ale widziałem go. Zresztą wszyscy widzieli...

– Dobrze. Zostawmy to. Teraz mam do pana pytanie (jako do specjalisty. – Położyłem przed nim walizkę Olafa i uniosłem wieko. – Co to może być, pana zdaniem?

Simonet szybko spojrzął na aparat, ostrożnie wyjął go z walizki i pogwizdując przez zęby starannie go ze wszystkich stron obejrzał. Potem *zważył* w rękach i równie ostrożnie odłożył z powrotem do walizki.

– To nie z mojej specjalności – powiedział. – Biorąc pod uwagę stopień miniaturyzacji i jakość wykonania, to coś ma przeznaczenie albo wojskowe, albo kosmiczne. Nie wiem. Gdzie pan to znalazł? U Olafa?

– Tak – powiedziałem.

Pomyśleć tylko! – mruzczał Simonet. – U takiego ćwoka... Zresztą pardon. Po jaką cholere tu są gałki mikrometryczne? Bardzo dziwna aparatura... – Simonet spojrzął na mnie. – Jeżeli pan chce, inspektorze, to mogę pokręcić tymi śrubkami i kółkami. Ale niech pan weźmie pod uwagę, że to bardzo niezdrowe zajęcie.

– Nie trzeba – powiedziałem. – Niech pan to odda. – Zamknąłem walizkę.

– Słusznie – poparł mnie Simonet rozpierając się I w fotelu. – Trzeba to dać ekspertom. Nawet nie bardzo wiem, komu... Nawiasem mówiąc, dlaczego pan nie wezwie specjalistów?

Krótko powiedziałem mu o lawinie.

– I tak źle, i tak niedobrze – podsumował smętnie. – Mogę już iść?

– Tak – powiedziałem. – Niech pan idzie i położy się spać.

Simonet wyszedł. Wziąłem walizkę i zastanawiałem się, gdzie ją można schować. Nigdzie nie było można. „Przeznaczenie wojskowe albo kosmiczne – pomyślałem. – Tylko tego jeszcze właśnie mi brakowało. Morderstwo polityczne, szpiegostwo, dywersja... Tfu, co za nonsens! Gdyby powodem morderstwa była walizka, walizkę by zabrali... Gdzie ją schować?” Przypomniałem sobie o sejfie Aleca, wziąłem walizkę pod pachę i zszedłem na dół.

Cenevert siedział, a przed nim na stoliku leżały papiery i stał arytmometr. Winchester miał w zasięgu ręki – oparty o ścianę.

– Co nowego? – zapytałem.

– Nic specjalnie dobrego – odpowiedział Alec z miną winowajcy. – Musiałem Mosesowi powiedzieć, co się stało.

– Po co?

– Jak nosorożec rwał się do ciebie na górę, ryczał, że nikomu nie pozwoli w nocy włączyć do swojej żony. Zupełnie nie wiedziałem, jak go zatrzymać, i powiedziałem mu, o co chodzi.

– Niedobrze. Ale to częściowo moja wina. A on co?

A nic. Wybałuszył na mnie ślepią, z pół minuty pomilczał, a potem zaczął się drzeć – że kogo to ja wprowadziłem do jego pokoju i jak śmiałem...

– No dobrze – powiedziałem. – Słuchaj. Alec. Daj mi klucz od twojego sejfu, ja schowam tę walizkę, a klucz, musisz wybaczyć, zatrzymam przy sobie. Po drugie, muszę przesłuchać Kaisę. Po trzecie, strasznie bym się napił kawy.

– Chodźmy – powiedział Alec Cenevert.

## Rozdział IX

Wypiłem filiżankę kawy i przesłuchałem Kaisę. Kawa była znakomita, ale od Kaisy prawie nic nie udało mi się wyciągnąć. Co chwila zasypiała na krześle, a kiedy ją budziłem, natychmiast pytała: „Czego?” Jednakże udało mi się wyjaśnić, że Olaf wyprosił u niej korale na pamiątkę i że miało to miejsce prawie od razu po obiedzie, kiedy Kaisa zносиła naczynia na dół i zmywała. W końcu wyprawiłem ją spać, a sam poszedłem do hotelu i zabrałem się do Aleca.

– Co myślisz o tym wszystkim, Alec? – zapytałem.

Z przyjemnością odsunął od siebie arytmometr i z chrzęstem wyprostował potężne ramiona.

– Myślę, Peter, że w bardzo niedługim czasie przyjdzie mi zmienić nazwę hotelu.

– O! – powiedziałem. – A na jaką?

– Jeszcze nie wiem – odparł. – I to mnie odrobinę niepokoi. Za kilka dni w mojej dolinie zaroi się od reporterów i do tego czasu muszę być kompletnie przygotowany. Oczywiście wiele będzie zależało od tego, do jakich wniosków dojdą oficjalne organa śledcze, ale przecież prywatnej opinii właściciela hotelu prasa nie może nie wysłuchać...

– Właściciel wyrobił już sobie jakąś opinię? – zdziwiłem się.

– No, może niezupełnie słuszne byłoby nazwanie tego opinią. Pomimo wszystko jestem tylko mechanikiem samoukiem i dlatego opieram się raczej na swoich wrażeniach, zamiast wyciągać wnioski. A ty jesteś inspektorem policji. Twoje wrażenia powstają w rezultacie wniosków, kiedy wnioski nie wydają ci się zadowalające, kiedy zbijają cię z tropu. Jednym słowem zadawaj pytania.

Nieoczekiwanie dla samego siebie – byłem już bardzo zmęczony i skołowany – opowiedziałem mu o Hincusie. Alec słuchał i kiwał łysą głową.

– Tak – powiedział. – Więc widzisz, i Hincus również...

Rzuciwszy tę zagadkową uwagę, właściciel szczegółowo i bez nacisku z mojej strony opowiedział, co robił po ukończeniu gry w karty. Olafa widział po raz ostatni mniej więcej wtedy, kiedy i ja go widziałem. O wpół do dziesiątej zszedł na dół razem z Mosesami, nakarmił Lelle, wypuścił go na dwór, obsztorcował Kaisę za ślamazarność, i wtedy właśnie przyszedłem ja. Wpadliśmy na pomysł, żeby posiedzieć przy kominku i napić się gorącego portwejn. Alec wydał polecenie Kaisie i poszedł do jadalni, żeby wyłączyć muzykę i zgasić światła.

– O ile pamiętam, wszystko było w porządku. Wszystkie drzwi na piętrze były pozamykane, na korytarzu panowała cisza. Wróciłem do bufetu, napełniłem szklanki portweinem i właśnie wtedy zeszła lawina. Jeżeli pamiętasz, przyniosłem ci portwein, a sam pomyślałem, że dobrze byłoby zadzwonić do Muir. Już wtedy miałem wrażenie, że klops z nami. Próbowałem dzwonić, potem wróciłem do salonu i od tej chwili nie rozstawaliśmy się.

Obserwowałem go spod współprzymkniętych powiek. Tak, Alec był bardzo silnym mężczyzną. I prawdopodobnie miał dosyć krzepy, żeby skrócić kark Olafowi, szczególnie jeżeli Olafa przedtem otruto. I właśnie on, właściciel hotelu, jak nikt inny miał możliwość otrucia każdego z nas. Więcej nawet, mógł mieć jeszcze jeden klucz od numeru Olafa. Trzeci klucz... Alec mógł zrobić to wszystko. Ale pewnych rzeczy jednak nie mógł. Nie mógł na przykład wyjść z pokoju przez drzwi i potem zamknąć je za sobą od wewnątrz. Nie mógł wyskoczyć przez okno nie zostawiając śladów na parapecie i bardzo głębokich i wyraźnych

śladów na dole pod oknem... Nawiasem mówiąc, tego nie potrafiłby dokonać nikt.

– Czy mógłbyś, oczywiście jeżeli nie masz nic przeciwko temu – powiedział Alec – wyjaśnić mi, po co chodziliście z Simonetem do pani Moses?

– Głupstwo – odparłem. – Fizyk spił się i zwidziało mu się Bóg wie co...

– Właśnie! Co konkretnie?

– Zwykła bzdura! – powiedziałem próbując złapać za kark jakąś umykającą mi, interesującą myśl. – Przerwałeś mi tok rozumowania, Alec. No trudno, potem sobie przypomnę... Teraz co do Hincusa. Spróbuj przypomnieć sobie, kto wychodził z jadalni między wpół do dziewiątej a dziewiątą.

– Oczywiście, mogę spróbować – łagodnie powiedział właściciel. – Ale przecież sam zwróciłeś uwagę na to, że Hincusa nieludzko wystraszyła ta, powiedzmy, istota, która na niego napadła.

– Nie mogę się teraz zajmować mistyką, fantastyką i inną filozofią – powiedziałem z rozdrażnieniem. – Moim zdaniem Hincus jest po prostu tego... – puknąłem się palcem w czoło.

– No dobrze, dobrze – pokojowo zgodził się Alec. – Nie dyskutujmy na ten temat. A więc, kto wychodził z jadalni między wpół do dziewiątej a dziewiątą? Po pierwsze – Kaisa. Wychodziła i wracała. Po drugie – Olaf. Też przychodził i wychodził. Po trzecie – dziecko du Barnistockre'a... Zresztą nie, nie mam racji. Dziecko zniknęło później, razem z Olafem...

– O której to było? – zapytałem szybko.

– Dokładnej godziny, rzecz jasna, sobie nie przypominam, ale dobrze pamiętam, że wtedy graliśmy w karty i gra trwała jeszcze przez pewien czas po ich wyjściu.

– To bardzo ciekawe – powiedziałem. – Ale o tym potem. Tak. Kto jeszcze wychodził?

– Właściwie pozostaje nam już tylko pani Moses... Hm... – Alec mocno podrapał się po policzku. – Nie – powiedział stanowczo. – Nie przypominam sobie. Dobrze pamiętam, że pani Moses tańczyła z dzieckiem, i dobrze pamiętam, że potem przysiadła się do nas i nawet brała udział w grze. Ale czy wychodziła... Nie, nie zauważyłem. Niestety.

– No cóż, dzięki i za to – powiedziałem z roztargnieniem, myślałem już o czymś innym. – A dziecko, jak się okazuje, wyszło z Olafem i już nie wróciło, podobnie jak Olaf, prawda?

– Tak.

– Dziękuję – powiedziałem i wstałem. – To ja już sobie pójdę. Aha, jeszcze jedno pytanie. Czy po obiedzie widziałeś Hincusa?

– Po obiedzie? Nie.

– A tak, przecież graliście w karty... A przed obiadem?

– Przed obiadem Widziałem go kilkakrotnie. Widziałem go rano, kiedy jadł śniadanie... Potem z mojego biura nadawał depezę do Muir, potem... Tak! Potem zapytał mnie, jak się wchodzi na dach i powiedział, że pójdzie się opalać... To chyba wszystko... Nie, widziałem go jeszcze raz w ciągu dnia, to było w bufecie, tulił do siebie butelkę brandy.

W tym momencie wydało mi się, że złapałem myśl-uciekinię.

– Słuchaj, Alec – powiedziałem. – Zapomniałem zupełnie, jak wpisał się Olaf do twojej książki?

– Olaf Andvarafors, urzędnik państwowy. Przyjechał sam na dziesięciodniowy urlop. Nie, to nie była ta myśl.

– Dziękuję, Alec – powiedziałem i usiadłem z powrotem. – Teraz zajmij się swoimi sprawami, a ja posiedzę i pomyślę.

Oparłem głowę na dłoniach i zacząłem myśleć. A więc czym w tej chwili

rozporządzam? Mało tego jest, diabelnie mało. Dowiedziałem się, że Olaf wyszedł z jadalni między dziewiątą a wpół do dziesiątej i więcej nie wrócił i że razem z nim wyszło to dziecko. Tak więc w tej chwili sądzić należy, że latorośl jest ostatnim człowiekiem, który widział Olafa żywego. To oznacza, iż Olafa zamordowano między kilka minut po dziewiątej a dwunastą z minutami... Nie ma co, ładny kawałek czasu. Simonet twierdzi jednak, że za pięć dziesiątą słyszał w pokoju Olafa jakiś ruch, a mniej więcej dziesięć po dziesiątej nikt nie odpowiedział na pukanie du Barnstockre'a. Ale to jeszcze niczego nie dowodzi. Olaf mógł wtedy po prostu wyjść na chwilę. Ze złością szarpnąłem się za włosy. Olafa w ogóle mogli zamordować poza jego pokojem. Nie, jeszcze za wcześnie na jakieś wnioski. Zabierzmy się do dziecięcia. Ludzie z nagłą przebudzeni mówią czasem ciekawe rzeczy.

Pukać do dziecięcia musiałem długo i głośno. Potem za drzwiami usłyszałem człapanie bosych stóp i zagniewany zachryplę głos zapragnął się dowiedzieć, po jakiego diabła?

– Proszę otworzyć, Brune, to ja, Glebsky – powiedziałem.

Nastąpiło krótkie milczenie. Potem głos ze strachem zapytał:

– Czy pan oszalał? Jest trzecia w nocy!

– Otwierać!

– Ao co chodzi?

– Wujek źle się czuje – powiedziałem na chybił trafił.

– Co? Niech pan poczeka, tylko włożę spodnie... Człapanie bosych nóg oddaliło się. Czekałem. Szczęk klucza w zamku, drzwi się otworzyły i dziecię stanęło na progu.

– Nie tak prędko – powiedziałem przytrzymując je za ramię. – Wejźmy na chwilę do środka...

Dziecię najwyraźniej jeszcze się nie obudziło na dobre i dlatego nie okazało zbytniego sprzeciwu. Pozwoliło zaprowadzić się do pokoju i posadzić na rozgrzebanym łóżku. Ja usiadłem w fotelu naprzeciw. Przez kilka sekund dziecię patrzyło na mnie przez swoje ogromne ciemne okulary i nagle jego różowe, pulchne wargi zadrżały.

– Tak z nim źle? – zapytało szeptem. – Niech pan nie milczy, niech pan wreszcie coś powie!

Z niejakim zdumieniem zmuszony byłem stwierdzić, że to dzikie stworzenie prawdopodobnie kocha swojego wujka i niepokoi się o niego. Wyciągnąłem papierosa i zapalając go powiedziałem:

– Wujek jest zdrow i cały. Porozmawiamy o czymś innym.

– i – Ale pan przecież powiedział...

– Nic nie mówiłem, to była mara senna. A teraz proszę mi szybko i bez ociągania powiedzieć, kiedy rozstaliście się z Olafem? Żywo!

– Z jakim Olafem? Czego pan chce ode mnie?

– Kiedy i gdzie? Prędej!

– Dziecię pokręciło głową.

– Nic nie rozumiem. Dlaczego Olaf? Co z wujkiem?

– Wujek jest zdrowy i cały. Kiedy i gdzie rozstaliście się z Olafem?

– Po co pan powtarza w kółko jedno i to samo? – rozwścieczyło się dziecię. Stopniowo wracało do normy. – I po cholere ładuje się pan do mnie w środku nocy?

– Widocznie muszę.

– A ja mam to gdzieś! Wynosić się stąd, bo zawołam wujka! Glina przeklęta!

– Dosyć tego! – wrzasnąłem. – Olafa zamordowano. Wiem, że widziano was razem, a potem już nikt nie widział Olafa żywego! Kiedy to było? Gdzie? Prędej!

– No?

Na pewno byłem straszny. Dziecię odskoczyło i obronnym ruchem wyciągnęło ręce przed siebie.

– Proszę odpowiadać – powiedziałem spokojnie. – Wyszliście razem z jadalni i poszliście... dokąd?

– D-donikąd... po prostu wyszliśmy na korytarz...

– A później?

Dziecię milczało. Siedziało nastroszone na łóżku pod wielkim, ręcznie malowanym plakatem „Będziemy okrutni” i milczało. Potem spod czarnych okularów po policzkach popłynęły łzy.

– Łzy też nie pomogą – powiedziałem zimno. – proszę mówić prawdę. Jeżeli usłyszę kłamstwa albo wykręty, to – wsadziłem rękę do kieszeni – pojedziesz do Muir i do tego w kajdankach. Tu chodzi o morderstwo. Jasne?

– Rozumiem – ledwie dosłyszalnie wyszeptało dziecko. – Powiem... Wyszliśmy na korytarz... A potem... Słabo pamiętam, mam parszywą pamięć. Olaf coś powiedział i poszedł, a ja... tego...

– No?

– Ja... ja się wstydzę – wyszeptało dziecko. – To wstrętne.

– Policja podobnie jak medycyna – oznajmiłem pouczająco czując się fatalnie głupio – nie uznaje takich pojęć jak „wstyd”.

– No dobrze – powiedziało niespodziewanie dziecko, dumnie wznosząc głowę. – Pies z panem tańczył. Powiem. To było tak. Najpierw żarciki – narzeczony i narzeczona, chłopiec czy dziewczyna... no, mniej więcej tak, jak pan... Olaf pewnie też uważał mnie nie wiadomo za co. Potem polazł z łapami. Zrobiło się nieprzyjemnie i trzeba było dać mu w mordę... w twarz...

– No? – zapytałem nie patrząc na nie.

– No i on się obraził, nawymyślał mi i poszedł sobie.

– Dokąd?

– A ja skąd mam wiedzieć? Dużo mnie to obchodzi, dokąd i po co... Poszedł korytarzem – dziecko machnęło ręką – nie wiem dokąd.

– A ty?

– A ja? Co ja? Zepsuł mi humor, obrzydliwość, nudy na pudy. Pozostało mi tylko uwalić się spać.

– Która to była godzina?

– Nie pamiętam.

– No dobrze, przypuścimy – powiedziałem. – A teraz proszę mi dokładnie opisać wszystkie swoje czynności do chwili, kiedy wyszliście z Olafem na korytarz.

– Dokładnie? – zapytało dziecko.

– Tak, ze wszystkimi szczegółami.

– Dobrze – zgodziło się dziecko pokazując drobne, ostre zęby, tak białe, że aż niebieskawe. – Było tak: kończę jeść deser, a tu przyczepia się do mnie zalany w trupa inspektor policji i truje głodne kawałki, jak to mu się podobam i względem natychmiastowych zaręczyn...

Słuchałem tego nawet nie mrugnawszy okiem. Mam nadzieję, że twarz miałem kamienną.

– Wtedy na moje szczęście – kontynuowało jadowicie dziecko – przypląwa madame

Moses i łąpczywie porywa inspektora do tańca. Oni tańczą, a ja patrzę i to wszystko bardzo mi przypomina pewną portową knajpę w Hamburgu. Potem inspektor łapie madame Moses i ciągnie ją za portierę, a to już przypomina zupełnie inną instytucję w tym samym Hamburgu. Zrobiło mi się żal inspektora bo w gruncie rzeczy niezły z niego facet, tylko że pić nie umie, a stary Moses już krwiożerczo kituje na tę portierę. Więc wstaję i zapraszam madame Moses do tańca, a inspektor cieszy się jak głupi, widać wytrzeźwiał za portierą...

– Kto wtedy był w jadalni? – zapytałem oschle.

– Wszyscy. Nie było Olafa, nie było Kaisy, a Simonet rznął w bilard. Z tej rozpacz, że inspektor odbił mu damę serca.

– Talk, proszę mówić dalej – powiedziałem.

– No więc tańczę z madame Moses, ona lepi się do mnie jak landrynka i nagle coś jej nawala w garderobie. Ach, powiada ona, pardon, zdarzyła się katastrofa. No, mnie to wisi... madame ze swoją katastrofą zasuwa na korytarz, a do mnie zaczyna się dowalać Olaf...

– Chwileczkę, kiedy to było?

– To już pardon! Zegarek mnie nie interesował.

– To znaczy, że pani Moses wyszła na korytarz?

– No, nie wiem, czy wyszła na korytarz, czy do siebie, czy do pustego pokoju, tam obok są, zdaje się, dwa puste pokoje... Ja przecież nie wiem, jaka to była katastrofa, może jej pan za portierą połamał wszystkie fiszbiny w gorsecie... Opowiadać dalej?

– Tak.

– No więc tańczymy sobie z Olafem, on mi zasuwa komplementy, że niby co za figura, jaki wdzięk i tak dalej... A potem powiada, chodźmy, mam coś ciekawego, mogę pokazać. Co mi szkodzi? Proszę, mogę iść... Tym bardziej, że w sali na nic ciekawego się nie zanoszą...

– Pani Moses była wtedy w jadalni?

– Nie, madame jest w suchym doku, w kapitalnym remoncie... No, wychodzimy na korytarz... A dalej już pan wie...

– Pani Moses już nie widzieliście?

I tu nastąpił moment wahania. Króciuteńki moment, ale ja go zauważyłem.

– N-nie – powiedziało dziecię. – Skądże? Nie mieliśmy do tego głowy.

Bardzo, ale to bardzo przeszkadzały mi ciemne okulary i postanowiłem, że przy powtórny przesłuchaniu ja te okulary zdejmę. Choćby siłą.

– A co było na dachu? – zapytałem ostro.

– Na jakim dachu?

– Na dachu hotelu – wskazałem palcem sufit. – I nie kłam, widziałem cię.

– Niech pan się każe wypchać, dobrze? – najeżyło się idziecie. – Tylko lunatycy łążą po dachach, ja nie.

– W takim razie musiał to być ktoś inny – powiedziałem pokojowo. – No dobrze. Teraz co do Hincusa. Pamiętasz go? Taki maleńki, przy obiedzie pomylił ci się z Olafem... Kiedy go widziałeś ostatni raz?

– Ostatni raz? To było chyba w korytarzu, kiedyśmy wyszli z Olafem z jadalni.

Aż podskoczyłem.

– Kiedy?!

Dziecię zaniepokoiło się.

– A bo co? – zapytało. – To przecież nic takiego... Jak tylko wyszliśmy z jadalni, patrzeć – Hincus skręca na schody...

– Masz pewność, że to był Hincus?

Dziecię wzruszyło ramionami.

– Zdawało mi się, że to Hincus... Co prawda od razu skreślił w lewo, na podest... Ale wszystko jedno... Hincus. Któż by to jeszcze mógł być? Taki maleńki, przygarbiony...

– Stop! – powiedziałem. – Ten człowiek był w futrze?

– Tak... w tym swoim śmiesznym kretyńskim futrze do pięt, a na nogach miał coś białego... A bo co? – Dziecię przeszło na szept. – To on zamordował? Tak?

– Hincus?

– Nie, nie – odparłem.

Czyżby Hincus kłamał? Czyżby to jednak była inscenizacja? Zegarek zgnieciono, przesuwając przedtem wskazówki do tyłu... A Hincus siedział pod stołem i chichotał, potem zręcznie zrobił ze mnie balona, a teraz chichoce u siebie w numerze... a jego współnik chichoce gdzie indziej. Zerwałem się.

– Proszę siedzieć tutaj – rozkazałem. – Nie waż się wychodzić z pokoju. Pamiętaj, że jeszcze z tobą nie skończyłem.

– A mogę pójść do wujka? – zapytało dziecko drżącym głosem.

Wahałem się przez chwilę, potem machnąłem ręką.

– Możesz.

Wyskoczyłem na korytarz, podbiegłem do numeru Hincusa, przekreśliłem klucz i wdarłem się do środka. Światło paliło się wszędzie – w przedpokoju, w toalecie, w sypialni. Sam Hincus, zlany potem, przykucnął za łóżkiem szczerząc zęby. Na środku pokoju leżało połamane krzesło, a Hincus trzymał w ręku jedną nogę.

– To pan? – zapytał ochryple i wyprostował się.

– Tak! – powiedziałem. Wygląd Hincusa i obłąkany wyraz przekrwionych oczu zachwiały moją pewność, że ten człowiek kłamie i udaje, ale mimo to wrzasnąłem z furii: – Znudziło mi się wysłuchiwanie bajek, Hincus! Powiedział mi pan, że pana napadli o ósmej czterdzieści. A tymczasem widziano pana w korytarzu po dziewiątej! Będzie pan mówił prawdę czy nie?

Na sekundę na twarzy jego pojawiło się zdumienie.

– Mnie? Po dziewiątej?

– Tak! Szedł pan korytarzem i skreślił pan na podest!

– Ja? – Hincus nagle zaśmiał się spazmatycznie. – Ja szedłem korytarzem? – znowu się zaśmiał, i jeszcze raz, i jeszcze, i nagle cały zatrzęsł się w piskliwym histerycznym śmiechu.

– Ja? Mnie? To jest właśnie to, inspektorze! To jest to! – powtórzył zachłystując się. – Widziano mnie w korytarzu... I ja też widziałem mnie! I ja rzuciłem się na mnie! I ja mnie związałem... I zamurowałem mnie w ścianie! Ja – mnie... Rozumie pan, inspektorze? Ja – mnie!

## Rozdział X

Zszedłem do hallu i ponuro oznajmiłem właścicielowi hotelu: – Hincus kompletnie oszalał. Czy masz jakieś silne środki uspokajające?

– Ja wszystko mam – odparł Alec.

– To się nim zajmij – powiedziałem dając mu klucz.

W głowie mi huczało. Zbliżała się za pięć czwarta. Byłem zmęczony, wściekły, a co najważniejsze nie odczuwałem żadnych myśliwskich emocji. Zbyt jasno rozumiałem, że ta sprawa przekracza moje możliwości. Żadnego przebłysku światła. Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie – im dalej, tym ciemniej. Być może w hotelu ukrywa się ktoś podobny do Hincusa? Może istotnie Hincus ma sobowtóra – niebezpiecznego gangstera, maniaka i sadystę? To by coś niecoś wyjaśniło, ale za to powstawał następny problem – gdzie i w jaki sposób sobowtór ten się ukrywa? Pal go diabli, lepiej zajmę się Mosesami.

Stary Moses nie wpuścił mnie do siebie. Kiedy zapukałem, wyszedł z nieodłącznym kubkiem w ręku, w ogromnym tureckim szlafroku i dosłownie wycisnął mnie na korytarz swoim wielkim brzuchem.

– Zamierza pan rozmawiać tutaj? – zapytałem zmęczonym głosem.

Tak, zamierzam – odparł wyzywająco i dmuchnął mi w twarz skomplikowaną mieszaniną dziwacznych zapachów. – Właśnie tu. Policjant nie ma czego szukać w domu Mosesa.

– W takim razie lepiej chodźmy do biura – zaproponowałem.

– Nno, do biura... – pociągnął z kubka. – Do biura to ewentualnie mógłbym. Chociaż nie bardzo rozumiem, na jaki temat mamy rozmawiać? Chyba nie podejrzewa mnie pan o morderstwo – mnie, Mosesa?

– Nie – odpowiedziałem – Boże broń...

W biurze posadziłem go w fotelu, sam zaś usiadłem przy biurku.

– Nie podoba mi się nasza policja – wybałuszając na mnie oczy niezwłocznie oznajmił Moses. – Nie podoba mi się ten hotel. Jakiś morderca, jakieś lawiny... psy, złodzieje, hałasy po nocach... Co to za włóczęga zagnieździł się w moim trzecim pokoju? Ja zapłaciłem za trzeci pokój! Miał pan obowiązek zapytać mnie o pozwolenie!

Nie mogłem z nim dyskutować, nie miałem sił tłumaczyć mu, że po pijanemu pomylił mnie z właścicielem hotelu. Dlatego powiedziałem po prostu:

– Administracja hotelu przeprasza pana, panie Moses, i zobowiązuje się już jutro przywrócić status quo.

– Może i nieboszczyk zmartwychwstanie? – jadowicie zainteresował się wstrętny dziadyga. – Może pan mi to również obieca? Ja jestem Moses, mój panie!

– Albert Moses! Nie jestem przyzwyczajony do tych wszystkich nieboszczyków, psów, upiórów i lawin...

Siedziałem z zamkniętymi oczyma i czekałem.

– Nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby ktoś w grodku nocy włąził do mojej żony – kontynuował swoje wywody pan Moses. – Nie jestem przyzwyczajony do przegrywania co wieczór trzystu koron do jakichś wędrownych magików, którzy udają arystokratów... Ten Barl... Barl... To zwyczajny szuler! Moses nie siada do stolika z szulerami! Moses, to jest Moses, mój panie!

Jeszcze długo warczał, syczał, głośno siorbał, czał i sapał, ja zaś na całe życie zapamiętałem sobie, że Moses – to Moses, Albert Moses, mój panie, i że Moses nie przywykł

do tego i do tamtego, do przeklętego śniegu, wręcz przeciwnie, przywykł do tego i do owego, do kąpieli z dodatkiem sosnowego ekstraktu, mój panie... Siedziałem z zamkniętymi oczyma i żeby się lepiej wyłączyć próbowałem wyobrazić sobie, jak Moses kładzie się spać nie wypuszczając z ręki swego kubka, jak chrapiąc i pogwizdując przez nos pieczołowicie trzyma go przed sobą, jak od czasu do czasu pociąga z niego nie przerywając snu... Potem zapadła cisza.

– A więc tak to jest, inspektorze – powiedział pan Moses i wstał. – Niech pan sobie dobrze zapamięta to wszystko, co panu powiedziałem, i niech to będzie dla pana nauczka na całe życie. Dobranoc.

– Chwileczkę – zatrzymałem go. – Dwa nieistotne pytania...

Moses z oburzeniem otworzył już usta, ale ja byłem czujny i nie dopuściłem do tego, aby zaczął mówić.

– O której mniej więcej wyszedł pan z jadalni?

Mniej więcej – kwiknął Moses. – I w taki sposób ma pan zamiar złapać mordercę? Mniej więcej... Być może jednak pozwoli mi pan usiąść – zainteresował się jadłowicie.

– Tak, oczywiście, przepraszam pana.

– Dziękuję panu, inspektorze – oświadczył jeszcze jadłowicie i usiadł. – A więc ja wraz z panią Moses – do której pokoju w sposób wysoce nieprzyzwoity wdarł się pan dzisiejszej nocy, zresztą całkowicie bezprawnie, do tego nie sam, i bez pukania, nie wspominam już o urzędowym nakazie albo o czymś w tym rodzaju – rzecz jasna nie mamy powodu oczekiwać od dzisiejszej policji zachowywania takich subtelności prawnych, jak przestrzeganie prawa każdego uczciwego człowieka do przebywania w swoim domu jak w twierdzy, szczególnie, mój panie, kiedy chodzi o kobietę, o żonę, mój panie, o żonę Mosesa, Alberta Mosesa, inspektorze!

– Tak, tak, istotnie zachowałem się nierozważnie – powiedziałem. – Proszę przyjąć ode mnie i przekazać również pani Moses wyrazy ubolewania z powodu tego pożałowania godnego wypadku.

– Nie mogę przyjąć pańskich przeprosin, inspektorze, do chwili, w której nie będę miał całkowitej jasności, co za człowiek został ulokowany w trzecim wynajętym przeze mnie pokoju, na jakiej podstawie ulokowany został w pokoju graniczącym z pokojem mojej małżonki i dlaczego pilnuje go pies?

– My sami nie wiemy jeszcze dokładnie, co to za człowiek – powiedziałem i znowu przymknąłem oczy. – Wiemy, że uległ katastrofie samochodowej, że to kaleka bez jednej ręki i że teraz śpi. Jak tylko jego tożsamość zostanie stwierdzona, natychmiast zostanie pan o tym powiadomiony – otworzyłem oczy. – A teraz powróćmy do chwili, kiedy pan wraz z małżonką opuścił jadalnię. Która to była godzina?

Moses podniósł kubek do ust i popatrzył na mnie groźnie.

– Przyjmuję pańskie wyjaśnienia – oznajmił. – Mam nadzieję, że dotrzyma pan swojej obietnicy i natychmiast mi zamelduje... – upił nieco. – A więc ja i moja żona wstaliśmy od stolika i opuściliśmy jadalnię mniej więcej... – zmrzążył oczy złośliwie i powtórzył: – mniej więcej, inspektorze, o dwudziestej pierwszej trzydzieści trzy z sekundami, według miejscowego czasu!

– Jest pan zadowolony? Znakomicie! Niech pan zadaje drugie i mam nadzieję ostatnie pytanie.

– Jeszcze niezupełnie skończyliśmy z pierwszym – pohamowałem go. – Wyszedł pan z sali o dwudziestej pierwszej trzydzieści trzy. A potem?

– Potem? Potem poszedłem do siebie, natychmiast rozebrałem się i położyłem spać. I spałem dopóty, dopóki nie zaczęły się te niedopuszczalne hałasy w należącem do mnie trzecim pokoju. Tylko wrodzone opanowanie i świadomość tego, że nazywam się Moses...

– Tak, tak, oczywiście – powiedziałem pospiesznie. – Jeszcze jedno, ostatnie już pytanie, panie Moses.

– Ostatnie! – powiedział Moses groźnie potrząsając wskazującym palcem.

– Czy nie zauważył pan, o której mniej więcej pani Moses wychodziła z jadalni?

Nastąpiła przerażająca pauza. Moses wybałuszając na mnie mętne ślepiea stopniowo fioletował.

– Zdaje mi się, iż śmie pan przypuszczać, że żona Mosesa ma coś wspólnego z morderstwem? – zapytał zdławionym głosem. Rozpaczliwie pokręciłem głową, ale nic mi to nie pomogło. – I, zdaje się, śmie pan liczyć na to, że Moses w tej sytuacji będzie składał jakiegokolwiek zeznania? Albo może, mój panie...

Zamknąłem oczy. W przeciągu następnych pięciu minut usłyszałem masę najstraszliwszych przypuszczeń, dotyczących moich zamiarów oraz moich zamysłów skierowanych przeciwko godności, czci oraz majątkowi Mosesa, jak również przeciwko fizycznemu bezpieczeństwu Mosesa, mój panie, nie jakiegoś zapchlonego psa, ale Mosesa, Alberta Mosesa, mój panie, pan jest to w stanie zrozumieć czy nie?... Potem Moses nagle przerwał, odczekał aż otworzę oczy i powiedział z nieopisaną pogardą:

– Zresztą to śmieszne – przypisywać takiej marnej kreaturze tak podstępne zamiary. Śmieszne i niezgodne Mosesa. Przyjmuję pańskie przeprosiny, inspektorze, i mam honor pożegnać pana. Mało tego. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności... Rozumiem, że nie będzie pan miał dość taktu, aby zostawić w spokoju moją żonę i nie zadrećcać jej swymi głupimi pytaniami. Dlatego pozwalam panu zadać jej te pytania – nie więcej niż dwa, mój panie! W mojej obecności. I to natychmiast. Proszę za mną.

Triumfując wewnętrznie poszedłem za Moresem. Stary zapukał do drzwi swojej żony, a kiedy usłyszał odpowiedź, zgrzytliwie zagruchał:

– Można cię odwiedzić, najdroższa? Nie jestem, sam.

Najdroższą można było odwiedzić. Najdroższa w tej samej co poprzednio pozie spoczywała pod lampą, teraz już całkowicie ubrana. Powitała nas swoim czarującym uśmiechem. Stary grzyb podreptał do żony i ucałował jej rękę – w tym momencie przypomniałem sobie, że Alec twierdził, jakoby Moses bił żonę pejczem.

– To inspektor, najdroższa – wyskrzypiał Moses zwałając się na fotel. – Pamiętasz inspektora?

– Ach, jakże mogłabym zapomnieć naszego miłego pana Glebsky'ego? – odezwała się piękna pani. – Pan będzie łaskaw usiąść, inspektorze. Uroczą noc, nieprawdaż? Ileż w niej poezji.

Usiadłem na krześle. Miałem tego po dziurki w nosie. Basta, pomyślałem. Do diabła z nimi.

– Proszę pani – powiedziałem oschle. – Śledztwo ustaliło, że wczoraj mniej więcej o wpół do dziewiątej opuściła pani jadalnię. Pani, oczywiście, potwierdza to?

Stary z oburzeniem poruszył się w swoim fotelu, ale pani Moses była szybsza.

– Rozumie się, że potwierdzam – odpowiedziała. – Z jakiej racji miałabym zaprzeczać? Miałam powód, żeby wyjść, więc wyszłam.

– O ile dobrze rozumiem – mówiłem dalej – przyszła pani do swego pokoju, a parę minut po dziewiątej znowu wróciła pani do jadalni? Czy tak było?

Tak, oczywiście. Co prawda nie jestem zupełnie pewna, czy to działo się właśnie o tej godzinie, nie patrzyłam na zegarek... Ale najprawdopodobniej było właśnie tak.

– Chciałbym bardzo, aby pani sobie przypomniała, czy widziała pani kogoś wychodząc z jadalni i wracając do jadalni.

– Tak... wydaje mi się – powiedziała pani Moses. Zmarszczyła czołko, a ja czekałem w napięciu. – Ależ tak, oczywiście! – zawołała. – Kiedy już wracałam, zobaczyłam w korytarzu parę...

– Gdzie? – zapytałem szybko.

– No... od razu na lewo, przy podeście. To był nasz biedny Olaf i to zabawne stworzenie... nie wiem, chłopiec czy dziewczyna... A jak ty sądzisz, Albercie?

– Chwileczkę – przerwałem jej. – Czy jest pani pewna, że stali na lewo od podestu?

– Jestem tego najzupełniej pewna. Stali trzymając się za ręce i bardzo miło ze sobą rozmawiali. Rzecz jasna udałam, że ich nie zauważyłam...

Oto króciutkie wahanie Brune. Dziecię przypomniało sobie, że ktoś ich widział przed drzwiami Olafa, nie zdążyło nic wymyślić i zełgało licząc, że łgarstwo się nie wyda.

– Jestem kobietą, inspektorze – mówiła dalej pani Moses. – I nigdy nie wtrącam się w cudze sprawy. W innych okolicznościach nie usłyszałby pan ode mnie ani słowa, ale teraz, jak mi się wydaje, jestem zobowiązana, zmuszona nawet do szczerości... Nieprawdaż, Albercie?

Moses w fotelu zamruczał niewyraźnie.

– I jeszcze jedno – powiedziała pani Moses. – Ale to pewnie nie ma większego znaczenia... Kiedy schodziłam na dół, spotkałam na schodach tego maleńkiego, nieszczęsnego człowieczka...

– Hincusa – powiedziałem ochryple i odkaslnąłem. Coś mi uwięzło w gardle.

– Tak, Hincusa... Zdaje się, że tak brzmi jego nazwisko... A wie pan, inspektorze, on ma gruźlicę. A nie wygląda na to, prawda?

– Przepraszam – powiedziałem. – Kiedy pani spotkała Hincusa, szedł po schodach na górę?

– Nawet dla policjanta powinno to być jasne – z rozdrażnieniem zaryczał Moses. – Moja żona wyraźnie powiedziała, że schodziła na dół. To znaczy, że ten człowiek szedł na górę...

– Nie gniewaj się, Albercie – łagodnie powiedziała pani Moses. – Inspektora po prostu interesują szczegóły... Tak, inspektorze, szedł na górę, najwidoczniej z hallu. Minęliśmy się i każde z nas poszło w swoją stronę.

– Jak był ubrany Hincus?

– Okropnie! Jakieś koszmarnie futro... Zalatywało od niego, przepraszam za wyrażenie, psem... mokrą sierścią... Nie wiem, jak pan, inspektorze, ale ja uważam, że jeżeli człowieka nie stać na przyzwoite ubranie, to powinien siedzieć w domu i oszczędzać, a nie przyjeżdżać tam, gdzie bywają ludzie z towarzystwa.

I niektórym innym również bym doradził, żeby siedzieli w domu – zawarczał znad swego kubka Moses – a nie pchali się tam, gdzie przyjeżdżają ludzie z towarzystwa. No co, inspektorze, skończył pan nareszcie?

– Nie, jeszcze niezupełnie – powiedziałem powoli. – Jeszcze jedno pytanie... Kiedy pani po balu wróciła do siebie, zapewne położyła się pani spać i twardo zasnęła?

– Twardo zasnęłam?... Jakby to panu powiedzieć?... Tak, zdrzemnąłam się na chwilę...

– I, jak przypuszczam, coś panią obudziło? Przecież kiedy nieco później tak

nietaktownie wtargnąłem do pani pokoju – proszę mi wybaczyć moje niestosowne zachowanie – nie spała pani...

– Ach, o to panu chodzi... Nie spałam... Tak, istotnie nie spałam, ale nie mogę powiedzieć, inspektorze, żeby mnie coś obudziło. Po prostu czułam, że dzisiejszej nocy nie uda mi się zasnąć jak należy i postanowiłam trochę poczytać... Zresztą jeżeli chciał się pan ode mnie dowiedzieć, czy słyszałam w nocy jakieś podejrzone hałasy, to mogę oświadczyć stanowczo – nie, nie słyszałam.

– Nic pani nie słyszała? – zdziwiłem się.

– Pani Moses, jak mi się wydało, spojrzała na męża. Nie spuszczałem z niej oczu, Zdaje mi się, że nie – powiedziała niepewnie. – A ty, Albercie?

– Absolutnie nic – stanowczo powiedział Moses. – Jeżeli nie liczyć niedopuszczalnego hałasu, jaki zrobili ci panowie...

– I żadne z was nie słyszało nawet łoskotu lawiny?

– Jakiej lawiny? – zdziwiła się pani Moses.

– Nie denerwuj się, najdroższa – powiedział Moses. – To nic strasznego. Niedaleko w górach zeszła lawina, opowiem ci o tym później... No, inspektorze, może już wystarczy?

– Tak – powiedziałem. – Teraz już wystarczy. – Wstałem. – Jeszcze jedno, tym razem już naprawdę ostatnie pytanie. Dziś w ciągu dnia, niedługo przed obiadem, szła pani na dach...

Pani Moses roześmiała się i przerwała mi.

– Nie, nie wchodziłam na dach. Szłam z hallu na piętro i na skutek roztargnienia w zamyśleniu poszłam wyżej po tych okropnych schodach. Poczułam się głupio, kiedy zobaczyłam nagle przed sobą drzwi, defki... nawet nie od razu zrozumiałam, gdzie jestem...

Miałem ogromną ochotę zapytać ją, w jakim właściwie celu weszła na pierwsze piętro. Zupełnie nie mogłem sobie wyobrazić, czego szukała pani Moses na pierwszym piętrze, chociaż można było przypuścić, że chodziło o amory z Simonetem, w które przypadkowo się włączyłem. Ale właśnie spojrzałem na starego i wszystko wyleciało mi z głowy. Na kolanach Mosesa leżał pejcz – posepny, czarny, z grubym trzonkiem i mnóstwem plecionych rzemyków, w których połyskiwał metal. Wstrząśnięty odwróciłem oczy.

– Dziękuję pani – mruknąłem. – Okazała pani wielką pomoc śledztwu.

Czułem beznadziejne zmęczenie i ledwie dowlokłem się do hallu. Usiadłem obok Aleca, żeby odpocząć. Okropny pejcz ciągle jeszcze stał mi przed oczami, pokręciłem głową i z trudem odegnałem od siebie ten obraz. To nie moja rzecz. To ich prywatna sprawa, nic mi do tego... Oczy mnie piekły, jakbym miał pod powiekami piasek. Na pewno powinienem pospać choćby ze dwie godziny, ale czułem, że teraz nie usnę. Po hotelu *włóczą* się sobowtóry Hincusa. Latorośl du Barnstoekre'a łąze. A i z panią Moses nie wszystko jest jasne. Albo spała jak zabita, a w takim razie nie wiadomo, dlaczego się obudziła i dlaczego kłamie, że prawie nie spała. Albo nie spała i w takim razie również nie wiadomo, dlaczego nie słyszała lawiny i krzątany w sąsiednim pokoju. A już całkowicie niepojęta jest przygoda Simoneta... Jak by postąpił na moim miejscu Segut? Natychmiast wybrałby sobie wszystkich, którzy mają dosyć siły, żeby skrócić kark dwumetrowemu wikingowi i zająłby się wyłącznie nimi. Ja zaś zawracam sobie głowę latoroślą albo tym zasmarkanym schizofrenikiem Hincusem...

Spojrzałem na właściciela hotelu. Pracowicie naciskał klawisze arytmetru i wpisywał coś do księgi buchalteryjnej.

– Słuchaj, Alec – powiedziałem. – Czy w twoim hotelu może się ukryć talk, żeby go nikt nie zauważył, sobowtór Hincusa?

Cenevert uniósł głowę i spojrział na mnie.

– Akurat Hincusa? – zapytał rzeczowo.

– Tak. Właśnie sobowtór Hincusa. W twoim hotelu przebywa sobowtór Hincusa. I zwracam ci uwagę, że nie płaci za pobyt. Zapewne kradnie jedzenie, pomyśl o tym, Alec!

Właściciel zamyślił się.

– Nie wiem – powiedział. – Nic takiego nie zauważyłem. Czuję tylko jedno, Peter. Jesteś w błędzie. Badasz alibi, zbierasz poszlaki, szukasz motywów. A mnie się wydaje, że w tej sprawie normalne metody waszej pracy tracą sens, podobnie jak pojęcie czasu przy prędkościach ponadświatlnych.

– To są twoje wrażenia? – zapytałem gorzko.

– Co masz na myśli?

– Tę całą twoją filozofię w związku z alibi przy ponadświatlnych prędkościach. Mnie już głowa puchnie, a ty mi opowiadasz diabli wiedzą co. Już lepiej daj mi kawy.

Alec wstał.

– A jednak jeszcze nie dojrzałeś, Peter – powiedział. – A ja czekam, kiedy wreszcie dojrzejesz.

– Po co ci to potrzebne? Już dojrzałem, przejrzałem i niedługo spadnę.

– Nie spadniesz! – uspokoił mnie właściciel hotelu. – I jeszcze daleko ci do dojrzałości. A ja chcę doczekać chwili, kiedy moje słowa wydadzą ci się jedynym kluczem do zrozumienia tej sprawy.

– O Boże! – mruknąłem. – Wyobrażam sobie, co to za słowa!

Alec uśmiechnął się pobłaźliwie i ruszył do kuchni. Na progu zatrzymał się.

– A chcesz, powiem ci, co się przywidziało naszemu zwariowanemu fizykowi?

– No, spróbuj.

– Nasz zwariowany fizyk władował się do łóżka pani Moses i znalazł tam zamiast żywej kobiety martwy manekin. Lalkę, Peter, zimną lalkę.

## Rozdział XI

Ciągle jeszcze stał w progu i spoglądał na mnie z uśmiechem.

– Ano, wracaj – powiedziałem. – Opowiadaj.

– A kawa?

– Pał diabli kawę! Widzę, że ty coś wiesz. Nie zawracaj mi głowy, tylko mów, jak sprawa wygląda.

Alec wrócił do stolika, ale nie usiadł.

– Nie wiem, jak sprawa wygląda – powiedział. – Mogę tylko snuć pewne przypuszczenia.

– Skąd wiesz, co znalazł Simonet?

– Aha, więc zgadłem... – Wygodnie usadowił się w fotelu. – Przyznaj, że wypadło to efektownie...

– Słuchaj, Alec – powiedziałem. – Nie będę ukrywał, podobasz mi się.

– Ty mi się również podobasz – powiedział właściciel.

– Zamknij się. Podobasz mi się. Ale to jeszcze nic nie znaczy. Nie podejrzewam cię, Alec. Niestety, nie mam żadnych podstaw, żeby cię podejrzewać... A już pora, już najwyższy czas, żeby zacząć kogoś podejrzewać... A więc jeżeli będziesz zawracać mi głowę, to zacznę podejrzewać ciebie. I będziesz miał nieprzyjemności, Alec.

Jestem bardzo niedoświadczony w tego rodzaju sprawach i dlatego możesz mieć wyjątkowo duże nieprzyjemności... Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, na jakie nieprzyjemności może narazić przyzwoitego obywatela niedoświadczony policjant.

– No, jeśli tak – powiedział właściciel – to oczywiście. W takim razie zaraz przyniosę ci kawy i opowiem o niektórych swoich wrażeniach.

Dopóki Alec zajmował się kawą, leżałem w fotelu z zamkniętymi oczyma i zastanawiałem się, czy mogę chwilowo plunąć na to wszystko i przespać się jakie trzy godziny. Potem zapachniało kawą i Alec powiedział „proszę”. Wziąłem filiżankę, upiłem łyk i spod oka spojrzałem na Aleca. Siedział już w swoim fotelu i też trzymał w ręku parującą filiżankę – krępy, szeroki w barach. Tylko patrzeć, jak przemówi głuchym głosem.

– Mów – powiedziałem.

– A więc tak – zaczął właściciel. – O ile dobrze rozumiem, mam teraz odpowiedzieć na pytanie: skąd wiedziałem, co zobaczył pan Simonet w sypialni pani Moses... – Wypił trochę kawy i z rozkoszą oblizwał wargi. – A więc tak. Zaczniemy od teorii. Czarownicy i znachorzy niektórych mało zbadanych plemion Afryki Równikowej z dawien dawna posiadają sztukę przywracania pozoru życia zmarłym współplemieńcom...

Jęknąłem, właściciel podniósł nieco głos.

– Takie jak najbardziej realne zjawisko. Zmarły, który sprawia wrażenie człowieka żyjącego i na pierwszy rzut oka zachowuje się całkowicie sensownie, jest w stanie wykonywać samodzielnie różne czynności – nazywa się „zombi”. Można powiedzieć, że zombi – to trzeci stan żywego organizmu. A używając terminologii naukowej, to funkcjonalnie zombi jest bardzo precyzyjnym mechanizmem biologicznym, który wykonuje...

– Słuchaj, Alec – powiedziałem z udreką. – Ja oglądam telewizję i od czasu do czasu chodzę do kina. Wszystkie te potwory, Frankenstein, Szare Dziewice, John Bloody Bladder, Dracula...

– Wszystkie to są plody wyobraźni prymitywnych ciemniaków – z godnością powiedział właściciel hotelu. – A Dracula, to już w ogóle...

– To wszystko mnie nie interesuje – powiedziałem. – Rozumiem cię, urządzasz próbę generalną przed rozmową z dziennikarzami. Ale minie to nie dotyczy. Obiecałeś powiedzieć mi coś ciekawego o pani Moses i o Simonecie. Więc opowiadaj. Co, może też wlałeś do jej łóżka? I też, mówiąc delikatnie, zawiodłeś się?

Alec przez jakiś czas patrzył na mnie ze smutkiem.

– Tak – powiedział wreszcie z żalem. – Tak właśnie myślałem. Jeszcze nie dojrzałeś... No dobrze – westchnął. – Niech będą same fakty, bez teorii. Sześć dni temu, kiedy mój hotel zaszczytliwi swoim przyjazdem państwo Moises, przydarzyła mi się następująca przygoda. Kiedy dokonałem niezbędnych adnotacji w paszportach wyżej wymienionych, udałem się do numeru pana Mosesa w celu zwrócenia mu paszportów. Zapukałem. Byłem nieco zamyślony i dlatego nie czekając na pozwolenie otworzyłem drzwi. I zostałem niezwłocznie ukarany za naruszenie elementarnych zasad dobrego wychowania. Zobaczyłem mianowicie w fotelu na środku pokoju coś, co przy dobrej woli można by nazwać panią Moses. Nie była to jednak pani Moses. Była to naturalnej wielkości piękna lalka, bardzo podobna do pani Moses i ubrana identycznie jak ona. Następnie zostałem brutalnie złapany za ramię i wyrzucony na korytarz. To była gwałtowna acz całkowicie usprawiedliwiona reakcja pana Mosesa, który w tym czasie najwidoczniej oglądał apartamenty swojej małżonki i zaatakował mnie od tyłu...

– Lalka – powiedziałem w zamyśleniu.

– Zombi – poprawił mnie właściciel hotelu.

– Lalka... – powtórzyłem nie zwracając na niego uwagi. – Jaki bagaż ma Moses?

– Kilka zwyczajnych walizek – powiedział Alec. – I gigantyczny, okuty żelazem staromodny kufer. Przyjechało z nim czterech tragarzy, którzy dobrze się namordowali, zanim wtaszczyli ten kufer do domu. Rozwalili mi całą futrynę...

– No cóż – powiedziałem po chwili namysłu. – W końcu to jego prywatna sprawa. Słyszałem o milionerze, który wszędzie woził ze sobą kolekcję nocników... Jeżeli człowiek ma ochotę wozić ze sobą naturalnej wielkości manekin swojej żony... Nawiasem mówiąc zupełnie możliwe, że Moses zauważył zaloty naszego Simoneta i podsunął mu zamiast żony tę lalkę... Do diabła, a może w ogóle on wozí ze sobą ten manekin właśnie w takich celach! – Wyobraziłem sobie siebie na miejscu Simoneta i wzdrygnąłem się. – Jak Boga kocham, wyśmienity dowcip – powiedziałem.

– No i wszystko stało się jasne – powiedział właściciel.

Nie spodobał mi się jego ton. Przez jakiś czas patrzyliśmy na siebie. Alec ciągle jeszcze był mi sympatyczny. Ale u diabła, po co mu to było potrzebne – ta cała gadanina, te afrykańskie brednie? Przecież nie jestem reporterem i nie mam zamiaru reklamować tego hoteliku... Nie, wystarczy. Więcej na te tematy z panem Alecem Cenevert nie rozmawiam. Jeżeli ma na celu zabicie mnie z pantaląku, to mu się nie uda.

– Tak – powiedziałem – przeszkadzasz mi, Alec. Siedź tu, a ja pójdę do salonu. Muszę się dobrze zastanowić.

– Jest już za piętnaście piąta – przypomniał właściciel.

– No to co? Spać i tak dzisiaj nie będziemy. I weź pod uwagę, że bynajmniej nie odnoszę wrażenia, jakoby na tym miało się skończyć. Dlatego zostań w hallu i bądź czujny.

– No cóż, jak trzeba, to trzeba – powiedział Alec.

Poszedłem do salonu (Lelle znowu na mnie zawarczał), wziąłem pogrzebacz i rozgarnąłem węgiel. Tak więc historia z Simonetem mniej więcej się wyjaśniła i można o niej zapomnieć. Albo przeciwnie – w żadnym razie nie należy o niej zapominać, bo jeżeli o jedenastej wieczorem w pokoju pani Moses był manekin, to gdzie była sama pani Moses?

Dowcip rzeczywiście wyśmienity... Ale może nieco przyciężki... I czy to w ogóle dowcip? A może próba zapewnienia alibi? Nie, bzdura, jakie u diabła alibi – noc, ciemno, stwierdzić to alibi można tylko po omacku, a po omacku okazuje się, że to nie alibi, tylko dowcip... A właściwie co mnie tu niepokoi? Tylko jedno – pokój Simoneta sąsiaduje z pokojem Olafa. Można na przykład założyć, co następuje: Moisesom zależało, żeby pokój Simoneta przez jakiś czas, poczynając od jedenastej, był pusty. To właśnie mnie niepokoi. Ale żeby zająć czas panu Simonet, niepotrzebna jest lalka, wystarczyłaby sama pani Moses. To byłoby najnaturalniejsze i najpewniejsze. A jeśli uciekają się do takiego niepewnego i nienaturalnego sposobu jak lalka, to znaczy, że zależało im na tym, żeby pani Moses znajdowała się zupełnie gdzie indziej... Pani Moses... delikatna, rozpieszczona, światowa aż do zidiocenia pani Moses... Nie, to mnie donikąd nie zaprowadzi... Zupełnie zapominać o wyśmienitym dowcipie nie należy, ale też żadnych korzyści z tej historii chwilowo nie widać...

Wyjątkowo obrzydliwa sytuacja – wszystkie nici prowadzą donikąd. Po pierwsze: nie ma ani jednego podejrzanego. Po drugie: zupełnie niezrozumiałe jest, w jaki sposób popełniono przestępstwo. Sama istota sprawy jest niezrozumiała. Bóg z nim, z mordercą. Wytlumaczcie mi, jak on to zrobił?! Jak? Okno otwarte, ale nie ma żadnych śladów na parapecie, żadnych śladów na śniegu, ani na gzymsie. Ani z dołu, ani z lewej, ani z prawej strony nie można się dostać do okna. Pozostaje ostatnia możliwość – od góry. Z dachu po linie. Ale wtedy byłyby ślady na brzegu dachu. Można oczywiście iść i jeszcze raz obejrzeć dach, ale przecież dobrze pamiętam – śnieg jest zdeptany tylko obok leżaka Hincusa. Teraz nie pozostaje już nic innego oprócz Karlssona ze śmigłem w zadku. Wleciał, skręcił rodakowi kark i odleciał... W rezerwie zostały mi więc tylko dwie dość beznadziejne hipotezy. Pierwsza – różne tam ukryte włazy, potajemne drzwi i podwójne ściany. A druga – jakiś geniusz wynalazł urządzenie pozwalające przekręcać klucz z zewnątrz, nie pozostawiając na nim żadnych śladów...

Obie hipotezy wskazują wprost na właściciela hotelu, mechanika-wynalazcę. Tak. A jak wygląda alibi tego człowieka? Do dziewiątej trzydzięci nieprzerwanie siedzi przy zielonym stoliku. Poczynając mniej więcej od za pięć dziesiąta do chwili znalezienia trupa praktycznie znajduje się w zasięgu mego wzroku albo słuchu. Na morderstwo zostaje mu w przybliżeniu dwadzieścia do dwudziestu pięciu minut, kiedy nie widzi go nikt albo też widzi go tylko Kaisa, którą według jego własnych słów sztorcuje za powolną obsługę. To oznacza, że teoretycznie właściciel hotelu może być mordercą, jeżeli zna potajemne przejście, albo jeżeli posiada umiejętności przekręcania klucza z zewnątrz bez pozostawiania śladów. Niezrozumiałe motywy (przecież nie dla reklamy). Psychologicznie też całkowicie nieuzasadnione jest jego późniejsze zachowanie. Ale, powtarzam, teoretycznie Alec mógł zamordować. Zapamiętajmy to sobie i idźmy dalej.

Du Barnstockre. Nie ma alibi. Ale to cherlawy starzec i po prostu nie starczyłoby mu siły, żeby skręcić komuś kark. Simonet. Też nie ma alibi. Skręcić kark mógłby, to silny mężczyzna i *do* tego lekko stuknięty.

Niezrozumiałe, jak się dostał do pokoju Olafa? A jeżeli się dostał, to jak stamtąd wyszedł? Teoretycznie mógł, rzecz jasna, przypadkowo odkryć te hipotetyczne tajne drzwi. Niezrozumiałe są motywy, niezrozumiałe jego zachowanie po morderstwie. Wszystko niezrozumiałe. Hincus... Sobowtór Hincusa... Może napić się jeszcze kawy?... Może plunąć na wszystko i położyć się spać?...

Brune. Tak, to jedyna nitka, która się jeszcze nie zerwała. To dziecko skłamało. Dziecko widziało panią Moses, a powiedziało, że jej nie widziało. Dziecko flirtowało z Olafem pod

drzwiami jego pokoju, ale powiedziało, że dało mu w mordę pod drzwiami jadalni... I teraz nagle przypomniałem sobie. Siedziałem tu, w tym fotelu. Podłoga zadrżała, usłyszałem łoskot lawiny. Spojrzałem na zegarek, było dwie minuty po dziesiątej i wtedy na górze trzasnęły drzwi. Właśnie na górze. Ktoś z całej siły trzasnął drzwiami. Kto? Simonet wtedy się golił. Du Barnstockre spał i możliwe, że właśnie to trzaśnięcie go obudziło. Hincus leżał związany pod stołem. Alec i Kaisa byli w kuchni. Mosesowie byli u siebie. To znaczy, że drzwi mógł zatrzaskać albo Olaf, albo Brune, albo morderca. Na przykład sobowtór Hincusa. Rzuciłem pogrzechacz i pobiegłem na górę.

Pokój latorośli był pusty, więc zapukałem do du Barnstockre'a. Dziecię z głową wspartą na pięściach smętnie siedziało przy stole. Du Barnstockre otulony w szkocki pled drzemał w fotelu przy oknie. Oboje aż podskoczyli, kiedy wszedłem.

– Zdjąć okulary! – ostro przykazałem latorośli, a latorośl natychmiast usłuchała.

Tak, to była dziewczyna. W dodatku prześliczna, chociaż oczy miała opuchnięte i zaczerwienione od łez. Usiadłem naprzeciw niej i powiedziałem:

– Słuchaj uważnie, Brune. Dziesięć po dziesiątej pani Moses widziała was, ciebie i Olafa, pod drzwiami jego pokoju. Powiedziałaś mi nieprawdę. Nie rozstaliście się z Olafem pod drzwiami jadalni. Gdzie się z nim rozstałaś? Gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach?

Przez jakiś czas Brune wpatrywała się we mnie i wargi jej drżały, zaczerwienione oczy znowu napelniły się łzami. Potem ukryła twarz w dłoniach.

– Byliśmy u niego w pokoju – powiedziała. Du Barnstockre jęknął żałośnie.

– Nie ma co jęczeć, wujku! – powiedziała Brune, niezwłocznie wpadając w furję. – Nic takiego się nie stało. Całowaliśmy się i było bardzo wesoło, tyle że zimno, bo przez cały czas w pokoju było otwarte okno. Olaf miał coś w rodzaju naszyjnika, jakieś korale, i bez przerwy chciał mi je włożyć na szyję, ale nagle rozległ się łoskot, powiedziałam: „Niech pan posłucha – lawina”. Wtedy on mnie puścił i złapał się za głowę, jakby sobie coś przypomniał... Wie pan, jak ludzie łapią się za głowę, kiedy przypominają sobie o czymś ważnym... To trwało dosłownie kilka sekund. Olaf rzucił się do okna, ale natychmiast zawrócił, złapał mnie za ramię i dosłownie wyrzucił na korytarz. Mało się nie przewróciłam, a on od razu z całej siły zatrzaskał za raną drzwi. I nic przy tym nie mówił, tylko zaklął szeptem... Pamiętam jeszcze, jak przekręcił klucz w zamku. Więcej go nie widziałam, wściekłam się nieprzytomnie i poszłam spać...

– Tak – powiedziałem. – Olaf złapał się za głowę, jakby sobie coś przypomniał i rzucił się do okna... Może go ktoś zawołał...

Brune pokręciła głową.

– Nie. Słyszałam tylko łoskot lawiny.

– I od razu odeszłaś? Nie zatrzymałaś się przed drzwiami ani na sekundę?

– Nie. Byłam potwornie wściekła.

– Co się działo po tym, jak wyszliście razem z jadalni? Proszę powtórzyć.

– Olaf powiedział, że chce mi coś pokazać – zaczęła Brune pochyliwszy głowę. – Wyszliśmy na korytarz i on zaciągnął mnie do swojego pokoju. Ja się oczywiście opierałam... w ogóle wygłupialiśmy się. Potem, kiedy już staliśmy pod jego drzwiami...

– Stop. Mówiłaś, że widzieliście Hincusa.

– Tak, widzieliśmy. Od razu jak tylko wyszliśmy na korytarz, akurat skręcał z korytarza na schody.

– Tak. Proszę mówić dalej.

– Kiedy już staliśmy pod drzwiami Olafa, objawiła się ta Mosesowa. Oczywiście udała,

że nas nie zauważyła, ale mnie się zrobiło nieprzyjemnie. To obrzydliwe, kiedy się tacy różni kręcą i gapią na ciebie. Nno... i poszliśmy do pokoju Olafa.

Rozumiem. – Spojrzałem na du Barnstockre’a. Starzec siedział wzniosłszy oczy ku niebiosom. Dobrze mu tak. Ci wujaszkwowie wiecznie sobie wyobraza ą, że pod ich skrzydłami wyrastają aniołki. Tymczasem aniołeczki podrabiają podpisy na wekslach. – No dobrze. Piliście coś u Olafa?

– Ja?

– Interesuje mnie, czy Olaf coś pił.

– Nie. Ani on, ani ja. Nic nie piliśmy.

– Istnieje przypuszczenie, że Olafa przed zamordowaniem otruto powoli działającą trucizną. Czy zauważyłaś coś, co potwierdzałoby takie przypuszczenie?

– A co mogłam zauważyć?

– Zwykle widać, że człowiek źle się czuje – wyjaśniłem. – Zwłaszcza jeżeli mu się pogarsza w twojej obecności.

– Niczego takiego nie było – stanowczo powiedziała Brune. – Olaf czuł się znakomicie.

– A czy nie powiedział czegoś, co wydałoby ci się dziwne?

– W ogóle nic nie pamiętam – odparła cicho Brune. – To była taka sobie gadka-szmatka. Dowcipy, złośliwości... O motocyklach rozmawialiśmy i o nartach. Moim zdaniem Olaf był świetnym mechanikiem. Pierwszorzędnie znał się na silnikach.

– Kiedy zeszła lawina, siedzieliście czy staliście?

– Staliśmy. Przy samych drzwiach.

– Jesteś pewna, że wtedy właśnie pobiegł do okna?

– N-no... jakby to panu powiedzieć... Złapał się za głowę, odwrócił do mnie plecami i zrobił krok albo dwa w kierunku okna... A może nie do okna, ale ja po prostu niczego poza oknem w pokoju nie widziałam...

– Czy Olaf przesunął jakieś meble?

Meble? Ach tak, było coś takiego. Powiedział, że pinie nie wypuści i przysunął fotel do drzwi... no, a potem, rzecz jasna, odsunął. Wstałem.

– To by było na razie wszystko – powiedziałem. – połóż się spać. Dziś już cię nie będę niepokoić.

Du Barnstockre również wstał i ruszył ku mnie z wyciągniętymi ramionami.

– Drogi inspektorze! Rozumie pan chyba, że nie miałem najmniejszego pojęcia...

– Tak, du Barnstockre – powiedziałem. – Dzieci rosną, du Barnstockre. Wszystkie dzieci, nawet dzieci nieboszczyków. Niech pan jej w przyszłości nigdy nie pozwala nosić ciemnych okularów, du Barnstockre’a. Oczy są zwierciadłem duszy.

Zostawiłem ich, aby wspólnie rozmyślali nad tymi bezcennymi klejnotami ze skarbnicy policyjnej mądrości, sam zaś poszedłem do hallu.

– Jesteś zrehabilitowany, Alec – zawiadomiłem właściciela hotelu.

– A czy byłem oskarżony? – zdziwił się, podnosząc oczy znad arytmometru.

– Chcę powiedzieć, że obecnie jesteś poza wszelkimi podejrzeniami. Masz stuprocentowe alibi. Ale nie wyobrażaj sobie, że to ci daje prawo do ponownego macenia mi w głowie jakimś zombizmem-mombizmem... Nie przerywaj. Teraz zostaniesz tu i będziesz siedział, póki nie pozwolę ci wstać. Zakonotuj sobie, że z tym jednorękim facetem ja muszę rozmawiać pierwszy.

– A jeśli on się obudzi wcześniej niż ty?

– Nie zamierzam się kłaść – powiedziałem. – Chcę przeszukać dom. Jeżeli ten biedak

się obudzi i będzie wołał kogokolwiek, nawet mamę, natychmiast poślesz po mnie.

– Rozkaz – powiedział właściciel hotelu. – Jedno pytanie. Rozkład dnia w hotelu pozostaje niezmienny?

Zastanowiłem się.

– Tak, chyba tak, O dziewiątej śniadanie. A potem zobaczymy. Teraz posłuchaj pinie, Alec. Załóżmy, że postanowiłeś się ukryć w tym domu. Na długo, na parę dni. Gdzie byś się schował?

– Hm... – powiedział właściciel z powątpiewaniem. – Jednak przypuszczasz, że w domu jest ktoś obcy?

– Gdzie byś się schował? – powtórzyłem. Alec pokręcił głową.

– Oszukują cię – powiedział. – Słowo honoru, że oszukują. Tu nie ma gdzie się schować. Dwanaście pokoi, tylko dwa stoją puste, ale Kaisa tam codziennie sprząta, musiałyby zauważyć. Piwnica – zamknięta na kłódkę... Strychu nie ma, między dachem a sufitem ledwie można rękę przesunąć... Wszystkie służbowe pomieszczenia również zamyka się z zewnątrz, a poza tym przez cały dzień ktoś się tam kręci, albo ja, albo Kaisa... To byłoby właściwie wszystko... – Być może, warto wpaść do maszynowni – tam rzadko zaglądam...

– Dawaj klucze – powiedziałem.

Wszystko dokładnie obejrzałem i przeszukałem. Obszedłem piwnicę, zajrzałem do łazienki, przeszukałem garaż, kotłownię, maszynownię, zbadałem nawet podziemny składzik paliwa i nigdzie nic nie znalazłem. Naturalnie nie spodziewałem się, że cokolwiek znajdę, to byłoby zbyt proste, ale przekłeta urzędnicza skrupulatność nie pozwalała mi na zostawienie białych plam. Dwadzieścia lat nieskazitelnej służby to dwadzieścia lat nieskazitelnej służby. W oczach przełożonych, zresztą i w oczach podwładnych, zawsze lepiej wyglądać na pedantycznego bałwana niż na olśniewającego geniusza, który wszystko robi po łebkach. Więc pełzałem, łąziłem na czworakach, wdychałem kurz i inne paskudztwa, litowałem się nad sobą i przeklinałem swój kretyński los.

Kiedy zły, brudny wylazłem z podziemnego magazynu, świtało już. Księżyc zbiegał i skłaniał się ku zachodowi. Szare załomy skał zasnuła liliowa mgiełka. A jakie świeże było mroźne powietrze napelniające dolinę! Niech to wszystko szlag trafi...

Już prawie podchodziłem do domu, kiedy otworzyły się drzwi i na werandę wyszedł właściciel hotelu.

– Aha – powiedział, kiedy mnie zobaczył. – A ja właśnie idę po ciebie. Ten biedak obudził się i woła mamę.

– Idę – powiedziałem otrzepując marynarkę.

– Mówiąc ściśle nie o mamę mu chodzi – powiedział Alec. – Woła Olafa Andvaraforsa.

## Rozdział XII

Nieznajomy, kiedy mnie zobaczył, gwałtownie pochylił się do przodu i zapytał:

– Olaf Andvarafors?

Takiego pytania nie oczekiwałem. Doprawdy nie oczekiwałem. Poszukałem wzrokiem krzesła, przysunąłem je do łóżka, bez pośpiechu usiadłem i dopiero wtedy spojrzałem na nieznajomego. Kusiło mnie, aby odpowiedzieć twierdząco i zobaczyć, co z tego wyniknie. Ale przecież nie jestem ani z kontrwywiadu, ani tajniakiem. Jestem uczciwym urzędnikiem policyjnym. Więc odpowiedziałem:

– Nie. Nie jestem Olaf. Jestem inspektorem i nazywam się Peter Glebsky.

– Tak? – zapytał nieznajomy ze zdziwieniem, ale bez cienia niepokoju. – Ale gdzie jest Olaf Andvarafors?

Już zupełnie przyszedł do siebie po wczorajszym. Jego chuda twarz poróżowiała, koniuszek długiego nosa, taki biały wczoraj, poczerwieniał. Nieznajomy siedział na łóżku, do pasa przykryty kołdrą. Nocna koszula Aleca wisiała na nim jak na wieszaku – w wycięciu kołnierza widać było kości obojczyka i białą bezwłosą skórę. Twarz nieznajomego również pozbawiona była zarostu – zaledwie kilka włosków tam, gdzie powinny być brwi, i rzadkie białe rzęsy. Siedział pochylony do przodu i machinalnie nawijał na lewą rękę pusty rękaw prawej.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziałem – ale na wstępie muszę panu zadać kilka pytań.

Na te słowa nieznajomy nie odpowiedział nic. Twarz jego przybrała dziwny wyraz, tak dziwny, że nie od razu zrozumiałem, na czym rzecz polega. A polegała na tym, że jedno oko nieznajomy skierował na mnie, drugie zaś postawił w słup, tak że nie było widać źrenicy, tylko biało. Przez jakiś czas milczeliśmy obaj.

– Tak więc – zacząłem – przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, kim pan jest i jak się pan nazywa.

– Loirevic – powiedział krótko.

– Loirevic... A imię?

– Imię? Loirevic.

– Pan Loirevic Loirevic?

Znowu zamilkł. Walczyłem z niemiłym uczuciem, jakie ma się zawsze w czasie rozmowy z zezowatym człowiekiem.

– Mniej więcej tak – odparł wreszcie.

– W jakim sensie mniej więcej?

– Loirevic Loirevic.

– Dobrze. Przypuśćmy. Kim pan jest?

– Loirevic – powiedział. – Jestem Loirevic. – Zamilkł na chwilę. – Loirevic Loirevic. Loirevic L. Loirevic.

Wyglądał na absolutnie zdrowego i normalnego człowieka. I to właśnie było najbardziej zdumiewające. Zresztą nie jestem lekarzem.

– Chciałbym wiedzieć, jaki jest pański zawód?

– Mechanik – odpowiedział. – Mechanik-kierowca.

– Kierowca czego? – zapytałem.

Teraz spojrzał na mnie obydwójmiem oczu. Wyraźnie nie rozumiał pytania.

– Dobrze, dajmy temu spokój – powiedziałem pospiesznie. – Jest pan cudzoziemcem?

– Bardzo – odpowiedział. – W dużym stopniu.

– Zapewne jest pan Szwedem?  
– Zapewne. W dużym stopniu Szwedem.  
„Kpi sobie ze mnie czy co? – pomyślałem. – Na to nie wygląda. Wygląda raczej na człowieka przypartego do muru”.

– W jakim celu przyjechał pan tutaj? – zapytałem.  
– Tu jest Olaf Andvarafors.  
– Pan jechał do niego?  
– Tak.  
– Dostał się pan w lawinę?  
– Tak.  
– Jechał pan samochodem!  
– Zastanowił się.  
– Maszyna – powiedział.  
– Po co panu jest potrzebny Andvarafors?  
– Mam do niego sprawę.  
– Konkretnie jaką?  
– Mam do niego sprawę – powtórzył. – Do niego. Za moimi plecami skrzypnęły drzwi. Odwróciłem się.  
Na progu, trzymając przed sobą kubek, stał Moses.  
– Tu nie wolno wchodzić – powiedziałem ostro. Moses spod krzaczastych brwi wpatrywał się w nieznanego. Na mnie nie zwrócił minimalnej uwagi. *Zerwałem*, się z krzesła i ruszyłem na Mosesa.  
– Proszę natychmiast stąd wyjść, panie Moses.  
– Niech pan nie krzyczy – nieoczekiwanie pokojowo zaproponował Moses. – Chyba wolno mi zainteresować się człowiekiem, którego umieściliście w moim pokoju?  
– Nie teraz, później... – powoli, ale stanowczo zacząłem przymykać drzwi.  
– Proszę, proszę... – burczał wypychany na korytarz Moses. – Oczywiście mógłbym protestować...

Zamknąłem drzwi i ponownie zwróciłem się do Loirevica L. Loirevica.  
– To był Olaf Andvarafors? – zapytał Loirevic.  
– Nie – odparłem. – Olaf Andvarafors został dziś w nocy zamordowany.  
– Zamordowany – powtórzył Loirevic. W jego głosie nie było żadnych emocji. Ani zdziwienia, ani lęku, ani smutku. Jakbym go właśnie zawiadomił, że Olaf wyszedł i za parę minut wróci. – Martwy? Olaf Andvarafors?  
– Tak.  
– Nie – powiedział Loirevic. – Pan niedokładnie wie.  
– Wiem zupełnie dokładnie. Widziałem jego zwłoki. Na własne oczy.  
– Chcę zobaczyć.  
– Po co to panu? O ile dobrze zrozumiałem, nie zna go pan.  
– Ja mam do niego sprawę.  
– Ale przecież mówię panu, że Olafa zamordowano. Umarł. Zabili go. Nagle mnie olśniło. Przypomniałem sobie o walizce.  
– Olaf miał coś panu przekazać?  
– Nie – odpowiedział Loirevic obojętnie. – My musimy rozmawiać. Ja z nim.  
– O czym?  
– Ja z nim. Z nim.

– Proszę posłuchać, panie Loirevic – powiedziałem. – Olaf Andvarafons jest martwy. Zabito go. Prowadzę śledztwo. W sprawie morderstwa. Szukam mordercy, rozumie pan? Muszę jak najwięcej wiedzieć o Olafie. Proszę żeby pan był ze mną szczery. Wcześniej czy później i tak będzie pan mi musiał wszystko opowiedzieć. Lepiej wcześniej niż później.

Loirevic nagle podciągnął kołdrę aż po same uszy. Jego oczy znowu patrzyły w różne strony.

– Nic panu nie mogę powiedzieć – wymamrotał niewyraźnie poprzez kołdrę.

– Dlaczego?

– Mogę powiedzieć tylko Olafowi.

– Skąd pan przyjechał? – zapytałem. Milczał.

– Gdzie pan mieszka?

Milczenie. Ciche posapywanie. Jedno oko patrzy na mnie, drugie w sufit.

– Wykonuje pan czyjeś polecenie?

– Tak.

– Czyje?

Po co pan chce to wiedzieć? – zapytał. – Mam sprawę nie do pana. Pan nie ma z nami żadnych spraw.

– Niechże pan zrozumie – powiedziałem z głębokim przekonaniem. – Jeżeli uda nam się dowiedzieć czegokolwiek o Olafie, dowiemy się, kto jest mordercą. No dobrze. Pan, jak widzę, nie zna Olafa. Ale ci, którzy pana do niego posłali, mogą coś wiedzieć.

– Oni również nie znają Olafa – powiedział Loirevic.

– Jak to?

– Oni nie znają Olafa. Po co?

Potarłem dłonią zarośnięte policzki.

– To wszystko nie trzyma się kupy – powiedziałem ponuro. – Ludzie, którzy nie znają Olafa, posyłają pana, który również nie zna Olafa, z jakimś poleceniem do Olafa. Jak to być może?

– Może być. Jest.

– Kim są ci ludzie?

– Milczenie.

– Gdzie się obecnie znajdują?

– Milczenie.

– Panie Loirevic, pan może mieć poważne nieprzyjemności.

– Po co? – zapytał.

– Kiedy w grę wchodzi morderstwo, każdy lojalny obywatel jest zobowiązany do udzielania policji żądanych wyjaśnień – powiedziałem surowo. – Odmowa może być potraktowana jako współudział w przestępstwie.

– Ja chcę włożyć ubranie – powiedział nagle Loirevic. – Ja nie chcę leżeć. Ja chcę zobaczyć Olafa Andvaraforsa.

– W jakim celu?

– Chcę go zobaczyć.

– Ale przecież pan go nie zna. Jego twarz nic panu nie powie.

– Ja nie chcę jego twarzy – powiedział Loirevic.

– Więc czego pan chce?

Loirevic wylazł spod kołdry i znowu usiadł.

– Ja chcę widzieć Olafa Andvaraforsa! – powiedział bardzo głośno. Jego prawe oko

drgnęło i obracało się dokoła. – Po co pytania? Po co pytania? Bardzo dużo pytań. Dlaczego nie widzę Olafa Andvaraforsa?

Ja też straciłem cierpliwość.

– Pan chce rozpoznać zwłoki? Czy dobrze pana zrozumiałem?

– Rozpoznać... Poznać?

– Tak!

– Chcę. Chcę widzieć!

– Jak pan może go poznać, jeśli pan w życiu nie widział jego twarzy?

– Jaka twarz? – krzyknął Loirevic. – Po co twarz?

– Ja chcę widzieć, że to nie jest Olaf Andvarafors, że to jest inny!

– Dlaczego pan myśli, że to ktoś inny? – zapytałem szybko.

– Dlaczego pan myśli, że to Olaf Andvarafors? – odparował.

Spojrzelśmy sobie w oczy. Musiałem przyznać, że ten dziwny człowiek w pewnym sensie miał rację. Nie mógłbym stwierdzić pod przysięgą, że wiking, który leży na górze ze skrzyżnym karkiem, to właśnie Olaf Andvarafors, którego szuka Loirevic L. Loirevic. To mógł być nie ten Olaf Andvarafors i to w ogóle mógł nie być Olaf Andvarafors. Z drugiej strony nie rozumiem, jaki może mieć sens pokazywanie trupa człowiekowi, który nie zna Olafa. Nie widział jego twarzy... Twarz... A rzeczywiście, czy koniecznie trzeba znać twarz? Może powinien był poznać Olafa po ubraniu, pierścieniu, albo, powiedzmy, po tatuażu...

Zapukano do drzwi i głos Kaisy zapiszczała: „Ubranie, proszę...” Otworzyłem drzwi i wziąłem od Kaisy wysuszony i wyprasowany garnitur nieznanego.

– Niech pan się ubiera – powiedziałem i położyłem ubranie na łóżku.

Potem stanąłem twarzą do okna i zacząłem patrzeć na zębatą skałę Poległego Alpinisty, rozjarzoną już blaskiem wschodzącego słońca, na bladą plamę księżyca, na czystą, ciemną granatowość nieba. Za moimi plecami coś szeleściło, syczało, nie wiedzieć czemu przesuwano krzesło, niewyraźnie mamrotano – chyba niełatwo ubierać się przy pomocy jednej ręki, a do tego z takim zezem – Dwukrotnie z trudem powstrzymałem się od zaofiarowania swojej pomocy. Potem Loirevic powiedział: „Już. Jestem ubrany”. Odwróciłem się. Oszupiałem. Ale natychmiast przypomniałem sobie, ile ten człowiek przeżył w nocy i przestałem się dziwić. Podeszedłem do niego, poprawiłem i zapiąłem mu kołnierzyk, rozpiąłem i zapiąłem równo guziki marynarki i podsunąłem nogą ranne pantofle właściciela hotelu.

Kiedy robiłem to wszystko, Loirevic stał pokornie w miejscu, odstawiając na bok jedyną rękę. Pusty prawy rękaw wsadziłem mu do kieszeni. Loirevic z powątpiewaniem spojrzał na ranne pantofle i powiedział:

– To nie moje. U mnie nie tak.

– Pańskie buciki jeszcze nie wyschły – powiedziałem. – Niech pan wkłada te i idziemy.

Można było pomyśleć, że ten człowiek nigdy w życiu nie miał do czynienia z kapciami. Dwukrotnie z rozmachu próbował trafić w nie stopą i dwukrotnie chybił, za każdym razem tracąc przy tym równowagę. W ogóle miał kłopoty z zachowaniem równowagi – widocznie w nocy musiał nieźle dostać w kość i jeszcze niezupełnie przyszedł do siebie. Świetnie go rozumiałem – ze mną też już tak bywało...

Ramię w ramię wyszliśmy do hallu i ruszyliśmy na pierwsze piętro. Alec, wciąż jeszcze na posterunku, odprowadził nas zamyślnym spojrzeniem. Loirevic zaś nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi – skoncentrował się wyłącznie na stopniach schodów. Na wszelki wypadek podtrzymałem go pod łokcie.

Przed drzwiami Olafa zatrzymaliśmy się. Starannie obejrzałem paski papieru – wszystko było w porządku. Wobec czego wydobyłem klucz i otworzyłem drzwi. Buchnął ostry, niemiły zapach – bardzo dziwny zapach, przypominający odór dezynfekcji. Przystanąłem na progu, zrobiło mi się nieswojo. Zresztą w pokoju nie zaszły żadne zmiany. Tylko twarz trupa jakby ściemniała, być może zawiniło tu oświetlenie, i sine plamy stały się prawie niewidoczne. Loirevic mocno trącił mnie gdzieś w okolice krzyża. Zrobiłem krok naprzód i usunąłem się na bok, żeby przepuścić jednorękiego do pokoju.

Można było pomyśleć, że to nie kierowca-mechanik tylko pracownik kostnicy. Z absolutnie obojętną twarzą stanął nad trupem, pochylił się nad nim trzymając za plecami rękę. Ani lęku, ani obrzydzenia, ani szacunku – nic, tylko rzeczowe oględziny. I tym dziwniejsze wydały mi się jego słowa.

– Jestem zdumiony – powiedział doszczętnie bezbarwnym głosem. – To jest Olaf Andvarafors, rzeczywiście. Nie rozumiem.

– Jak go pan rozpoznał? – zapytałem natychmiast. Loirevic nie wyprostowując się odwrócił głowę i spojrzał na mnie. Stał pochylony na rozstawionych nogach, patrzył na mnie z dołu do góry i milczał. Trwało to tak długo, że aż mi szyja zdrętwiała.

Jak on może wytrzymać w takiej pozycji? Pokręciło go, czy co?... Wreszcie Loirevic odezwał się:

– Przypomniałem sobie. Widziałem przedtem. Nie wiedziałem, że to Olaf Andvarafors.

– A gdzie go pan widział? – zapytałem.

– Tam – nie prostując się machnął ręką gdzieś w stronę okna. – To nie jest najważniejsze.

Nagle stanął prosto i zakuśtykał po pokoju śmiesznie kręcąc głową. Sprężyłem się jak do skoku nie spuszczać z niego oczu. Loirevic wyraźnie czegoś szukał, ja zaś domyślałem się czego.

– Olaf Andvarafors umarł nie tu? – zapytał stając przede mną.

– Dlaczego pan tak myśli? – zapytałem.

– Ja nie myślę. Ja zrobiłem pytanie.

– Pan szuka czegoś?

– Olaf Andvarafors miał przedmiot – powiedział Loirevic. – Gdzie?

– Szuka pan walizki? – zapytałem. – Pan po nią przyjechał?

– Gdzie ona? – powtórzył Loirevic.

– Walizka jest u mnie – powiedziałem.

– To dobrze – pochwalił. – Ja chcę ją tu. Przynieść.

Puściłem jego ton mimo uszu i powiedziałem:

– Mógłbym panu oddać walizkę, ale najpierw musi pan odpowiedzieć na moje pytania.

– Po co? – z nieopisanym zdumieniem zapytał Loirevic. – Po co znów pytania?

– A po to – tłumaczyłem cierpliwie – że może pan otrzymać walizkę tylko w tym wypadku, jeżeli z pańskich odpowiedzi wyniknie, że ma pan do niej prawo.

– Nie rozumiem – oświadczył.

– Nie wiem przecież – powiedziałem – czy to pańska walizka czy nie. Jeżeli to pana walizka, jeśli Olaf przywiózł ją dla pana, niech pan to udowodni. Wtedy oddam ją panu.

Oczy jego rozbiegły się, a potem zbiegły u nasady nosa.

– Nie trzeba – powiedział. – Nie chcę. Zmęczyłem się. Chodźmy.

Nieco zaskoczony wyszedłem w ślad za nim z pokoju. Powietrze w korytarzu okazało się nad podziw świeże i czyste. Skąd u Olafa ten apteczny smród? Może tam coś się rozlało

jeszcze przed morderstwem, tylko przy otwartym oknie niczego się nie czuło? Zamknąłem drzwi na klucz. Potem poszedłem do swego pokoju po klej i papier. Loirevic został na miejscu, pogrążony, jak się wydawało, w głębokiej zadumie.

– No i co? – zapytałem. – Będzie pan odpowiadał na moje pytania?

– Nie – odparł kategorycznie. – Nie chcę pytań. Chcę leżeć. Gdzie można leżeć?

– Niech pan wraca do swojego pokoju – powiedziałem, obojętnie. Ogarnęła mnie apatia. Nagle straszliwie rozboleła mnie głowa. Pragnąłem się położyć, rozluźnić mięśnie, zamknąć oczy. Cała ta niepojęta, do niczego niepodobna, dziwaczna i bezsensowna sprawa jakby ucieleśniła się w bezsensownym, niepodobnym do nikogo, przedziwnym i niepojętym Loirevicu L. Loirevicu.

Zeszliśmy do hallu. Loirevic pokuśtykał do pokoju, a ja usiadłem w fotelu, wyciągnąłem nogi przed siebie i nareszcie zamknąłem oczy. Gdzieś tam szumiało morze, grała głośna, niewyraźna muzyka, przyływały i odpływały jakieś mgliste plamy. Czułem suchość w ustach, jakbym wiele godzin bez przerwy przeżuwał watę. Potem ktoś obwąchał mi ucho mokrym nosem i ciężka głowa Lelle przyjacielsko legła na moim kolanie.

## Rozdział XIII

Zapewne udało mi się podrzemać z piętnaście minut, na dłuższe spanie nie pozwolił mi Lelle. Oblizywał mi uszy, policzki, cięgnął za spodnie, trącał nosem, a w końcu leciutko ugryzł w rękę. W tym momencie nie wytrzymałem, zerwałem się z fotela gotów rozszarpać psa na drobne kawałki. Straszliwe przekleństwa przemieszane z błaganiami o litość kłębiły się w moim gardle, ale spojrzałem przypadkiem na stolik i zbaraniałem. Na lśniącym lakierowanym blacie stolika obok papierów i rachunków leżał olbrzymi, czarny pistolet.

Było to parabellum z przedłużoną rękojeścią. Na stoliku zebrało się już trochę wody, grudki śniegu oblepiały pistolet i kiedy gapilem się z otwartymi ustami, jedna grudka spadła ze spustu na blat. Wtedy rozejrzałem się wokół. W hallu było pusto, tylko Lelle stał obok stolika i przekrzywiwszy łeb spoglądał na mnie poważnym, pytającym spojrzeniem. W kuchni dźwięczały garnki, dolatywał stamtąd zapach kawy i niezbyt donośny głos właściciela.

– To ty przyniosłeś? – zapytałem szeptem.

Lelle przechylił łeb w drugą stronę i w dalszym ciągu wpatrywał się we mnie. Łapy miał zaśnieżone, z kosmatego brzucha kapąło. Ostrożnie wziąłem do ręki pistolet.

To była prawdziwa gangsterska broń. Skuteczne rażenie – dwieście metrów, urządzenie do założenia celownika optycznego, zacisk na składaną kolbę, dźwignienka do przestawiania na ogień ciągły i inne luksusy... Lufa była zatkana śniegiem. Pistolet był zimny, ciężki, chropowata rękojeść dobrze leżała w dłoni. Nie wiedzieć czemu przypomniałem sobie, że nie zrewidowałem Hincusa. Przeszukałem jego bagaż, przeszukałem, jego futro, ale o nim samym zapomniałem. Prawdopodobnie dlatego, że wydał mi się ofiarą napaści.

Wyjąłem magazynek – był pełen. Odciągnąłem zamek, na stół wypadł nabój... I nagle zwróciłem uwagę na dziwny kolor pocisku. Nie był ani żółty, ani matowoszary jak zwykle. Lśnił jak niklowany, tyle że to nie był nikiel, raczej srebro. Nigdy w życiu nie widziałem takich kul i pospiesznie jeden za drugim wyłuskiwałem naboje z magazynka. Wszystkie pociski były srebrne. Obliziałem wyschnięte wargi i znowu spojrzałem na psa.

– Gdzie to znalazłeś, stary? – zapytałem.

Lelle figlarnie potrząsnął łbem i jakoś bokiem podskoczył do drzwi.

– Jasne – powiedziałem. – Rozumiem. Poczekaj chwileczkę. – Załadowałem naboje do magazynka, magazynek włożyłem do pistoletu i poszedłem do wyjścia, po drodze chowając parabellum do bocznej kieszeni. Za drzwiami Lelle zaraz zbiegł z werandy i zapadając się w śnieg pobiegł wzdłuż frontowej ściany domu. Byłem niemal pewien, że zatrzyma się pod oknem Olafa, ale się nie zatrzymał. Obiegł dom, na sekundę zniknął mi z oczu, potem pojawił się znowu, niecierpliwie wyglądając zza węgła. Chwyciłem pierwsze z brzegu narty i pobiegłem za nim. Okrążyliśmy hotel, następnie Lelle popędził naprzód i stanął jakieś pięćdziesiąt metrów od domu. Podjechałem do niego i rozejrzałem się. Wszystko wyglądało jakoś dziwnie. Widziałem dołek w śniegu – tam Lelle wykopał pistolet – widziałem ślady swoich nart, widziałem bruzdy, które przeskakując zasy pozostał pies, a poza tym śnieg wokół był nietknięty. To mogło oznaczać jedno – parabellum rzucono albo z drogi, albo z hotelu. I to był dobry rzut. Nie byłem pewien, czy potrafiłbym rzucić taki ciężki i nieporęczny przedmiot aż tak daleko. Potem zrozumiałem – pistolet rzucono z dachu. Odebrano go Hincusowi i wyrzucono możliwie jak najdalej. Niewykluczone zresztą, że to sam Hincus pozbył się pistoletu. Może bał się, że go ktoś nakryje z bronią. A być może zrobił to wcale nie Hincus, tylko ktoś inny... ale prawie na pewno rzucono go z dachu. Z drogi taki

wynik mógłby osiągnąć tylko rekordzista w rzucie granatem, a z okna pokoju w ogóle nikt nie potrafiłby tego dokonać.

– No cóż, Lelle – powiedziałem do psa. – Zuch jesteś. A ja niestety o sobie tego nie mogę powiedzieć. Hincusa trzeba było mocniej przycisnąć, tak jak to potrafi mój przyjaciel Segut. Prawda? Na szczęście jeszcze nie jest za późno.

I nie czekając na odpowiedź Lelle zawróciłem. Pies rozpryskując śnieg, – zapadając się i powiewając uszami biegł obok.

Miałem zamiar z miejsca iść do Hincusa, obudzić sukinsyna i wydusić z niego wszystko, nawet jeżeli będzie mi to groziło naganą z wpisaniem do akt personalnych. Teraz było dla mnie absolutnie jasne, że sprany Olafa i Hincusa są ze sobą powiązane i to ściśle, że Olaf i Hincus przyjechali do hotelu razem, bynajmniej nieprzypadkowo, że Hincus siedział na dachu uzbrojony w parabellum w jednym wyłącznie celu – aby trzymać pod obstrzałem dolinę i nie pozwolić komuś uciec z hotelu, że to on właśnie uprzedzał kogoś listem podpisanym „P” (tu wprawdzie coś pokręcił i kartka trafiła pod niewłaściwy adres, du Barnstockre jest poza wszelkimi podejrzeniami), że komuś okropnie przeszkadzał i zapewne przeszkadza dalej i niech ja skonam, jeżeli zaraz nie dowiem się komu i dlaczego. Wprawdzie ta wersja również zawierała masę sprzeczności. Jeżeli Hincus, założmy, stanowił osobistą ochronę Olafa i przeszkadzał mordercom, to dlaczego Hincusa potraktowano tak łagodnie? Dlaczego i jemu nie skręcono karku? Tak! I trzeba wyjaśnić, do kogo on właściwie depeszował. Przez cały czas umykało to mojej uwadze...

Alec zawołał mnie do bufetu i nie mówiąc ani słowa podał mi kubek gorącej kawy i olbrzymią kanapkę z soczystą szynką. A więc właśnie to, czego mi było potrzeba. Póki gryzłem i łykałem, Cenevert uważnie obserwował mnie spod przymrużonych powiek i wreszcie zapytał:

– Coś nowego?

Skinąłem głową. Przełknąłem i odpowiedziałem:

– Tak. Pistolet. Tylko nie ja, a Lelle. A ja jestem idiotą.

– Hm... Tak. Lelle to mądry pies. A co to za pistolet?

– Bardzo interesujący – powiedziałem. – Dla fachowca... Ale, ale, czy słyszałeś kiedyś, żeby pistolet ładować srebrnymi kulami?

Przez jakiś czas właściciel milczał wysuwając do przodu dolną szczękę.

– Ten twój pistolet jest nabity srebrnymi kulami? – zapytał powoli. Przytaknąłem. – Tak, czytałem o tym... Broń ładuje się srebrną kulą, kiedy człowiek ma zamiar strzelać do upiora.

– Znowu zombizm-mombizm – burknąłem.

– Tak, znowu. Wilkołaka nie można zabić zwyczajną kulą. Werwolf... wampir... królowa-żaba... Ja cię uprzedzałem, Peter! – wznosił ku górze gruby palec. – Już od dawna oczekiwałem czegoś w tym rodzaju. A teraz okazuje się, że nie tylko ja...

Skończyłem kanapkę i kawę. Nie mógłbym powiedzieć, że słowa Aleca całkowicie puściłem mimo uszu. Nie wiadomo dlaczego tak się składało, że wersja właściciela – jedyna i obłędna – ciągle znajdowała nowe potwierdzenia, a wszystkie moje wersje – niezliczone i realistyczne – nie znajdowały... Wilkołaki, duchy, upiory... Całe nieszczęście polegało na tym, że uznając rację właściciela musiałbym złożyć broń; jak powiedział pewien pisarz, zaświaty to domena kościoła, a nie policji...

– Dowiedziałeś się, do kogo należy pistolet? – zapytał Alec.

Tak, mamy tu jednego specjalistę od wilkołaków, nazywa się Hincus – powiedziałem

i wyszedłem. W środku hallu jakiś powykrzywiany i nienaturalny sterczał niby wierzba płacząca pan Loirevic L. Loirevic. Jednym okiem patrzył na mnie, drugim na schody. Marynarka leżała na nim zdumiewająco krzywo, a spodnie opadały, pusty rękaw wisiał i wyglądał jakby go długo i starannie przeżuwała krowa. Kiwnąłem głową i chciałem przejść obok, ale Loirevic szybko człapiąc zagroził mi drogę.

– Jedna nieduża, ale ważna rozmowa – oznajmił.

– Jestem zajęty. Niech pan przyjdzie za pół godziny.

Loirevic złapał mnie za łokieć.

– Bardzo proszę udzielić kilka minut. To bardzo ważne dla mnie.

– To ważne dla pana... – powtórzyłem idąc w stronę schodów. – Jeżeli to jest ważne tylko dla pana, to dla mnie jest zupełnie nieważne.

Loirevic szedł za mną jak uwiązany, dziwacznie stawiając nogi – jedną noskiem na zewnątrz, drugą noskiem do środka.

– Dla pana też ważne – powiedział. – Pan będzie zadowolony. Pan dostanie wszystko upragnione.

Szliśmy już po schodach.

– A jaką właściwie ma pan do mnie sprawę? – zapytałem.

– To sprawa z walizką.

– Za pół godziny – powiedziałem. – I proszę, niech mnie pan puści. Pan mi przeszkadza.

– Tak – zgodził się. – Przeszkadzam. Chcę przeszkadzać. Moja rozmowa jest pilna.

– Jaka tam pilna – zlekceważyłem go. – Zdażymy. Za pół godziny. Albo lepiej za godzinę.

– Nie, nie, bardzo proszę, natychmiast. Dużo zależy. I to szybko. Ja – panu. Pan – mnie. Koniec.

Byliśmy już na korytarzu pierwszego piętra i ogarnęła mnie litość.

– Dobrze, chodźmy do mnie. Tylko niech się pan streszcza.

– Tak, tak, to będzie szybko.

Zaprowadziłem Loirevica do siebie, przysiadłem na skraju zbeczeszczonego stołu i powiedziałem:

– Niech pan mówi.

Ale Loirevic nie zaczął od razu. Najpierw się rozejrzał, widocznie mając nadzieję, że walizka leży gdzieś tutaj, na widoku.

– Walizki tu nie ma – powiedziałem. – Niech się pan pospieszy.

– To ja usiądę – powiedział i usiadł w moim fotelu. – Walizka bardzo mi potrzebna. Co pan chce za?

– Nic nie chcę. Niech pan udowodni, że ma pan do niej prawo, że należy do pana.

Loirevic L. Loirevic pokręcił głową i powiedział: – Nie. Walizka nie moja. Mnie kazano znaleźć Olafa i powiedzieć: „Oddaj coś zabrał. Komendant dwieście dwadzieścia cztery”. Ja nie wiem, co to znaczy. Nie wiedziałem, co on zabrał. A poza tym pan mówi ciągle – walizka. To mnie omyliło. Nie walizka. Futerał. W środku – aparat. Przedtem nie wiedziałem. Kiedy zobaczyłem Olafa, domyśliłem się. Teraz wiem – Olaf nie zabity. Olaf umarł. Od aparatu. Aparat bardzo niebezpieczny. Groźba dla wszystkich. Wszyscy będą jak Olaf, albo może być wybuch. Wtedy wszyscy będą jeszcze gorzej. Pan rozumie, dlaczego trzeba szybko? Olaf – głupi, on umarł. My mądrzy, my nie umrzemy. Niech pan szybko daje walizkę.

To wszystko wytrajkotał swoim bezbarwnym głosem, patrząc na mnie po kolei to lewym, to prawym okiem i niemiłosiernie tłamsząc pusty rękaw. Twarz jego pozostawała nieruchoma, tylko od czasu do czasu wznosiły się i opadały rzadziutkie brwi. Patrzyłem na niego i myślałem, że jego manieri i gramatyka nie uległy zmianie, ale zapas słów przez ostatnie pół godziny znacznie się zwiększył. Loirevic L. Loirevic stał się bardzo rozmowny.

– Kim pan jest? – zapytałem.

– Emigrant. Wygnaniec. Ofiara polityki.

Tak, rozgadał się Loirevic. I skąd mu się to wzięło?

– Emigrant z jakiego kraju? – zapytałem.

– Nie trzeba takich pytań. Nie mogę powiedzieć. Honor. Nie szkodzi waszemu krajowi.

– Skąd pan przyjechał do nas? Z jakiego miasta?

– Z miasta obok. Nie znam nazwy. Przywieziono mnie.

– Kto?

– Nie wiem. Tajne. Też wygnańcy.

– Pan chce powiedzieć, że jest pan członkiem tajnej organizacji?

– Nie mogę powiedzieć. Honor. Trzeba szybciej. Można zginąć.

Im bardziej mnie poganiał, tym mniej byłem skłonny spieszyć się. Dla mnie wszystko było jasne – Loirevic kłamał i kłamał nadzwyczaj nieumiejętnie.

– Czym pan jechał do nas?

– Samochód.

– Jakiej marki?

– Marki... Czarny, wielki.

– Nie zna pan marki swojego samochodu?

– Nie znam. Nie mój.

– Ale przecież pan jest mechanikiem – powiedziałem złośliwie. – Jaki z pana, u diabła, mechanik, i do tego jeszcze kierowca, jeżeli pan się nie zna na samochodach?

– Niech pan mi da walizkę, inaczej będzie nieszczęście.

– A co pan zrobi z tą walizką?

– Szybko odwiozę.

– Dokąd? Przecież lawina zawałiła drogę.

– To Wszystko jedno. Zawiozę gdzieś daleko. Spróbuję rozbroić. Jeśli nie potrafię, ucieknę. Niech leży sama.

– Dobrze – powiedziałem i zeskoczyłem ze stołu. – Jedziemy.

– Jak?

– Moim samochodem. Mam dobry samochód. Weźmiemy walizkę, zawieziemy gdzieś daleko i zobaczymy.

Loirevic nie ruszył się z miejsca.

– Dlaczego pan siedzi? – zapytałem. – Przecież grozi nam niebezpieczeństwo, trzeba szybko...

– Na nic – powiedział wreszcie. – Spróbujemy inaczej. Nie chce pan oddać walizki, niech pan mi ją sprzeda. Co?

– To znaczy? – zapytałem znowu przysiadając na krawędzi stołu.

– Ja daję pieniądze, dużo pieniędzy. Pan nie jest w pracy, pan jest na urlopie. Pan znalazł walizkę, ja ją kupiłem. Koniec.

– No, a ile pan da? – zapytałem.

– Dużo. Ile pan chce. Tak.

Sięgnął za pazuchę i wyciągnął grubą paczkę banknotów. Takie paczki widziałem tylko raz – w Banku Państwowym, kiedy prowadziłem śledztwo w sprawie fałszerstwa.

– Ile tu jest? – zapytałem.

– Mało? To jeszcze mam.

Z bocznej (kieszeni wyciągnął jeszcze jedną taką paczkę i też rzucił na stół przede mną.

– Ile tu jest? – zapytałem.

– Co za różnica? – zdziwił się Loirevic. – Wszystko pana.

– Zasadnicza różnica. Pan wie, ile tu jest pieniędzy?

Loirevic milczał, a jego oczy zbiegały się i rozbiegały.

– Tak. Nie wie pan. A skąd pan je ma?

– To moje.

– Niech pan nie będzie zabawny. Kto panu dał pieniądze? Przecież pan tu pojawił się bez grosza przy duszy. Moses, nikt inny. Tak?

– Nie chce pan pieniędzy?

– A więc tak – powiedziałem – te pieniądze konfiskuję, a pana pociągnę do odpowiedzialności za próbę przekupienia urzędnika państwowego. Wplątał się pan w bardzo nieprzyjemną historię, Loirevic. Pozostaje panu tylko jedno – szczerze wyznać prawdę. Kim pan jest?

– Pan wziął pieniądze? – zainteresował się Loirevic.

– Skonfiskowałem je.

– Skonfiskowałem... Dobrze – powiedział Loirevic. – A gdzie walizka?

– Pan nie rozumie, co to znaczy „skonfiskowałem”? – zapytałem. – Niech pan zapyta Mosesa... A więc kim pan jest?

Nie mówiąc ani słowa Loirevic wstał i poszedł w stronę drzwi. Zgarnąłem pieniądze i ruszyłem w ślad za nim. Przemaszerowaliśmy korytarzem i zaczęliśmy schodzić na dół.

– Źle, że pan nie oddaje walizki – powiedział Loirevic. – To nie będzie dla pana dobre.

– Niech pan mnie nie straszy – upomniałem go. – Pan będzie przyczyną wielkiego nieszczęścia.

– Mam dosyć łgarstw – powiedziałem. – Nie chce pan mówić prawdy, to pańska prawa. Ale i tak wpadł pan jak śliwka w kompot, Loirevic, i do tego zasypał pan Mosesa... Teraz pan się łatwo nie wykręci... Stop! Nie tędy. Proszę iść za mną.

Złapałem go za pusty rękaw i zaprowadziłem do biura. Potem wezwałem właściciela hotelu i w jego obecności przeliczyłem pieniądze i spisałem protokół. Właściciel również przeliczył pieniądze – było ich ponad osiemdziesiąt tysięcy, cała moja pensja za dziesięć lat nieskazitelnej służby – i podpisał protokół. Przez cały ten czas Loirevic stał nie opodal niezgrabnie przestępując z nogi na nogę, jak człowiek, który chciałby odejść możliwie najszybciej.

– Niech pan podpisze – powiedziałem wręczając mu pióro.

Loirevic wziął pióro, obejrzał je uważnie i ostrożnie położył na stole.

– Nie – powiedział. – Ja pójdę.

– Jak pan chce – odparłem. – Pańskiej sytuacji to nie zmieni.

Loirevic natychmiast odwrócił się i wyszedł potrącając ramieniem futrynę. Popatrzyliśmy na siebie z Alecem.

– Dlaczego próbował cię przekupić? – zapytał Alec. – Czego on właściwie chce?

– Chce dostać walizkę Olafa, która leży teraz w twoim sejfie. – Wyjąłem klucz i otworzyłem sejf. – Oto ona.

– Ta walizka jest warta osiemdziesiąt tysięcy? – zapytał Cenevert z szacunkiem.

Zapewne warta jest znacznie więcej. To jakaś ciemna afera, Alec. – Włożyłem pieniądze do sejfów, zamknąłem na klucz ciężkie drzwiczki, a protokoły schowałem do kieszeni.

Właściciel znowu uniósł do góry gruby palec, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Energicznie potarł masywny podbródek, zagrzmiał: „Kaisa!” i wyszedł. A ja zostałem. Siedziałem przy biurku i przypominałem sobie wszystko po kolei. Pedantycznie starałem się nie pominąć najmniejszego szczegółu, najbliższego wydarzenia, którego byłem świadkiem w tym hotelu. Okazało się, że pamiętam dość dużo.

Pamiętałem na przykład, że przy pierwszym naszym spotkaniu Simonet był w szarym garniturze, a na wczorajszej wieczorynce w bordowym. I że w jego spinkach osadzone były żółte kamyki. Pamiętałem, że kiedy Brune naciągała swojego wujka na papierosy, dii Barnstockre zawsze wydobywał je zza prawego ucha. Pamiętałem, że Kaisa ma maleńkie czarne znamię na prawej stronie nosa, że du Barnstockre operując widelcem zawsze odstawia w bok mały palec; że klucz od mojego numeru jest bardzo podobny do klucza Olafa i jeszcze wiele podobnych idiotyzmów. W całej tej kupie śmieci znalazłem tylko dwie perły. Po pierwsze – przypomniałem sobie, jak przedwczoraj wieczorem Olaf cały w śniegu stał na środku hallu z czarną walizką w ręku i rozglądał się dookoła, jakby oczekiwał, że ktoś mu wyjdzie na powitanie, i jak spojrzał nad moją głowę na portierę oddzielającą apartamenty Mosesów i jak mi się wydało, że portierą zakolysał przeciąg. Po drugie – przypomniałem sobie, że kiedy staliśmy w kolejce przed drzwiami łazienki, zeszli z góry ramię przy ramieniu Olaf i Moses...

Wszystko to uporczywie naprowadzało mnie na myśl, że Olaf, Moses, a teraz i Loirevic – to jedna szajka, i to szajka, która nie bardzo chce, żeby ktoś cokolwiek zauważył. A jeżeli do tego wziąć pod uwagę, że znalazłem Mosesa w pokoju muzeum, który znajduje się w moim bezpośrednim sąsiedztwie, a w pięć minut później zobaczyłem na swoim zapaskudżonym stole list o gangsterze i maniak, i jeżeli wziąć pod uwagę i to również, że złoty zegarek Mosesa został podrzucony – bez najmniejszej wątpliwości podrzucony, a potem zabrany – do torby Hincusa... jeżeli nie pominąć faktu, że pani Moses była jedyną osobą (nie licząc, być może, Kaisy) nieobecną w sali w tym właśnie czasie, kiedy Hincusa związano na supeł i wsadzono pod stół... jeżeli, powtarzam, wszystko to wziąć pod uwagę, to otrzymamy nadzwyczaj interesującą całość.

Do tej całości nieźle pasuje również oświadczenie Hincusa, że jedną z trzech toreb podróżnych przekształcono w fałszywy bagaż, jak też i ta okoliczność, że pani Moses była jedynym człowiekiem, który widział twarz sobowtóra Hincusa.

Oczywiście pozostało mi jeszcze mnóstwo białych i całkowicie niezrozumiałych plam. Ale ostatecznie teraz przynajmniej jasny był układ sił – z jednej strony Hincus, Mosesowie zaś, Olaf i Loirevic – z drugiej. I w tej chwili przyszło mi do głowy, że niesłusznie trzymam Hincusa pod kluczem. Moses zapewne przypuszcza, że Hincus do tej pory siedzi pod stołem. Zobaczymy, jak zareaguje, kiedy Hincus nagle zjawi się na śniadaniu w jadalni. O tym, kto i jak związał Hincusa, kto i jak zamordował Olafa postanowiłem na razie nie myśleć. Zgniotłem swoje notatki, wrzuciłem je do popielniczki i podpaliłem.

– Na śniadanie proszę... – zapiszczała gdzieś na górze Kaisa. – Na śniadanie proszę...

## Rozdział XIV

Hincus nie spał. Stał na środku pokoju z opuszczonymi szelkami i wycierał twarz wielkim ręcznikiem.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Jak się pan czuje?

Hincus czujnie spoglądał na mnie spode łba. Twarz miał nieco opuchniętą, ale poza tym wyglądał zupełnie przyzwoicie. Niczym nie przypominał tego zaszczutego szczura, którego widziałem przed paroma godzinami.

– Jako tako – burknął. – Dlaczego mnie tu zamknięto?

– Miał pan atak nerwowy – wyjaśniłem. Jego twarz wykrzywił grymas. – Nic strasznego. Właściciel hotelu zrobił panu zastrzyk i zamknął drzwi na klucz, żeby pana nikt nie niepokoił. Pójdzie pan na śniadanie?

– Pójdę – odpowiedział Hincus. – Zjem i sływam stąd do wszystkich diabłów. A zadatek odbiorę. Ładny wypoczynek w górach... – Zmiał i odrzucił ręcznik. – Jeszcze jeden taki wypoczynek, a wyląduję u czubków. Z gruźlicą czy bez...

– Tak – powiedziałem. – Miał pan pecha. Współczuję panu... No, ale jeszcze sobie o tym wszystkim porozmawiamy.

Odwrociłem się i ruszyłem do drzwi.

– Nie mam o czym z panem gadać! – krzyknął ze złością Hincus.

W jadalni jeszcze nikogo nie było. Kaisa rozstawiała talerzyki z kanapkami. Przywitałem się z nią, zostałem uraczony serią min i chichotów i wybrałem sobie nowe miejsce – tyłem do bufetu a twarzą do drzwi, obok du Barnstockre'a. Ledwie usiadłem, jak wszedł Simonet – w grubym pstrokatym swetrze, świeżo wygolony, ale oczy miał zaczerwienione i podpuchnięte.

– Uroczą noc, prawda, inspektorze? – powiedział. – Nawet pięciu godzin nie spałem. Zupełnie wysiadłem nerwowo. Przez cały czas mam wrażenie, że śmierdzi trupem. Taki apteczny zapach, jakby formalina... – Usiadł, wybrał sobie kanapkę, potem spojrzał na mnie: – Znalazł pan? – zapytał.

– Zależy co? – odparłem.

– Aha – powiedział Simonet i niepewnie zarechotał. – Wygląda pan nie najlepiej.

Każdy wygląda tak, jak na to zasługuje – odezwałem się i w tej samej sekundzie Weszli du Barnstockre z bratanicą. Ci to byli świeżutcy jak ogóreczki, Wujaszek miał astrę w butonierce, dostojne siwe kędziory wiły się wokół łysej głowy, a Brune była jak zwykle w ciemnych okularach, i jak zwykle beczelnie zadzierała nosa. Wujaszek zacierając ręce ruszył na swoje miejsce, wpatrując się we mnie pytająco – cym wzrokiem.

– Dzień dobry, inspektorze – zaszemrał śpiewnie. – Cóż za straszliwa noc! Dzień dobry, panie Simonet. Nieprawdaż?

– Cześć – burknęło dziecię.

– Napiłbym się koniaku – powiedział Simonet tak jakoś tęsknie. – Ale chyba nie wypada. Co? A może wypada?

– A jak nasze sprawy? – zapytał ciekawie du Barnstockre.

– Śledztwo jest na właściwym tropie – oznajmiłem. – Klucz do zagadki znajduje się w rękach policji. Mnóstwo kluczy. Cały pęczek.

Simonet znowu zachichotał i natychmiast spoważniał.

– Jak sądzę, cały dzień przyjdzie nam spędzić w domu – powiedział du Barnstockre. – Wychodzić zapewne nie wolno...

– A to dlaczego? – zdziwiłem się. – Ile dusza zapagnie. Im więcej zapagnie, tym lepiej.

– Uciec i tak się nie da – dodał Simonet. – Wyjście zawałiła lawina. Ja oczywiście mógłbym uciec przez góry...

– Ale? – zapytałem.

– Po pierwsze – przez ten śnieg trudno dobrnąć do skał. A po drugie, co ja tam będę robić? Słuchajcie, panowie – zaproponował nagle. – Chodźcie, przespacerujemy się, zobaczymy, co słychać w Wilczej Gardzieli...

– Pan się nie sprzeciwia, inspektorze? – zapytał du Barnstockre.

– Nie – odparłem. I wtedy właśnie weszli pan i pani Moses. Oni również byli jak ogóreczki. To znaczy madame była jak ogóreczek... jak brzoskwinia... jak jasne słońeczko. A jeśli chodzi o Mosesa... to ten stary grzyb pozostał oczywiście starym grzybem. Popijając z kubka, nie witając się z nikim dotarł do swojego miejsca, klapnął na krzesło i surowo popatrzył na spoczywające przed nim kanapki.

– Dzień dobry! – kryształowym głosem powiedziała pani Moses.

Spojrzałem spod oka na Simoneta. Simonet zezował na panią Moses. W jego oczach było jakieś niedowierzanie. Potem otrząsnął się spazmatycznie i schwycił filiżankę z kawą.

– Cudowny poranek – mówiła dalej pani Moses. – Tak słonecznie, tak ciepło. Biedny Olaf, już nie widzi tego poranka!

– Wszyscy tam będziemy – oświadczył nagle Moses ochrypłym głosem.

– Amen – zakończył uprzejmie du Barnstockre. Spojrzałem na Brune. Dziewczyna siedziała nastroszona, z nosem w filiżance. Drzwi znowu się otworzyły i naszym oczom ukazał się Loirevic L. Loirevic w towarzystwie właściciela hotelu. Na twarzy właściciela zagościł żalobny uśmiech.

– Dzień dobry – powiedział. – Państwo pozwolą, że im przedstawię pana Loirevica, który przybył do nas dzisiejszej nocy. Po drodze uległ wypadkowi. Nie odmówimy mu oczywiście gościnnego przyjęcia.

Sądząc po wyglądzie Loirevica L. Loirevica wypadek, któremu uległ, musiał być potworny. Gościnność była mu niezmiernie potrzebna. Alec był zmuszony ująć go pod łokieć i dosłownie wepchnąć na moje dawne miejsce obok Simoneta.

– Jest nam bardzo przyjemnie, Loirevic! – wychrypiął pan Moses. – Tu są sami swoi, Loirevic, niech pan się czuje jak w domu.

– Tak – powiedział Loirevic patrząc jednym okiem na mnie, a drugim na Simoneta. – Piękna pogoda. Zupełnie zima...

– To wszystko głupstwo, Loirevic – powiedział Moses. – Niech pan jak najmniej mówi i jak najwięcej je. Wygląda pan na niedożywionego... Simonet, niech pan przypomni, co tam było z tym maitre d'hotel? Zdaje się, że zjadł czyjeś filet...

W tym momencie wreszcie pojawił się Hincus. Wszedł i od razu stanął jak wryty. Simonet znowu zaczął opowiadać swoją historię i dopóki wyjaśniał, że wyżej wymieniony maitre d'hotel nie jadł żadnego fileta, a wręcz przeciwnie, Hincus stał w progu, ja zaś obserwowałem go, starając się jednocześnie nie spuszczać z oka Mosesów. Patrzyłem i nic nie rozumiałem. Pani Moses spożywała sucharki ze śmietanką i z zachwytem słuchała smętnego figlarza. Pan Moses wprawdzie rzucił okiem na Hincusa, ale zrobił to z absolutną obojętnością i natychmiast powrócił do swojego kubka. Ale sam Hincus swojej twarzy opanować nie potrafił.

Najpierw wyglądał jak człowiek kompletnie zbaraniały, który właśnie dostał pałką

przez łeb. Potem na jego twarzy pojawił się wyraz radości, opętańczej jakiejś radości, nawet uśmiechnął się zupełnie po dziecinnemu. A potem wykrzywił się, złowrogo wyszczerzając zęby, i ruszył naprzód zaciskając pięści. Ale patrzył przez cały czas ku mojemu najwyższemu zdumieniu bynajmniej nie na Mosesów. Patrzył na du Barnstockre'a – z początku w absolutnym osłupieniu, potem z ulgą i radością, a następnie z nienawiścią i wściekłą satysfakcją. W tym momencie zauważył, że go obserwuję, rozluźnił mięśnie, pochylił głowę i poszedł na swoje miejsce.

– Jak się pan czuje, panie Hincus? – życzliwie zainteresował się du Barnstockre, pochylając się ku niemu. – Tutejsze powietrze...

Hincus podniósł na niego rozwścieczone żółte oczka.

– Ja to czuję się nieźle – odpowiedział usadawiając się na krześle. – Ale ciekawe, jak pan się czuje?

Du Barnstockre zdumiony opadł na oparcie krzesła.

– Ja? Dziękuję panu – spojrzał najpierw na mnie, a potem na Brune. – Być może niechcący uraziłem, dotknąłem...

Numer nie przeszedł! – mówił dalej Hincus z furją, wpychając serwetkę pod szyję. – Klops. Prawda, stary?

Du Barnstockre był straszliwie zmieszany. Rozmowy przy stole umilkły, wszyscy patrzyli na niego i na Hincusa.

– Doprawdy, obawiam się... – Stary prestidigitator wyraźnie nie wiedział, jak się zachować. – Miałem na myśli wyłącznie...

– Dobrze, dobrze, będzie się pan tłumaczył innym razem – odpowiedział Hincus. Ujął w obie ręce wielkiego sandwicza, bokiem wsadził go do ust, odgryzł kawałek i nie patrząc na nikogo zaczął pracowicie poruszać szczękami.

– Jak ktoś jest chamem, to niech trzyma język za zębami – odezwała się nagle Brune.

Hincus błyskawicznie podniósł na nią oczy i natychmiast odwrócił wzrok.

– Brune, dziecię moje... – powiedział du Barnstockre.

– R-rozbestwił się! – powiedziała Brune postukując nożem w talerz. – Było mniej chlać...

– Proszę państwa, proszę państwa – uspokajał właściciel. – To przecież głupstwo!

– Niech pan się nie denerwuje, Cenevert – pośpiesznie odezwał się du Barnstockre. – To jakieś drobne nieporozumienie... Wszyscy są zdenerwowani...

– Zrozumiano? – groźnie zapytała Brune kierując na Hincusa ciemne szkła swoich okularów.

– Proszę państwa! – zdecydowanie wmieszał się właściciel hotelu. – Proszę o chwilę uwagi! Nie będę mówić o tragicznych wydarzeniach ubiegłej nocy. Rozumiem, tak, wszyscy jesteśmy zdenerwowani. Ale po pierwsze – śledztwo w sprawie śmierci nieszczęsnego Olafa Andvaraforsa znajduje się obecnie w niezawodnych rękach inspektora Glebsky'ego, a po drugie nie powinna nas przesadnie niepokoić ta okoliczność, że jesteśmy chwilowo odcięci od reszty cywilizowanego świata... Hincus przestał żuć i podniósł głowę.

– Nasze piwnice są pełne, proszę państwa! – uroczyście zapewnił właściciel hotelu. – I przekonany jestem, że kiedy za kilka dni dotrze do nas brygada ratownicza przedzierając się przez zwały śniegu, to...

– Jaka znowu brygada? – głucho zapytał Hincus. – Co się dzieje, u diabła?

– Ach, proszę mi wybaczyć – odparł Cenevert przykładając dłoń do czoła. – Zupełnie zapomniałem, że niektórzy nasi goście... Chodzi o to, że wczoraj o godzinie dziesiątej

wieczorem śnieżna lawina zawałiła Wilczą Gardziel i zerwała łączność telefoniczną...

Przy stole zapanowało milczenie. Wszyscy spożywali dary boże patrząc w talerze. Hincus siedział nieruchomo, dolna warga opadła mu i znowu wyglądał jak człowiek, któremu nagle sufit zawałił się na głowę. Loirevic L. Loirevic melancholijnie gryzł cytrynę, połykając ją po kawałku razem ze skórą. Po jego wąskim podbródku ściekał na marynarkę żółty sok. Ścierpło mi w ustach, wypilem łyk kawy i oznajmiłem:

– Chciałbym oświadczyć wszystkim, co następuje: dwie niewielkie liczebnie bandy przestępców wybrały ten hotel na miejsce porachunków. Proponuję zamieszany w tę sprawę osobom zaprzestanie wszelkiej działalności, aby nie pogarszały swego i tak beznadziejnego położenia. Przypominam, że nasze odcięcie od świata jest rzeczą względną. Niektórzy z tu obecnych wiedzą już, że dwie godziny temu korzystając z uprzejmości pana Ceneverta wysłałem gołębia pocztowego z meldunkiem do Muir. Teraz z godziny na godzinę spodziewam się policyjnego helikoptera i dlatego przypominam osobom zamieszany w przestępstwo, że odpowiednio wczesne przyznanie się do winy oraz szczerza skrucha mogą znacznie złagodzić karę. Na tym chciałbym zakończyć i podziękować za uwagę.

– Jakie to ciekawe! – z entuzjazmem zawołała pani Moses. – To znaczy, że wśród nas są bandyci? Ach, inspektorze, niech pan powie choć słówko! My zrozumiemy!

Spojrzałem na właściciela. Alec stał odwrócony do nas szerokimi plecami i starannie wycierał kieliszki stojące na bufecie.

Rozmowa zamarła ostatecznie. Cichutko dźwięczały łyżeczki w szklankach, hałaśliwie sapał pan Moses nad swoim kubkiem przewiercając każdego po kolei swoim spojrzeniem. Nikt się nie zdemaskował, ale wszyscy, którzy mieli powód, żeby zastanowić się nad swoim dalszym losem, niezawodnie zastanawiali się nad nim. Wpuściłem do tego kurnika krwiożerczą łasicę i teraz trzeba było czekać na dalsze wypadki.

Pierwszy wstał du Barnstockre.

– Panie i panowie! – powiedział. – Wzywam wszystkich lojalnych obywateli, żeby przypięli narty i wyruszyli na niewielką przechadzkę. Słońce, świeże powietrze i czyste sumienie niech będą dla nas oparciem i źródłem uspokojenia. Pójdźmy, Brune, dziecię moje.

Zaszurały krzesła, goście wstawali jeden za drugim. Simonet zaproponował ramię pani Moses – widocznie jego nocne wrażenia w znacznej mierze przybladły pod wpływem słonecznego poranka. Pan Moses wyciągnął zza stołu Loirevica L. Loirevica, postawił go na nogi, i ten melancholijnie dojadając cytrynę powlókł się za Mosesem.

Przy stole został tylko Hincus. Całą swoją uwagę skupił na jedzeniu, jakby zamierzał najeść się na zapas. Kaisa zbierała naczynia, właściciel pomagał jej.

– No i co, Hincus – odezwałem się. – Pogadamy?

– A niby o czym? – burknął ponuro, zjadając jajko z pieprzem.

– A o wszystkim – odpowiedziałem.

– Nie mamy o czym mówić – oświadczył Hincus posepnie. – O tej sprawie to ja nic nie wiem.

– O jakiej sprawie?

– O morderstwie! A o jakiej jeszcze?

– Jest jeszcze sprawa Hincusa – powiedziałem. Nie odpowiedział nic. Skończył przeżuwać jajko, przełknął, wytarł usta serwetką i wstał.

– Alec – powiedziałem do właściciela hotelu. – Bądź tak dobry, zejdź na dół i posiedź w hallu, tam gdzie wczoraj. Rozumiesz mnie?

– Rozumiem – odparł właściciel. – Bądź spokojny.

Pospiesznie wytarł ręce ręcznikiem i wyszedł. Otworzyłem drzwi do sali bilardowej i przepuściłem Hincusa przed sobą. Hincus żując zapałkę wszedł do środka i zatrzymał się na kwadratowych plamach słońca – ręce trzymał w kieszeniach. Wziąłem stojące pod ścianą krzesło, postawiłem na najostrzejszym słońcu i powiedziałem: „Niech pan siada”. Po sekundzie wahania Hincus usiadł i od razu zmrużył oczy – słońce świeciło mu prosto w twarz.

– Policyjne sztuczki... – wymruczał z goryczą.

– Taką mamy służbę – powiedziałem i przysiadłem na krawędzi stołu bilardowego, w cieniu, naprzeciw Hincusa. – No, Hincus, co tam między wami zaszło?

– Z du Barnstockre'em?

– Jaki znowu Barnstockre? Co między nami może zająć? Nic nie zaszło...

– To nie do niego był ten list z pogrózkami?

– Żadnych listów nie pisałem. Ale skargę to napiszę. Napiszę, jak się znęcają nad chorym człowiekiem...

– Niech pan posłucha, Hincus. Za godzinę-dwie przyłeci policja. Przyłecą eksperci. Pański list leży u mnie w kieszeni. Sprawdzić, kto go napisał, można w ciągu paru minut. Po co się pan wypiera?

Szybkim ruchem przerzucił (zzutą zapałkę z jednego kącika ust w drugi. W jadalni Kaisa dzwoniła talerzami, nucąc coś cienkim fałszywym głosikiem.

– Nic nie wiem o liście – powiedział wreszcie Hincus.

Dosyć kłamstw, Puchacz! – ryknąłem. – Wiem o tobie wszystko. Wpadłeś, Puchacz! I jeżeli chcesz wykręcić się siedemdziesiątym drugim, to kapuj na punkt "c". Szczere przyznanie się do winy przed rozpoczęciem oficjalnego śledztwa... No?

Hincus wypluł zzutą zapałkę, pogrzebał w kieszeni, wyjął paczkę pomiętych papierosów. Następnie podniósł paczkę do ust, wyciągnął wargami jednego papierosa i popadł w zadumę.

– No? – powtórzyłem.

– Coś się panu pokreśliło – odpowiedział Hincus. – Jakieś puchacze... Nie jestem Puchacz, tylko Hincus.

Zeskoczyłem z bilardu i podsunąłem mu pod nos pistolet.

– A to poznajesz? No? Twoja spluwa? Gadaj!

– Nic nie wiem – odparł pośpiesznie. – Czego pan się do mnie przyczepił?

Wróciłem na stół bilardowy, położyłem pistolet obok siebie na suknie i zapaliłem.

– Myśl, myśl – powiedziałem. – I to szybko myśl, bo będzie za późno. Twoi kumple nie zdążyli, bo akurat zeszła lawina. A policja będzie tu najwyżej za dwie godziny. Rozumiesz, co mam na myśli?

Przez uchylone drzwi zajrzała Kaisa i zapiszczała:

– Czy podać coś? Pan życzy?

– Idź sobie, idź, Kaisa – powiedziałem. – Nie jesteś nam potrzebna.

Hincus milczał, uporczywie szukając czegoś po kieszeniach, wreszcie znalazł pudełko zapałek i zapalił. Na jego twarzy pojawiły się krople potu. Słońce grzało.

– Trafiliś jak kulą w płot, Puchacz – powiedziałem. – Pomyliłeś łaskę boską z jajecznicą. Czegoś się przyczepił do Barnstockre'a? Czy to jego kazano ci trzymać na muszce? Mosesa! Mosesa miałeś pilnować, jęlopie nieszczęsny! U mnie tobyś nie dostał nawet posady stróża nocnego, nie mówiąc już o tego rodzaju zadaniach... I twoja banda jeszcze ci to przypomni. Tak że teraz, Puchacz...

Nie było mi dane dokończyć tych pouczeń. Siedziałem na skraju stołu bilardowego zwiesiwszy jedną nogę, a drugą opierając o podłogę, jeszcze do tego, zdziecinniały idiota, paliłem papierosa i zadowolony z siebie obserwowałem smugi dymu w promieniach słońca. A Hincus siedział na krześle o dwa kroki ode mnie... I nagle pochylił się do przodu, złapał mnie za zwisającą nogę, z całej siły szarpnął na siebie i ostro wykręcił. Nie doceniłem Hincusa, powiedzmy to sobie otwarcie, nie doceniłem. Zniosło mnie ze stołu bilardowego – i moimi wszystkimi dziewięćdziesięcioma kilogramami na płask, na mordę, brzuchem i kolanami rąbnąłem o podłogę.

Tego, co działo się dalej, mogę się tylko domyślać. Krótko mówiąc mniej więcej po minucie ostatecznie przyszedłem do siebie i stwierdziłem, że siedzę na podłodze oparty o stół bilardowy, podbródek mam rozbity, dwa zęby się kiwają, oczy zalewa mi krew płynąca z czoła, a prawe ramię boli tak, że nie mogę wytrzymać. Nie opodał poniewierał się Hincus, zgięty we dwoje, zasłaniając rękami głowę, a nad nim, jak święty Jerzy nad powalonym smokiem, piętrzył się uśmiechnięty bohaterski Simonet z kawałkiem najcięższego i największego kija. Otarłem z czoła krew i wstałem. Chwiałem się na nogach. Miałem ochotę spocząć w cieniu i o wszystkim zapomnieć. Simonet pochylił się, podniósł z podłogi pistolet i podał mi.

– Miał pan szczęście, inspektorze – powiedział promieniejąc – jeszcze sekunda, a rozwaliliby panu głowę. Gdzie pan dostał? W ramię?

Skinąłem głową. Dech mi zapało, mówić nie mogłem.

– Niech pan poczeka – powiedział Simonet i wybiegł do jadalni rzuciwszy resztę kija na stół bilardowy.

Obszedłem dookoła bilard i przysiadłem w cieniu tak, żeby widzieć Hincusa. Hincus ciągle jeszcze leżał nieruchomo. Ma krzepę, a przecież tak na oko nikt by za niego pięciu groszy nie dał;. Tak, dzentelmeni, to prawdziwy gangster, wychowany w najlepszych tradycjach Chicago. I skąd oni się tu biorą w naszym spokojnym i przyzwoitym kraju? Pomyśleć tylko – Segut ma taką samą pensję jak ja, a przecież taki człowiek powinien być na wagę złota... Wyjąłem z kieszeni chusteczkę do nosa i ostrożnie dotknąłem rany na czole.

Hincus jęknął, poruszył się i spróbował wstać. Ciągle jeszcze trzymał się za głowę. Simonet wrócił z karafką napelnioną wodą. Zabrałem karafkę, z trudem dowlokłem się do Hincusa i polałem mu twarz. Hincus zaryczał i oderwał jedną rękę od ciemienia. Fizjonomia jego znowu przybrała kolor zielonkawy, ale teraz można to było wyjaśnić racjonalnie. Simonet przykucnął obok Hincusa.

– Mam nadzieję, że nie przesadziłem? – zapytał z troską.

– Nie ma powodu do niepokoju, stary, wszystko będzie w porządku... – podniosłem rękę, żeby poklepać Simoneta po ramieniu i jęknąłem z bólu. – Zaraz się do niego zabiorę.

– Mam wyjść? – zapytał Simonet.

– O, nie, lepiej niech pan zostanie. Bo inaczej on jeszcze zabierze się do mnie. Niech pan przyniesie wody... na wypadek zemdlenia.

– I brandy! – z entuzjazmem zaproponował Simonet.

– Słusznie – powiedziałem. – Raz, dwa doprowadzimy pana Hincusa do stanu używalności.

Simonet przyniósł wodę i butelkę koniaku. Rozwarłem Hincusowi zęby i wlałem mu do gardła pół szklanki. Następnie pół szklanki wypilem sani. Simonet, który zaopatrzył się w trzecią szklankę, wypił z nami dla towarzystwa. Potem przyciągnęliśmy Hincusa do ściany, oparliśmy go o nią plecami, znowu wylałem na niego karafkę wody i dwukrotnie uderzyłem

po twarzy. Gangster otworzył oczy i głośno zasapał.

– Jeszcze koniaku? – zapytałem.

– Tak – wydusił z siebie ochryple.

Dałem mu jeszcze koniaku. Oblizął wargi i zdecydowanym głosem zapytał:

– Zdaje się, że pan coś wspominał o siedemdziesiątym drugim „c”?

– To się jeszcze okaże – powiedziałem. Hincus pokręcił głową i zmarszczył czoło.

– Nie, tak interesu nie zrobimy. Dożywocie mam i tak jak w banku.

– Listy gończe? – zapytałem.

– Jakby pan stał przy tym. Teraz interesuje mnie jedno – jak wykręcić się od krawata.

Nawiasem mówiąc są spore szanse. Z Olafem nie mam nic wspólnego, sam pan dobrze wie. W takim razie co zostaje?

– Nielegalne posiadanie broni? To przecież drobiazg, a do tego trzeba jeszcze udowodnić, że w ogóle miałem jakąś broń...

– A napad na inspektora policji?

– Przecież o tym właśnie mówię! – powiedział Hincus ostrożnie obmacując czaszkę. – Według mnie żadnego napadu nie było, a było jedynie szczere przyznanie się do winy przed rozpoczęciem oficjalnego śledztwa. A jakie jest pańskie zdanie na ten temat, szefie?

– Na razie jeszcze żadnego przyznania się do winy nie było – przypominałem.

– Zaraz będzie – powiedział Hincus. – Ale obiecuje pan, szefie? W obecności tego fizyka-chemika? Siedemdziesiąty drugi „c” – obiecuje pan?

– Dobrze – powiedziałem. – Na początek założmy, że miała miejsce bijatyka na tle osobistym w stanie odurzenia alkoholowego. To znaczy ty byłeś w stanie odurzenia, a ja cię przywoływałem do porządku.

Simonet zarżał.

– A ja co? – zapytał.

– A pan mi pomagał... Dostyc, starczy tej gadaniny. Opowiadaj, Puchacz. Ale pamiętaj, jeżeli choć słowo skłamiesz! Dwa zęby mi nadwerczyłeś, sukinsynu!

– A więc tak – zaczął Hincus. – Nadał mi tę robotę Champion. Słyszał pan o Championie? No myślę...

A więc to tak. Champion. Aż oczy zmrużyłem, tak nagle zapragnąłem znaleźć się gdzieś o sto mil stąd, na przykład w swoim gabinecie przesiąkniętym zapachem laku, albo w naszej jadalni oklejonej niebieskimi tapetami. Co, źle to mi było w domu? Połasczyłem się na bajdy tego starego osła Seguta – przyroda, spokój, nalewka na szarotkach... Użyłem tego spokoju. Champion to przecież „Błękitna swastyka”, a „Błękitna swastyka” – to prawie na pewno senator z białymi ślepiami. Dziwaczne czasy, niespokojne czasy. W żaden sposób człowiek się nie rozezna, gdzie polityka, gdzie gangsterzy, a gdzie rząd. Co ma robić w takiej sytuacji ucziwy policjant? Dobra, niech ucziwy policjant robi, co do niego należy.

– A więc – mówił dalej Hincus – rok temu doskoczył do nas jeden typ. Jak on się do nas dostał, nie mam pojęcia, a prawdziwego nazwiska nie znam. U nas nazywał się Belzebub. Robił najtrudniejsze i najniebezpieczniejsze skoki. Na przykład to on właśnie zrobił Drugi Bank Narodowy, pamięta pan tę sprawę? Albo powiedzmy ten skok na pociąg z transportem złota – to też pan powinien pamiętać, szefie... W ogóle pracował Belzebub cicho i czysto, aż tu nagle stanął dęba. Dlaczego – nie wiem, ale nasz Belzebub dał nogę. I nas puścili ciepłym śladem, żeby go przechwycić, namierzyć, wziąć na muszkę i zawiadomić Championa... Ja go właśnie znalazłem i ma pan moje szczere przyznanie się do winy.

– Tak – powiedziałem. – No i kto tu u nas jest Belzebubem?

– Tu to się naciąłem, szefie, szkoda słów. Dopiero pan mi oczy otworzył, a ja celowałem na tego magika, na Barnstockre’a. Po pierwsze, widzę – sztuki magiczne i inne cuda. A po drugie, pomyślałem tak: jeżeli Belzebub zechce kogoś udawać, to kogo? Ażeby nie leżeć w *oczy*... Jasne – magika!

– Coś tu kręcisz – powiedziałem. – Sztuki – zgoda. Ale przecież Barnstockre i Moses to niebo i ziemia. Jeden – chudy i wysoki, drugi – gruby i przysadzisty...

Hincus machnął ręką.

– Ja go już pod różnymi postaciami widywałem. Był i gruby, i cienki. Nikt nie wie, jak on wygląda naprawdę... Dobrze byłoby, gdyby pan to zrozumiał, szefie. Belzebub to nie jest zwyczajny człowiek. On ma władzę nad nieczystą siłą.

– Nie opowiadaj mi głodnych kawałów – powiedziałem ostrzegawczo, – Jasne – zgodził się Hincus. – Jasne, że nikt nie uwierzy, kto sam nie widział... A na przykład ta jego baba, którą on włóczy ze sobą – kto to jest pańskim zdaniem, szefie? Ja przecież na własne oczy widziałem, jak ona wyrwała z betonu kasę pancerną i szła z nią po gzymsie. Pod pachą niosła tę kasę. Była wtedy szczupła i malutka, wypisz-wymaluj dziecko, podlotek, coś w rodzaju tej smarkuli Barnstockre’a... a łapska...

– Puchacz – powiedziałem surowo. – Dość tych bajek.

Hincus znowu machnął ręką, na chwilę jakby się zmartwił, ale zaraz znowu się ożywił.

– No dobrze – powiedział. – Niech będzie, że kłamię. Ale przed chwilą ja pana z przeproszeniem gołymi rękami położyłem, szefie, a przecież z pana kawał chłopca i coś niecoś pan potrafi... Więc niech pan sam pomyśli, kto mnie mógł tak załatwić, związać jak dziecko i wepchnąć pod stół?

– Kto? – zapytałem.

– Ona! Teraz już skapowałem, jak to wszystko było. On mnie poznał, zapamiętał. I kiedy zobaczył, że siedzę na dachu i żywego go z domu nie wypuszczę, nasłał na mnie tę swoją, tę... W mojej postaci nasłał... – w oczach Hincusa pojawiła się zgroza. – Matko najświętsza, siedzę tam, a ono stoi przede mną, to znaczy ja sam przed sobą stoję – goły, martwy, oczy wypłynięte. Jak ja tam nie zdechłem ze strachu, jak ja nie zwariowałem – nie mam pojęcia. Piję i upić się nie mogę, jakbym wódkę na ziemię wylewał... On pewnie twardo postanowił: albo mi w głowie pomieszać, albo nastraszyć do utraty przytomności, tak, żebym zwiął, gdzie pieprz rośnie. A kiedy zobaczył, że nic z tego nie wychodzi, to trudno, nie miał rady, musiał siłą.

– A dlaczego cię zwyczajnie nie zakatrupił? – spytałem.

Hincus potrząsnął głową.

– Nie. Tego on zrobić nie może. Cała jego czarodziejska siła przepadnie, jeżeli człowieka zabije. O tym my wszyscy wiemy, a jakże... Czy ktoś by go ścigał, gdyby było inaczej?

– No, przypuśćmy – powiedziałem niezbyt pewnie.

Znowu niczego nie rozumiałem. Hincus był niewątpliwie stuknięty. Ale w jego obłądnie była swoista logika. W ramach tego obłądzenia szczegóły pasowały do siebie i nawet srebrne kule miały swoje miejsce. I to wszystko, co było bardzo dziwne, przeplatało się z rzeczywistością. Sejf z Drugiego Narodowego istotnie zniknął w niezmiernie zagadkowy sposób, „rozplynał się w powietrzu”, jak mówili rozkładając ręce eksperci, a jedyne ślady, które znaleziono w pomieszczeniu, były na gzymsie. A świadkowie napadu na pociąg pancerny jakby się umówili, uparcie stwierdzali pod przysięgą, jakoby wszystko zaczęło się od tego, że jakiś człowiek złapał pociąg za koła i przewrócił na bok... Diabli wiedzą, jak mam to wszystko

rozumieć.

– A dlaczego oni zostali w hotelu? – zapytałem, – Ciebie wsadzili pod stół, a sami zostali...

Tego to już nie wiem – przyznał Hincus. – Sam tego nie rozumiem. Kiedy rano zobaczyłem Barnstockre'a, to mnie замуrowało. Przecież myślałem, że po nich tu od dawna ani śladu nie zostało... Tfu, nie Barnstockre'a, oczywiście... Ale ja wtedy myślałem, że Barnstockre'a... Mówiąc krótko Belzebub jest tutaj, a dlaczego tu został, tego panu nie powiem, bo nie wiem. Być może przez tę lawinę nie potrafi się przekopać... On przecież, choć i czarownik, ale jednak nie jest Panem Bogiem. Latać na przykład nie umie, to dokładnie wszędzie taszczy ze sobą swój okuty kufer. Dalej wszystko było proste. Wypytywałem, dokąd ten kufer pojechał. Po drugie – Belzebub rzuca forsą na prawo i na lewo. Gdziekolwiek przyjeżdża, ludzie tylko o nim gadają... No i wyszedłem go. Co jak co, ale... na swojej robocie to ja się znam!

– No a po trzecie, zawsze jest przy nim ta kobieta – powiedziałem w zamyśleniu.

– Nie – odparł Hincus. – Kobieta, szefie, wcale niekoniecznie. Dopiero kiedy trzeba iść na robotę, on ją skądś wyciąga... Zresztą to w ogóle nie jest żadna kobieta, tylko też coś w rodzaju wilkołaka. Gdzie się ona podziewa, kiedy jej nie ma – tego nikt nie wie.

Nagle złapałem się na tym, że ja, solidny i doświadczony policjant, siedzę tu i z całkowitą powagą omawiam z obłąkanym bandytą rozmaite brednie o wilkołakach, czarownikach i czartach. Niepewnie spojrzałem na Simoneta i nieoczekiwanie stwierdziłem, że fizyk zniknął, a zamiast niego w drzwiach stoi oparty o framugę właściciel hotelu z winchesterem pod pachą. Od razu przypomniałem sobie wszystkie jego aluzje, wszystkie jego bajdy o zombi i jego gruby wskazujący palec wykonujący znaczące gesty. Zawstydzilem się jeszcze bardziej, zapaliłem papierosa i z udaną surowością powiedziałem:

– Tak. Wystarczy. Czy widziałeś już kiedyś tego jednorękiego?

– Kogo? A, tego, który żarł cytryny... Nie, nigdy. A bo co?

– Nic – odpowiedziałem. – Kiedy miał przyjechać Champion?

– Myślałem, że wczoraj wieczorem... Teraz rozumiem... Lawina...

– No a na co liczyłeś, durniu, kiedy rzuciłeś się na mnie?

– A co miałem robić? – zapytał Hincus smętnie. – Jestem znanym człowiekiem, dożywocie mam zapewnione. No to zdecydowałem – rozbroję pana, załatwię kogo trzeba, a sam ucieknę do wąwozu... Przecież Champion też teraz nie śpi, szefie. Nie tylko policja ma helikoptery...

– Ilu ludzi miało przyjechać z Championem?

– Nie wiem. Co najmniej trzech. Jasne, że wybrał najlepszych.

– Tak – powiedziałem. Bardzo mi się to wszystko nie podobało, ale należało jeszcze przesłuchać Moseśa, więc powiedziałem:

– Ano, szybko wymień mi wszystkie skoki, w których brał udział Belzebub.

Hincus skwapliwie zaczął zaginać palce.

– Więzienie w Cremonie – to raz, Drugi Narodowy – to dwa, pociąg ze złotem – to trzy... a dalej... archiwum Greenheima, Targi w Waal...

– Archiwum Greenheima?

– Tak. A bo co?

O tej sprawie wiedziałem niewiele, a już w żadnym razie nie przypuszczałem, że może być w nią zamieszany Champion. Greenheim zgromadził olbrzymią kartotekę hitlerowskich przestępców, którzy po 1945 roku uciekli do naszego kraju. Tamta sprawa była stuprocentowo

polityczna i w Zarządzie Policji panowało przekonanie, że napad zorganizował senator Goldenwasser, chociaż żadnych dowodów na to nie było, jak zwykle zresztą. Ale Champion... Zresztą, jeżeli się pamięta, że Champion to naprawdę były Hauptsturmführer SS Kurt Schwabach... Ale pomimo to...

– Na cholerę Championowi były te archiwa?

– Tego nie wiem – odpowiedział Hincus, tym razem niewątpliwie szczerze. – Ja nie jestem żadna szyszka. – Na chwilę zamilkł. – Myślę, że to wszystko polityka. U nas niejednemu nie podoba się ta polityka, tylko że z Championem mowa jest krótka.

– A gdzie byłeś w zeszłym roku w maju?

Hincus zastanowił się, potem chytrze wyszczerzył zęby i pomachał palcem.

– Nie, szefie. Nic z tego nie wyjdzie. Ja w tej rozróbie nie brałem udziału. Miałem szczęście – leżałem w szpitalu na operacji, o niczym nie wiem. Mogę udowodnić...

Przez minutę w milczeniu patrzyliśmy sobie w oczy.

– Należysz do „Błękitnej swastyki”?

– Nie – odparł. – Czego ja mam szukać w tej „swastyce”? Od urodzenia nie bawiłem się w politykę...

– A Belzebub należał?

– Skąd mam wiedzieć? Przecież mówię, że polityką...

– Kto zabił Koeniga? Belzebub?

Jakiego znowu Koeniga? A, tego związkowca... i Belzebub go nie zabijał. Jak raz na odwrót. Posiadają, że to właśnie przez tego Koeniga Belzebub zerwał z Championem. Sam nie widziałem i nie słyszałem, ale chłopcy opowiadali, że Champion chciał na tę robotę napuścić Belzebuba. A Belzebub stanął wtedy dęba. Jemu przecież nie wolno zabijać... Od słowa do słowa, powiadają, całą spółkę diabli wzięli.

– Goldenwasser wiedział o Belzebubie?

Hincus zacisnął wargi, obejrzał się na właściciela hotelu i odpowiedział znizywszy głos:

– Wie pan, szefie, dajmy sobie z tym spokój. To nie nasza sprawa. Ja jestem uczciwym złodziejem, pan – łapsem, my między sobą zawsze się dogadamy i ile mi dadzą, tyle odsiedzę. A co do tamtego, to im mniej wiemy, tym lepiej dla nas. Na diabła nam to potrzebne, szefie? To niezdrowo wiedzieć za dużo. I dla mnie, i dla pana. To śmierdząca, ciemna sprawa.

Łajdak miał rację.

– No dobra, wstawaj. – I nie bez trudu wstałem sam. – Idziemy, muszę cię zamknąć.

Hincus sapiąc i stękając podniósł się z podłogi. Razem z Alecem sprowadziliśmy go na dół kuchennymi schodami, żeby nikogo nie spotkać po drodze. Ale w kuchni wpadliśmy na Kaisę, która na mój widok z piskiem schowała się za piec.

– Cicho, idiotko! – surowo powiedział właściciel. – Przygotuj gorącą wodę, jodynę, bandażę... Tutaj, Peter, wsadzimy go do piwnicy.

– No tak! – zaskomlał Hincus. – Puchacza pod klucz, a tamten chodzi sobie na wolności, po nim wszystko jak z gęsi woda... To niesprawiedliwie, szefie, jak Boga jedynego... I ranny jestem, i głowa mnie boli...

Nie zamierzałem z nim gadać, zamknąłem drzwi i klucz wsadziłem do kieszeni. W mojej kieszeni zgromadziła się nieprzebrana mnogość kluczy. Jeszcze parę godzin, pomyślałem, i wszystkie klucze, jakie tylko są w tym hotelu, będę nosił przy sobie.

Potem przenieśliśmy się do biura. Kaisa przyniosła wodę i bandażę, a Alec zabrał się do opatrywania moich ran.

– Jaka broń jest w hotelu?

Winchester, dwie dubeltówki, pistolet... – Taak – powiedziałem. – To niedużo. Dubeltówki przeciwko karabinom maszynowym. Du Barnstockre przeciwko najemnym mordercom. Zresztą gangsterzy nie będą się wdawać w strzelaninę. O ile znam Championa, rzuci z helikoptera jakieś zapalające paskudztwo i wy tłucze wszystkich na śniegu jak kuropatwy...

– Kiedy byłeś na górze – oznajmił właściciel, wprawnie bandażując moje czoło – odwiedził mnie Moses. Położył na biurku worek z pieniędzmi – dosłownie worek, nic nie przesadzam, Peter – i zażądał, żebym natychmiast, przy nim, schował ten worek do sejfu. On, proszę cię, uważa, że w obecnej sytuacji jego majątek znajduje się w niebezpieczeństwie.

– A ty?

– A ja strzeliłem byka – przyznał Alec. – Nie zastanowiłem się i palnąłem, że klucz od sejfu jest u ciebie.

– Dziękuję, Alec – powiedziałem gorzko. – Teraz zacznie się polowanie na inspektora policji...

Zamilkliśmy. Cenevert owijał mnie bandażami, okropnie bolało, aż mdliło z bólu. Prawdopodobnie ten bandyta jednak złamał mi obojczyk. W radiu chrypiało i trzeszczało, nadawali miejscowe wiadomości. O lawinie, która zeszła w Wilczej Gardzieli, nie powiedzieli ani słowa. Potem właściciel odstąpił ode mnie na odległość kroku i krytycznie obejrzał swoje dzieło.

– No, teraz to wygląda mniej więcej przyzwoicie – oświadczył.

– Dziękuję – powiedziałem. Zabrał miednicę i rzeczowo zapytał:

– Kogo ci przysłać?

– Niech to wszystko diabli wezmą – powiedziałem. – Chcę spać. Weź winchester, usiądź w hallu i strzelaj do każdego, kto zbliży się do tych drzwi. Muszę pospać choćby godzinę, inaczej zaraz się przewrócę. Przeklęte wilkołaki.

– Nie mam srebrnych kul – łagodnie przypomniał Alec.

– Strzelaj łożnianymi i niech cię piekło pochłonie! I przestań mnie wreszcie zatruwać swoimi przesadami! Ta banda wodzi mnie za nos, a ty im pomagasz... Czy w tych oknach są okiennice?

Właściciel odstawił miednicę, w milczeniu podszedł do okna i opuścił żelazną żaluzję.

– Tak – powiedziałem. – Dobrze... Nie, nie trzeba zapalać światła... I jeszcze jedno, Alec. Poślij kogoś... Simoneta albo tę małą Brune.. niech obserwują niebo. Wytlumacz im, że to sprawa życia i śmierci. Jak tylko zobaczą jakiś helikopter, niech podnoszą alarm... Właściciel skinął głową, podniósł miskę i poszedł do drzwi. Na progu przystanął.

– Chcesz mojej rady, Peter? – zapytał. – Ostatniej rady?

– No?

– Oddaj im tę walizkę, i niech się wynoszą razem z nią do piekła, które ich zrodziło. Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że jedyne co ich tu trzyma, to ta walizka...

– Rozumiem – powiedziałem. – Co jak co, ale to rozumiem. I właśnie dlatego srebrną kulą rozwalę każdego sukinsyna, który spróbuje odebrać mi walizkę. Jeśli zobaczysz Mosesa, możesz mu to powiedzieć, nie licząc się specjalnie ze słowami. Skończyłem. Idź i zostaw mnie w spokoju.

## Rozdział XV

Zapewne było to służbowe przestępstwo. Znikąd nie mogłem się spodziewać pomocy, gangsterzy zaś mogli przylecieć lada minuta. Liczyłem tylko na to, że Champion nie ma teraz głowy do Belzebuba. Kiedy wczoraj wieczorem dotarł do zasypanego wąwozu, mógł w pośpiechu narobić głupstw – na przykład próbować porwać helikopter na lotnisku w Muir. Wiedziałem, że policja od dawna ma na oku tego bandytę, szczególnie po zeszłorocznej próbie majowego puczu, i moje nadzieje nie były tak zupełnie bezpodstawne. A poza tym naprawdę nie mogłem już się utrzymać na nogach. Przeklęty Puchacz wykończył mnie ostatecznie. Rozłożyłem pod sejfem gazety i jakieś sprawozdania, do drzwi przysunąłem biurko, a sam położyłem się z pistoletem pod bokiem. Zasnąłem błyskawicznie, a kiedy się obudziłem, było już po dwunastej. Ktoś zapukał do drzwi, cicho, ale zdecydowanie.

– Kto tam? – ryknąłem, pośpiesznie szukając dłonią pistoletu.

– To ja – odpowiedział głos Simoneta. – Niech pan otworzy!

– Helikopter?

– Nie. Ale musimy porozmawiać. Niech pan otwiera.

Zgrzytając zębami z bólu podniosłem się najpierw na czworaki, a potem chwytając się sejfu, na nogi. Ramię bolało straszliwie. Bandaż spadł mi na oczy, podbródek spuchł. Zapaliłem światło, odciągnąłem biurko spod drzwi i przekręciłem klucz. Następnie trzymając pistolet w pogotowiu odsunąłem się na bok.

Simonet wyglądał niezmiernie uroczyście, chociaż czuło się, że jest wzburzony.

– Oho! – powiedział. – Siedzi pan tu jak w twierdzy. I do tego zupełnie niepotrzebnie – nikt nie zamierza napaść na pana.

– Wcale nie jestem tego taki pewien – odparłem ponuro.

Tak, pan rzeczywiście nic nie wie – powiedział Simonet. – Póki pan spał, inspektorze, zrobiłem za pana całą robotę.

– Naprawdę? – zapytałem jadownicę. – Czyżby Moses był już w kajdankach? A jego współniczka w więzieniu?

Simonet zachmurzył się.

– To wcale nie jest konieczne – powiedział. – Wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane niż pan przypuszcza.

– Tylko proszę mi nie opowiadać o wilkołakach – poprosiłem siadając okrakiem na krześle obok sejfu.

Simonet uśmiechnął się.

– Żadnych wilkołaków. Żadnej mistyki. Jedyne i wyłącznie naukowa fantastyka. Moses nie jest człowiekiem. Co do tego nasz Cenevert miał rację. Moses i Loirevic nie są ludźmi, ani Ziemianami.

– Przybyli do nas z Wenus – powiedziałem ze zrozumieniem.

Tego nie wiem. Może z Wenus, może z innego układu słonecznego, może z sąsiadującej z naszą przestrzeni... Tego mi nie powiedzieli. Istotne jest, że nie są ludźmi. Moses przebywa na Ziemi mniej więcej od roku. W naszych ziemskich problemach, rzecz jasna, nie zdołał się zorientować. Pierwsi ludzie, z którymi się zetknął, to byli gangsterzy, którzy oczywiście wykorzystali go do swoich celów... Wreszcie Moses zrozumiał, o co chodzi. A kiedy zrozumiał, postanowił natychmiast uciec. I uciekł. Loirevic jest czymś w rodzaju pilota. Zajmuje się przerzucaniem ich stąd – tam. Powinni byli wyruszyć wczoraj o północy. Ale o dziesiątej wieczorem zdarzyła się jakaś awaria, coś im wybuchło w aparaturze. W rezultacie

– lawina. I Loirevic musiał maszerować na piechotę... Trzeba im pomóc, inspektorze. To po prostu nasz obowiązek.

Patrzyłem na niego i myślałem z rozpaczą, że trochę zbyt wielu wariatów jest zamieszanych w tę sprawę. Oto jeszcze jeden, który dostał kota.

– Krótko mówiąc, czego pan chce ode mnie?

– Niech pan im odda akumulator – powiedział Simonet.

– Jaki akumulator?

– Akumulator jest w walizce. Energia dla ich robotów. Olaf nie jest zabity. Olaf nigdy nie był żywy. To robot. I pani Moses również. To są roboty i potrzebna im jest energia, żeby mogły funkcjonować. Wybuch zniszczył stację energetyczną. Nastąpiło przerwanie dopływu energii i wszystkie ich roboty w promieniu stu kilometrów zostały zagrożone. Niektóre prawdopodobnie zdołały się podłączyć do przenośnych akumulatorów. Panią Moses podłączył do akumulatora sam Moses... a mnie, jak pan może pamiętać, wydało się, że ona nie żyje. A Olaf nie wiadomo dlaczego nie zdążył się podłączyć...

– Aha – powiedziałem. – Nie zdążył się podłączyć, upadł, i to tak zręcznie, że skreślił sobie kark. O sto osiemdziesiąt stopni.

– Zupełnie niepotrzebnie pan ironizuje – powiedział Simonet. – To są quasiagonalne objawy. Wykręcają się stawy, niesymetrycznie kurczą się pseudomięśnie... Nie zdążyłem panu wtedy powiedzieć – pani Moses miała również przekreśloną głowę.

– Dobra – powiedziałem. – Quasi-mięśnie, pseudościegna... Przecież nie jest pan dzieckiem, Simonet, a gdyby sięgnąć do arsenału mistyki i fantastyki to można wytłumaczyć każde przestępstwo, a tłumaczenie zawsze będzie logiczne.

– Oczekiwałem czegoś takiego, inspektorze – powiedział Simonet. – Wszystko to bardzo łatwo można sprawdzić. Niech pan im odda akumulatory, a oni w pańskiej obecności znowu włączą Olafa.

– Nic z tego – powiedziałem ostro.

– Dlaczego? Pan nie wierzy, więc proponuję panu eksperyment.

Złapałem się za swoją biedną zabandażowaną głowę. Po co w ogóle słucham tego gaduły? Dać mu do ręki karabin i pogonić na dach, tam jest miejsce lojalnego obywatela, zobowiązanego do pomagania prawu. A Mosesów zamknąć w piwnicy. Piwnica jest wybetonowana, wytrzyma bezpośrednie trafienie. I Barnstockre'a, i Brune, i Kaisę do piwnicy. Będziemy się bronić.

– No, dlaczego pan milczy? – zapytał Simonet. – Nie ma pan nic do powiedzenia?

Miałem jednak coś do powiedzenia.

– Nie jestem uczonym – odparłem powoli. – Jestem urzędnikiem policyjnym. Zbyt wiele kłamstw nagromadziło się wokół tej jednej walizki... Niech pan poczeka, proszę mi nie przerywać. Ja panu nie przerywałem. Słuchałem pana i to nawet z zainteresowaniem. Jestem gotów w to wszystko uwierzyć. Proszę bardzo, niech i tak będzie. Powiedzmy, że Olaf i ta baba to roboty. Tym gorzej. Taka straszliwa broń w rękach gangsterów – dziękuję uprzejmie. Gdybym mógł, wyłączyłbym z przyjemnością również i panią Moses. A pan proponuje mnie, policjantowi, żebym oddał gangsterom narzędzia ich zbrodni! Czy pan mnie dobrze zrozumiał? Simonet z zakłopotaniem poklepał się po ciemieniu.

– Niech pan posłucha – powiedział. – Jeśli przylecą gangsterzy, koniec z nami wszystkimi. Przecież tego gołębia pocztowego to pan zwyczajnie wymyślił. Na policję nie mamy co liczyć. A jeżeli pomożemy w ucieczce Mosesowi i jednorekiemu, będziemy mieli chociaż czyste sumienie.

– To pan będzie miał czyste sumienie – odparłem. – A moje będzie zabrudzone do końca życia. Policjant własnoręcznie pomaga w ucieczce bandytom...

– To nie bandyci! – powiedział Simonet.

– To coś gorszego niż bandyci – powiedziałem. – Czy wie pan o tym, że to oni zagarnęli archiwa Greenheima? Pan jest po stronie nazistów?

Wiem wszystko – powiedział Simonet. – Moses mi wszystko opowiedział. Champion to prawa ręka senatora Goldenwassera, szef jego bojówkarzy. W maju ubiegłego roku, kiedy ta banda próbowała zorganizować pucz, Champion był jednym z jego głównych organizatorów i o mało co nie wpadł w ręce żołnierzy. Ale tu wmieszał się Moses. On przecież ni cholery nie rozumiał się na naszych ziemskich sprawach... teraz zresztą dalej nic nie rozumie... Doszedł do wniosku, że to nie pucz, tylko powstanie narodowe, wyciągnął z opresji Championa i jeszcze dwóch łajdaków i sam siebie przekonał, że ma do czynienia z najwartościowszym elementem, z kwiatem ludzkości... Wtedy tamci przyssali się do niego, jak pijawki...

– Tym zajmie się sąd – przerwałem zimno. Simonet rozparł się w fotelu i spojrzał na mnie spod przymrużonych powiek.

– A jednak jest pan zakamieniałym tępakiem, inspektorze Glebsky – powiedział. – Nie spodziewałem się tego po panu.

– Niech pan się zamknie – powiedziałem. – Niech pan wraca do swoich spraw. Co tam ma pan w planie?

– Pozytywne emocje?

Simonet przygryzł wargi.

– No i macie pierwszy kontakt – wymamrotał. – Macie spotkanie dwu cywilizacji. Trzeba mieć pieskie szczęście – przylecieć na Ziemię, diabli wiedzą, z której galaktyki i spotkać najpierw gangsterów, a potem takiego zaciętego stróża porządku jak pan, inspektorze.

– Niech pan mi nie robi wody z mózgu, Simonet – powiedziałem ze złością. – I niech się pan wynosi. Znudzil mnie pan.

Simonet wstał i poszedł do drzwi. Głowę miał spuszczoną, a ramiona przygarbione. Na progu zatrzymał się i powiedział w pół odwrócony w moją stronę:

– A jednak pan tego pożałuje, Glebsky. Będzie panu wstyd, strasznie wstyd.

– Możliwe – odparłem sucho. – To już moja sprawa... Ale, ale, umie pan strzelać?

– Tak.

– To dobrze. Niech pan weźmie karabin od Ceneverta i niech pan idzie na dach. Możliwe, że niedługo będzie pan musiał strzelać.

Simonet wyszedł w milczeniu. Ostrożnie pogładziłem spuchnięte ramię, ładny mi urlop. I czym to się wszystko skończy – nie wiadomo. O, do diabła, czyżby to byli naprawdę przybysze z innych planet? Jakoś wyjątkowo zgrabnie wszystko do siebie pasuje... „Będzie panu wstyd, Glebsky”. No cóż, być może i będzie. A co robić? Chociaż zresztą co mi za różnica, czy to przybysze z innych planet, czy nie? Gdzie jest powiedziane, że przybyszom wolno napadać na banki i brać udział w antyrządowych spiskach? Ziemianom nie wolno, a im, widzicie ich – ma być wolno?... Dobrze. Ale co ja mam robić?

Na wszelki wypadek podniosłem słuchawkę telefoniczną. Nic. Martwa cisza. Głupie bydlę ten Alec. Nie mógł pomyśleć o awaryjnej sygnalizacji. Skąpiradło, tylko by forse ciągnął z klientów...

Do drzwi znowu zapukano i ja znowu pośpiesznie złapałem parabellum. Tym razem raczył mnie zaszczycić swoją obecnością sam pan Moses we własnej osobie – lonże wilkołak,

lonże stary grzyb z nieodłącznym kubkiem w garści.

– Niech pan siądzie przy drzwiach – powiedziałam. – Na tamtym krześle.

– Mogę postać – zagrzemiał spoglądając na mnie spode łba.

– Jak pan woli – powiedziałem. – Czego pan sobie *życzy!*

Wciąż z tym samym wyrazem twarzy upił z kubka.

– Jakie jeszcze potrzebne są panu dowody? – zapytał. – Pan nas skazuje na śmierć.

Wszyscy to rozumieją. Wszyscy prócz pana. Czego pan od nas chce?

– Kimkolwiek jesteście – powiedziałem – popełniliście szereg przestępstw. I musicie za nie odpowiedzieć.

Moses głośno wciągnął powietrze przez nos i usiadł na krześle:

– Dopiero od roku jestem na Ziemi – powiedział. – I dopiero dwa miesiące temu po raz pierwszy zrozumiałem, że pomagam odszczepieńcom i mordercom. Tak, pomagałem im. Otwierałem kasy pancerne, napadałem na banki i transporty złota. Pomogłem im ograbić archiwum. Ratowałem przestępców przed zasłużoną karą. Niech mi pan wierzy, nie wiedziałem, co czynię. Sądziłem, że ci gangsterzy-politycy i politycy-gangsterzy walczą o sprawiedliwość społeczną. Uważałem senatora Goldenwassera za przywódcę rewolucjonistów, a on okazał się nienawidzącym ludzi zbrodniarzem i sługusem magnatów finansowych. Uważałem Championa za bohatera, a on okazał się organizatorem masowych morderstw kobiet i dzieci w dziesięciu krajach i inicjatorem morderstw politycznych w tym kraju. Uważałem Puchacza i jego koleżków... Przecież ja ich uważałem za ludzi idei. Rozumiem, że moje pomyłki drogo was kosztowały, ale jak tylko wszystko zrozumiałem... Uciekłem przy pierwszej nadarzającej się okazji. Gdyby nie ta przeklęta awaria, już by mnie tu nie było... Nikt nie został zabity... Przysięgam panu, że wszystkie koszty, na jakie naraził was mój pobyt tutaj, zostaną zwrócone. Częściowo nawet już chcę je zwrócić. Jestem gotów wręczyć panu asygnaty Banku Państwowego na ogólną sumę miliona koron. To jest wszystko, co mi udało się odebrać Championowi. Resztę wasze państwo otrzyma w złocie, w czystym złocie. Przesłałem już waszemu rządowi szczegółowy raport o obrzydliwej roli senatora Goldenwassera, która jest teraz dla mnie zupełnie jasna... Czego pan jeszcze chce?

Patrzyłem na niego i czułem się nieswojo. Czułem się nieswojo, ponieważ mu współczułem. Siedziałem twarzą w twarz z oczywistym przestępcą, słuchałem go i współczułem mu. Było w tym jakieś diabelstwo i żeby się od niego uwolnić zapytałem:

– To pan mi zapaskudził stół i nakleił na nim kartkę?

– Tak. Bałem się, że inaczej list porwie przeciąg.

– Złoty zegarek?

– Też ja. I browning. Za wszelką cenę chciałem, żeby pan uwierzył, żeby pan się zainteresował Hincusem i aresztował go.

– To było zrobione bardzo niezdarnie – powiedziałem. – Wszystko wyszło na odwrót.

– Tak? – zapytał Moses. – No cóż, tego należało oczekiwać. Nie umiem robić takich rzeczy...

Znowu poczułem falę współczucia i znowu spróbowałem wzbudzić w sobie złość.

– W ogóle wszystko jakoś niezdarnie wychodzi, panie Belzebubie – powiedziałem. – Pańskie roboty, to nie roboty, tylko, rozumie pan, jacyś seksualni neurastenicy, a sam pan jak na przybysza z innych planet trochę za bardzo przypomina łajdaka. Bogatego, zdumiewająco bezczelnego łajdaka. I do tego jeszcze alkoholika.

Moses upił z kubka.

– To znaczy, jeżeli dobrze rozumiem, chce pan powiedzieć, że nasze roboty są zbyt

podobne do ludzi? – zapytał. – No cóż, stereotyp ich zachowania modeluje stereotyp zachowania przeciętnego człowieka z odpowiedniej grupy społecznej... – znowu się napił. – A jeżeli chodzi o mnie, inspektorze, to wybrałem sobie paskudną maskę i niestety nie mogę się panu pokazać w mojej prawdziwej postaci. Niestety, ponieważ prawdopodobnie nie przeżyję tego. Alfred Moses, którego pan widzi – to skafander. Alfred Moses, którego pan słucha – to urządzenie przekaźnikowe. Ale, być może, będę musiał zaryzykować – rezerwuję to sobie na wypadek, gdyby wszystko inne zawiodło. Jeżeli okaże się, że w żaden sposób nie można pana przekonać, wtedy zaryzykuję. Dla mnie to prawie pewna śmierć, ale być może wówczas wypuści pan chociaż Loirevica. On przecież naprawdę nie ma z tym nic wspólnego...

Nareszcie wpadłem w furję.

– Jak to „wypuścić”? – wrzasnąłem. – Gdybyście rzeczywiście chcieli odejść, to by już śladu tu po was nie było! Niech pan przestanie kłamać i gada prawdę. Co to za walizka? Co w niej jest? Wmawia pan we mnie, że jesteście przybyszami z innej planety. Ja zaś jestem skłonny przypuszczać, że jesteście bandą szpiegów, którzy ukradli cenną aparaturę...

– Nie! – powiedział Moses. – Nie! To nie tak. Nasza stacja jest zniszczona i naprawić ją może tylko Olaf. Olaf to robot-konserwator stacji, rozumie pan? Oczywiście, że odeszlibyśmy dawno, ale dokąd mamy iść? Bez Olafa jesteśmy zupełnie bezradni, a Olaf jest Wyłączony i pan nie oddaje akumulatora!

– I znowu pan kłamie! – powiedziałem. – Pani Moses jest również robotem, o ile dobrze zrozumiałem!

I dla niej, jak zrozumiałem, też jest potrzebny akumulator...

Moses przymknął oczy i potrząsnął głową, tak że mu zadrżały obwisłe policzki.

– Olga to nieskomplikowane urządzenie robocze. Służy do dźwigania ciężarów, kopania ziemi, do ochrony osobistej... Czy naprawdę nie rozumie pan, że nie można takiego samego paliwa używać... no, nie wiem... do zwyczajnego traktora i na przykład do samolotu... To przecież inna zasada konstrukcyjna...

– Pan ma na wszystko gotową odpowiedź – powiedziałem ponuro. – Ale ja nie jestem ekspertem. Jestem zwykłym policjantem. Nie zostałem upoważniony do prowadzenia pertraktacji z wilkołakami i przybyszami z Kosmosu. Moim obowiązkiem jest oddać was w ręce prawa i to jest wszystko, co mam do powiedzenia. Kimkolwiek naprawdę jesteście, znajdujecie się na terytorium mojego kraju i podlegacie jego jurysdykcji. – Wstałem. – Z tą chwilą niech się pan uważa za aresztowanego, Moses. Nie zamierzam zamykać pana, domyślam się, że nie miałyby to sensu. Ale jeśli spróbuje pan ucieczki, będę strzelał. I przypominam – od tej chwili wszystko, co pan powie, może być wykorzystane przeciwko panu w czasie procesu sądowego.

– Tak – powiedział Moses po chwili milczenia. – Co do mnie podjął już pan decyzję. Niech tak będzie. – Pociągnął z kubka. – No, a Loirevic? On to już na pewno nie jest niczemu winien. Nic mu pan nie może zarzucić... Niech pan mnie uwięzi, ale niech pan odda walizkę Loirevicowi. Niech chociaż on się uratuje...

Znowu usiadłem.

– Uratuje... Jak to uratuje? Dlaczego pan jest taki pewny, że Champion nas tu dopadnie? Może dawno zdechł pod lawiną? Może go już złapali... Jeśli istotnie jesteście niewinni, poczekajcie dzień, dwa. Przybędzie policja i oddam was w ręce władz.

To na nic. Po pierwsze – nie mamy prawa nawiązywać oficjalnych kontaktów. Na Ziemi jestem tylko obserwatorem. Popeliłem wiele błędów, ale to są błędy do naprawienia... A nie

przygotowane kontakty mogą mieć i dla waszego i dla naszego świata nieobliczalne skutki... Ale nawet nie to jest teraz najważniejsze, inspektorze. Boję się o Loirevica. On nie jest przystosowany do waszych warunków, nigdy nie przypuszczano, że spędzi na Ziemi więcej niż dobę. W dodatku ma uszkodzony skafander – chyba pan widzi, że nie ma ręki... Loirevic już jest zatruty... słabnie z każdą godziną...

Zacisnąłem zęby. Tak, Moses na wszystko miał odpowiedź. Ani razu nie udało mi się złapać go na sprzeczności. Wszystko było bezbłędnie logiczne. Musiałem przyznać, że gdyby nie ta gadanina o tych wszystkich kontaktach, skafandrach i pseudomięśniach, takie zeznania zadowolilyby mnie w pełni. Odczuwałem litość, byłem skłonny wyjść im naprzeciw, traciłem wiarę w słuszność mego stanowiska...

W rzeczy samej... Wobec prawa był winien tylko Moses. Loirevic formalnie był czysty, chociaż można by go uznać za współnika... Na to jednak mógłbym przymknąć oczy... No dobrze, zamknę Moseśa i... Właśnie, co – „i”? Oddać Loirevicowi aparat? A co ja wiem o tym aparacie?

Jeżeli pominąć słowa, niezależnie od tego, czy są prawdziwe, czy nie – obiektywnie istnieją dwa fakty. Prawo żąda, żebym zatrzymał tych ludzi do momentu wyjaśnienia wszystkich okoliczności. Oto fakt numer jeden. A oto fakt numer dwa – ci ludzie chcą odejść. Nieważne dlaczego – czy to będzie ucieczka przed prawem, czy przed gangsterami, czy przed niewczesnym kontaktem... Chcą odejść. Oto dwa fakty, których w żaden sposób nie można ze sobą pogodzić...

– Niech pan idzie – powiedziałem – i niech pan zawoła tu Loirevica.

Moses podniósł się ociężale i wyszedł. Oparłem łokcie o stół i położyłem głowę na rękach. Parabellum mile chodziło lewy policzek. Mimochodem pomyślałem, że teraz nie rozstaję się z tym pistoletem jak Moses ze swoim kubkiem. Byłem śmieszny. Aż strach wyobrazić sobie, co będą opowiadać w Urzędzie o tej historii. Łowca Upiorów. Tropiciele Przybyszy z Kosmosu. Dobra Hincus w każdym razie schwytywany, a Moseśa nie wypuszczę. Niech się śmieją, ile dusza zapragnie, ale tajemnica Drugiego Narodowego zostanie wyjaśniona i zagadka transportu złota też, i wiele innych tajemnic także się wyjaśni... Właśnie tak. Śmieście się, śmieście, u diabła... A jeżeli w to wszystko jest zamieszana polityka, to ja jestem zwyczajnym policjantem, polityką zaś niech się zajmują ci, którym za to płacą...

Drzwi skrzypnęły, ocknąłem się. Ale to nie był Loirevic. Weszli Simonet i Cenevert. Alec postawił przede mną filiżankę kawy, a Simonet wziął spod ściany krzesło i usiadł naprzeciw mnie. Wydało mi się, że fizyk ma twarz ściągniętą i żółkłą.

– No i co pan wymyślił, inspektorze? – zapytał.

– Gdzie Loirevic? Wzywałem Loirevica.

– Z Loirevicem jest bardzo źle – powiedział Simonet. – Moses krząta się koło niego. – Niemile wyszczerzył zęby. – Pan go zabije, Glebsky, i to będzie wyjątkowe łajdactwo. Znamy się co prawda tylko dwa dni, ale nigdy nie przypuszczałem, że okaże się pan bezdusznym automatem z błyszczącymi guzikami.

Wolną ręką wziąłem filiżankę, podniosłem do ust i odstawiłem z powrotem. Nie mogłem pić więcej kawy. Już mnie mdliło od kawy.

– Odczepcie się ode mnie. Gaduły... Alec martwi się o swój hotel, a pan jest po prostu intelektualistą na urlopie...

– A pan? – zapytał Simonet. – O co pan się troszczy? Chce pan przypiąć do munduru jeszcze jedną błyskotkę? Jest pan nic nie znaczącym pionkiem w policji. I nagle trafiło się ślepej kurze ziarno. Pierwszy i ostatni raz w życiu. W pańskich rękach spoczywa naprawdę

ważna decyzja, a pan zachowuje się jak ostatni tępak...

– Niech pan się zamknie – powiedziałem ze znużeniem. – Niech pan przestanie gadać i przez minutę pomyśli. Jak widzę ni cholery nie zna się pan na prawie. Wyobraża pan sobie, że istnieje inne prawo dla ludzi, a inne dla wilkołaków... Ale nawet to możemy zostawić na boku. Niech będzie, że to są przybysze z innej planety. Niech będzie, że ich oszukano. Wielki Kontakt... Przyjaźń Istot Rozumnych i tak dalej... Pytanie – co oni robią na naszej Ziemi? Moses sam się przyznał, że jest obserwatorem. A co on takiego właściwie obserwuje? Niech pan nie szczerzy zębów... My tu z panem zajmujemy się fantastyką, a w powieściach fantastycznych, o ile pamiętam, przybysze z innych planet uprawiają szpiegostwo i przygotowują inwazję na Ziemię. Jak, pańskim zdaniem, w takiej sytuacji powinien postąpić urzędnik z błyszczącymi guzikami?

– Powinien wypełnić swój obowiązek, czy nie powinien?...

Simonet wpatrując się we mnie, w milczeniu szczerzył zęby. Właściciel podszedł do okna i podniósł żaluzję. Obejrzałem się.

– Po co to zrobiłeś?

Właściciel odpowiedział nie od razu. Przyciskając twarz do szyby obserwował niebo.

– Tak sobie ciągle wyglądam, Peter – nie odwracając się powiedział powoli. – Czekam, Peter, czekam... Lepiej kazałbyś temu dziecku wrócić do domu. Tam na śniegu ta mała jest idealnym celem.

Położyłem parabellum na stole, obiema rękami ująłem filiżankę i zamknąwszy oczy wypłem kilka łyków. Idealny cel... My wszyscy stanowimy idealny cel. No nic, a nuż wszystko dobrze się skończy... I nagle poczułem, że czyjeś silne ręce ujęły mnie z tyłu za łokcie. Otworzyłem oczy i szarpnąłem się. Ból w obojczyku przeszył mnie z taką siłą, że omal nie straciłem przytomności.

– To nic, Peter, to nic – serdecznie powiedział Alec. – Bądź cierpliwy.

Simonet z zatroskanym i przepraszającym wyrazem twarzy wsuwał już do kieszeni parabellum. – Zdrajcy! – powiedziałem ze zdziwieniem.

– Nie, nie, Peter – powiedział właściciel hotelu. – Ale musisz być rozsądny. Nie samym prawem żyje ludzkie sumienie.

Simonet ostrożnie zaszedł z boku i poklepał mnie po kieszeni. Zabrzęczały klucze. Z góry oblewając się – potem w oczekiwaniu okropnego bólu, szarpnąłem się z całej siły. Oczywiście rezultat był żaden, a kiedy oprzytomniałem, Simonet już wychodził z pokoju z walizką w ręku. Alec wciąż jeszcze przytrzymując mnie za łokcie mówił do niego z trwogą.

– Niech pan się śpieszy, Simonet, niech pan się śpieszy... z nim jest bardzo niedobrze...

Chciałem coś powiedzieć, ale gardło miałem tak ściśnięte, że tylko zachrypiałem. Alec troskliwie pochylił się nade mną.

– O Boże, Peter – powiedział – wyglądasz jak śmierć...

– Bandyci... – wyrzuciłem. – Kryminaliści...

– Tak, tak, oczywiście – pokornie zgodził się właściciel. – Później nas wszystkich zaaresztujesz i będziesz miał rację, tylko pocierp jeszcze chwilę, nie wyrrywaj się... przecież to bardzo boli, a na razie i tak ciebie nie wypuszczę...

Tak, nie wypuści... Ja i przedtem wiedziałem, że jest silny jak niedźwiedź, ale takiej krzepy jednak się po nim nie spodziewałem. Osunąłem się na oparcie krzesła i zaprzestałem walki. Miałem mdłości. Ogarnęła mnie tępa obojętność. I gdzieś tam, na samym dnie duszy, słabo tliło się uczucie ulgi – rozwój sytuacji nie zależał już ode mnie, odpowiedzialność wzięli na siebie inni. Widocznie znowu straciłem przytomność, bo nagle okazało się, że leżę

na podłodze, a Alec klęczy obok i przykłada mi do czoła mokrą, lodowato zimną szmatkę. Jak tylko otworzyłem oczy, natychmiast podsunął do moich ust szyjkę butelki. Był strasznie blady.

– Pomóż mi usiąść – powiedziałem.

Usłuchał bez słowa sprzeciwu. Drzwi były otwarte na oścież, ciągnęło chłodem. Słychać było wzburzone głosy, potem coś runęło z łoskotem, zatrzeszczało. Alec skrzywił się boleśnie.

– Przeklęty kufer – powiedział zdławionym głosem.

Pod oknem głos Mosesa zahuczał z nieludzką siłą:

– Gotowi? Naprzód!... Żegnajcie, ludzie. Do następnego spotkania! Do prawdziwego spotkania!

Głos Simoneta wykrzyknął w odpowiedzi coś niezrozumiałego, a potem zadźwięczały szyby od jakiegoś niesamowitego świstu i klekotu. I zrobiło się cicho. Wstałem i poszedłem do drzwi. Cenevert kręcił się obok, jego szeroka twarz była blada i zwiotczała, po czole spływał pot. Bezdźwięcznie poruszał wargami – pewnie się modlił.

Wyszliśmy do pustego hallu, po którym hulał lodowaty wiatr i właściciel wymamrotał: „Wyjdźmy, Peter, powinieneś odetchnąć świeżym powietrzem...” Odsunąłem go i ruszyłem w stronę schodów. Mimochodem zauważyłem z mściwą radością, że drzwi wejściowe zostały doszczętnie rozwalone. Już na pierwszych stopniach schodów zrobiło mi się słabo i wczepiłem się w poręcz. Alec spróbował podtrzymać mnie, ale odepchnąłem go zdrowym ramieniem i powiedziałem: „Wynoś się do diabła, słyszysz?” Właściciel znikł. Wolno powlokłem się po schodach nie puszczając poręczy, minąłem Brune, przerażoną, przytuloną do ściany, wreszcie dotarłem na pierwsze piętro i dobrnąłem do swojego pokoju. Drzwi do numeru Olafa były szeroko otwarte, w środku nie było nikogo, żrący apteczny zapach rozchodził się po korytarzu. Żeby tylko dotrzeć do kanapy, myślałem. Tylko do kanapy i położyć się I wtedy usłyszałem krzyk.

– To oni! – wołał ktoś. – Za późno! Za późno!

Głos się załamał. Na dole w hallu rozległ się tupot nóg, coś upadło, potoczyło się, i nagle usłyszałem równomierny, daleki jeszcze warkot motoru. Wtedy zawróciłem i potykając się pobiegłem do schodów prowadzących na dach...

Cała rozległa dolina otwarła się nagle przede mną. Zmrużyłem oczy od słonecznego blasku, a potem zobaczyłem dwa błękitnawe, idealnie proste ślady nart. Ślady prowadziły na północ, biegły ukosem od hotelu, a tam, gdzie się kończyły, dostrzegłem wyraźne, jakby narysowane na bieli figurki uciekinierów. Mam znakomity wzrok, widziałem ich wyraźnie i był to najbardziej niesamowity widok, jaki pamiętam.

Na przedzie mknęła pani Moses z gigantycznym kufrem pod pachą, a na jej ramionach smagając ją pejcem ciężko spoczywał sam stary Moses. Z prawej strony, nieco za nimi, równym fińskim krokiem pędził Olaf z Loirevicem na plecach. Łopotąła na wietrze szeroka spódnica pani Moses, powiewał pusty rękaw Loirevica. Pędzili szybko, nadnaturalnie szybko, a z boku, na ukos, błyskając w słońcu łopatami śmigła i oknami kabiny zachodził im drogę helikopter.

Cała dolina była wypełniona potężnym, monotonnym huczeniem. Helikopter powoli, jakby niespiesznie, zniżył się, przeleciał nad uciekającymi, przegonił ich i zawrócił schodząc coraz niżej i niżej... A tamci w dalszym ciągu pędzili przed siebie, jakby nic nie widzieli i nie słyszeli. I wtedy to monotonne i potężne buczenie rozerwał nowy dźwięk – wściekłe, urywane trzaski... Uciekinierzy chwilę jeszcze bezładnie biegali, potem Olaf upadł

i znieruchomiał, potem jak kula potoczył się po śniegu Moses, a Simonet rwał mi kołnierzyk i szlochał w ucho: „Widzisz? Widzisz? Widzisz?”... A potem helikopter zawisł nad nieruchomymi ciałami, powoli usiadł i skrył przed nami wszystkich – i tych, którzy leżeli nieruchomo, i tych, którzy próbowali jeszcze pełznąć... Śmigło zaczęło się obracać, śnieg zawirował, połyskliwa biała chmura wzdęła się na tle siwych skał. Znowu rozległ się trzask karabinu maszynowego i Alec przykucnął zasłaniając dłońmi oczy, zaś Simonet ciągle szlochał i krzychał: „Masz! Masz czego chciałeś, tępy bydlaku!”

Helikopter tak samo powoli wychynął z śnieżnej chmury, ukośnie wzbił się w nieprawdopodobną niebieskość nieba i zniknął za łańcuchem gór. Wtedy na dole żałośnie i rozdzierająco zawył Lelle.

## Epilog

Od tego czasu minęło ponad dwadzieścia lat. Rok temu przeszedłem na emeryturę. Jestem już dziadkiem i czasem opowiadam wnukom tę historię. Co prawda w moich opowiadaniach wszystko kończy się dobrze: przybysze szczęśliwie opuszczają Ziemię w lśniącej rakiecie, zaś bandę Championa łapie przybyła w porę policja. Początkowo w moich opowieściach przybysze odlatywali na Wenus, a potem, kiedy na Wenus wylądowały pierwsze ekspedycje, musiałem przenieść pana Mosea na gwiazdozbiór Wolarza. Zresztą nie o to chodzi.

Najpierw fakty. Wilczą Gardziel oczyszczono po dwóch dniach. Wezwałem policję i przekazałem jej Hincusa, milion sto pięćdziesiąt tysięcy koron i swój szczegółowy raport. Ale śledztwo, muszę przyznać, nie wyjaśniło niczego. Wprawdzie w zrytym śniegu znaleziono około pięciuset srebrnych kul, ale helikopter Championa, który zabrał ciała, przepadł bez wieści. Po kilku tygodniach małżeństwo turystów-narciarzy, odbywając wędrowkę nieopodal naszej doliny, opowiedziało, że byli świadkami, jak jakiś helikopter na ich oczach spadł do jeziora Trzech Tysięcy Dziewic. Zorganizowano poszukiwania, jednakże niczego ciekawego nie znaleziono. Jak wiadomo, głębokość jeziora osiąga miejscami czterysta metrów, dno jest zlodowaciałe i jego rzeźba nieustannie ulega zmianie. Champion prawdopodobnie zginął – w każdym razie na scenie kryminalnej więcej się nie pojawił. Jego banda, dzięki Hincusowi, który za wszelką cenę chciał ratować swoją skórę, częściowo została wyłapana, a częściowo rozpełzła się po całej Europie i poszła w rozsypkę. Gangsterzy, którzy znaleźli się w rękach wymiaru sprawiedliwości, nic istotnego do zeznań Hincusa nie dodali – wszyscy oni byli przeświadczeni o tym, że Belzebub był czarnoksiężnikiem, może nawet samym Szatanem, i że ich były herszt zginął, bo trafił na mocniejszego od siebie. Simonet był zdania, że jeden z robotów ocknął się już w helikopterze i w ostatnim wybuchu aktywności zniszczył wszystko, czego zdołał dosięgnąć. Bardzo to możliwe i jeżeli tak było istotnie, nie zazdroszczę Championowi jego ostatnich chwil...

A Goldenwasser oczywiście wykręcił się sianem. Jeden Hauptsturmführer więcej, jeden mniej – to był dla niego drobiazg. Tym bardziej, że archiwa Greenheima przepadły bez śladu, a oświadczenie Mosea nie spowodowało żadnych dalszych skutków. Było napisane zbyt dziwnym językiem, powoływało się na zbyt dziwaczne okoliczności i, jak słyszałem, zostało uznane za utwór szaleńca. Szczególnie na tle hałasu, który podniosły gazety w związku z przybyszami. Być może Goldenwasserowi przypomniały się wówczas trupy rozstrzelanych w Rosji i we Francji, w Polsce, i w Grecji, i martwy Koenig z czarną dziurą między oczami, i inni... Ale raczej wątplię.

Simonet został uznany za głównego specjalistę od spraw przybyszy z Kosmosu. Organizował jakieś komisje, pisał artykuły dla gazet i czasopism, występował w telewizji. Ale nikt nie traktował go poważnie. Wprawdzie komisje działały, i nas wszystkich, nawet Kaisę, wzywano w charakterze świadków, jednakże prawdziwego poważnego poparcia Simonet nie otrzymał. O ile wiem, żadne pismo naukowe nie wydrukowało na ten temat ani słowa. Komisje rozlatywały się, znowu powstawały, na materiały tych komisji to nakładano ściśle embargo, to znowu zaczynało je szeroko publikować, dziesiątki i setki kombinatorów kręciło się wokół tej sprawy, wydano kilka broszur napisanych przez fałszywych świadków i podejrzanych współuczestników i wszystko skończyło się tym, że Simonet został z grupką entuzjastów – młodych uczonych i studentów. Odbyli kilka wspinaczek w rejonie Wilczej Gardzieli próbując odnaleźć ślady zburzonej stacji. W czasie jednej z takich wspinaczek

zginął Simonet. Nie znaleziono zresztą niczego.

Wszyscy pozostali uczestnicy opisanych wydarzeń żyją do dzisiaj. Niedawno przeczytałem o uroczystym jubileuszu du Barnstockre'a w Międzynarodowym Stowarzyszeniu Iluzjonistów – staruszek ukończył dziewięćdziesiąt lat. Na uroczystości była obecna bratanica jubilata Brunhilda Kann wraz z mężem, znanym kosmonautą Perry Kannem. Hincus odsiaduje swoje dożywocie i rokrocznie pisze podania o złagodzenie kary. Tuż po procesie dokonano na niego dwu zamachów. W jednym został nawet ranny w głowę, ale jakoś się wylizał. Opowiadają, że obudziło się w nim zamiłowanie do rzeźbienia w drzewie i że nieźle na tym zarabia. Administracja więzienna jest z niego zadowolona.

Kaisa wyszła za mąż i ma czworo dzieci. W zeszłym roku byłem u Aleca i widziałem ją. Mieszka na peryferiach Muir i prawie się nie zmieniła – dalej jest gruba, głupia i chichotliwa. Jestem pewien, że cała tragedia przeszła jakby obok niej, nie zostawiając żadnych śladów w jej świadomości.

Z Alecem jesteśmy wielkimi przyjaciółmi. Hotel „Pod Międzygwiezdny Zombi” prosperuje wspaniale – w dolinie stoją teraz już dwa domy, ten drugi zbudowany jest z nowoczesnych materiałów, wyposażony w różne elektroniczne luksusy i bardzo mi się nie podoba. Kiedy przyjeżdżam do Aleca, zawsze mieszkam w moim starym pokoju, a wieczory, jak za dawnych czasów, spędzamy w salonie przy szklanicy gorącego portweinu z korzeniami. Niestety, jedna szklanka wystarcza nam teraz na cały wieczór. Alec bardzo schudł, zapuścił brodę, nos jego przybrał kolor bordowy, ale po dawnemu lubi mówić głuchym głosem i nie jest od tego, żeby zakpić sobie czasem z gości. Zawsze jest mi bardzo dobrze u Aleca – spokojnie, przytulnie. Ale pewnego razu wyznał mi głuchym szeptem, że trzyma teraz w piwnicy ręczny karabin maszynowy – na wszelki wypadek.

Zupełnie zapomniałem wspomnieć o bernardynie Lelle. Lelle umarł. Zwyczajnie, ze starości. Alec lubi opowiadać, jak to ten zdumiewający pies na krótko przed śmiercią nauczył się czytać.

A teraz o mnie. Wiele, wiele razy w czasie nudnych dyżurów, w czasie samotnych spacerów i po prostu w bezsenne noce rozmyślałem o wszystkim, co się wydarzyło, i zadawałem sobie tylko jedno pytanie: czy postąpiłem słusznie? Formalnie na pewno tak. Zwierzchnicy ocenili moje postępowanie jako właściwe w danej sytuacji, a naczelnik Urzędu nawet mi zmył głowę, że nie oddałem walizki od razu i tym samym naraziłem świadków na niepotrzebne ryzyko. Za schwytanie Hincusa i za uratowanie ponad miliona koron otrzymałem premię, a na emeryturę przeszedłem w randze starszego inspektora – w najśmielszych snach nie mogłem liczyć na więcej. Musiałem się nieźle namęczyć, kiedy pisałem raport o tej dziwnej sprawie. W oficjalnym dokumencie nie mógł się znaleźć nawet cień moich subiektywnych wrażeń, i w końcu widocznie mi się to udało. W każdym razie nie stałem się pośmiewiskiem, ani też nie zyskałem sobie reputacji fantasty. Oczywiście, w raporcie niejedno zostało pominięte. Jak można opisać w policyjnym dokumencie ten niesamowity wyścig po śnieżnej równinie? Kiedy w czasie choroby wzrasta mi temperatura, znowu pojawia się przede mną ten straszliwy, nieludzki obraz i słyszę ścinający krew w żyłach świst i klekot... Nie, z formalnego punktu widzenia wszystko skończyło się dobrze. Co prawda koledzy czasami trochę podśmiewali się ze mnie, ale tylko przy okazji, po przyjacielsku, bez złośliwości. Segutowi opowiedziałem więcej niż innym. Długo rozmyślał, drapał swój zarośnięty żelazną szczecinią policzek, smrodził fajką, ale w końcu nic rozsądnego mi nie powiedział. Obiecał tylko, że wszystko zatrzyma przy sobie. Niejednokrotnie zaczynałem na ten temat rozmowę z Alecem. Zawsze odpowiadał

monosylabami, tylko raz, nie patrząc mi w oczy wyznał, że wtedy najbardziej interesowało go bezpieczeństwo hotelu i życie klientów. Chyba później wstydził się tych słów i żałował swego wyznania. A Simonet do samej swojej śmierci nie odezwał się do mnie ani słowem.

Zapewne, pomimo wszystko byli to jednak przybysze z innych planet. Nigdy i nigdzie nie wypowiadałem swojej prywatnej opinii na ten temat. Występując na komisjach zawsze trzymałem się wyłącznie suchych faktów i tego raportu, który przedstawiłem swoim władzom zwierzchnim. Ale teraz prawie już nie mam wątpliwości. Jeżeli my poleciliśmy na Marsa i na Wenus, dlaczego inni nie mogliby wylądować na Ziemi? A poza tym w żaden sposób nie potrafię wymyślić innej wersji, która by tak logicznie wyjaśniała wszystkie niejasne momenty tej historii.

Ale czy to właśnie jest najważniejsze? Wiele rozmyślałem o tym i teraz mogę powiedzieć – tak, to jest najważniejsze. Potraktować ich tak, jak ja ich potraktowałem, było zapewne zbyt okrutne. Prawdopodobnie wszystko polega na tym, że przylecieli w nieodpowiednim czasie i natrafili na niewłaściwych ludzi. Trafili na gangsterów, faszystów, na Goldenwassera i policję. No dobrze. A gdyby trafili na kontrwywiad albo na wojskowych? Byłoby dla nich lepiej? Wątpię...

Jest mi strasznie ciężko na duszy, oto w czym rzecz. Nigdy przedtem ani potem nic takiego mi się nie wydarzyło, postąpiłem słusznie, jestem czysty przed Bogiem, prawem i ludźmi, ale na duszy jest mi ciężko. Czasem bywa ze mną już zupełnie źle i wtedy pragnę spotkać kogokolwiek z nich i błagać o przebaczenie. Myślę tym, że któryś z nich być może wciąż jeszcze tuła się wśród ludzi, przybrawszy jakąś ludzką postać, i ta myśl nie daje mi spokoju. Nawet w pewnym momencie wstąpiłem do Stowarzyszenia imienia Adama Adamskiego, wyciągnęli ode mnie masę pieniędzy, nim zorientowałem się, że to wszystko czcza gadanina i że ci ludzie nigdy nie pomogą mi w znalezieniu przyjaciół Mosesa i Loirevica...

Kiedy jest ze mną źle, żona siada obok i zaczyna mnie pocieszać. Mówi, że gdybym nawet nie przeszkadzał Mosesowi w ucieczce i że gdyby nawet udało się im wszystkim uciec, to i tak doszłoby do wielkiej tragedii, ponieważ wtedy gangsterzy napadliby na hotel i prawdopodobnie wymordowaliby nas wszystkich. Wszystko to jest absolutnie słuszne. Ja sam nauczyłem żonę tak mówić, tylko że teraz już zapomniała o tym i wydaje się jej, że to jej własne myśli. Ale pomimo to pod wpływem jej słów robi mi się odrobinę lżej. Lecz nie na długo. Tylko do chwili, w której przypominam sobie, że Simon Simonet do samej śmierci nigdy nie odezwał się do mnie ani jednym słowem. Przecież nieraz spotykaliśmy się – i na procesie Hincusa, i w telewizji, i na posiedzeniach niezliczonych komisji – a Simonet nie odezwał się do mnie ani jednym słowem. Ani jednym słowem. Ani jednym.